NOWELE

JAN STRAUS

NOWELE

IKAR. — HYMN MIŁOŚCI. — SEN. — KRUK. — CZYJA WINA?... — KUBA TOPOREK. — WET ZA WET. — SAMOTNI.

LWÓW
GUBRYNOWICZ I SYN

WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF

1910

TEGOŻ AUTORA:

NA ZATRACENIE (w druku). Powieść. Tom jeden.

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Parjasom polskim

poświęcam

Autor

I.

IKAR

Na wschodzie niebo poczęło różowieć, szarzeć i przeglądać matowem odbiciem przedświtu; cicha spokojną sennością, piękna urokiem harmonji letnia noc jedwabnem spojrzeniem głębokich, mrocznych oczów żegnała świat. Czarne skrzydła wlokła opieszale po ziemi i konała z niedosłyszalnym jękiem na krawędziach widnokręgu.

W przestrzeni panował jeszcze silny zmrok: miły, cokolwiek rozbłękitniony cień, firmament przywdział ciemno-szafirową szatę, haftowaną zbladłemi gwiazdy, które z fioletowych głębi spozierały mrugającym wzrokiem na zmartwychwstający ranek. W powietrzu była głęboka, niczem niezamącona cisza; wszystko, prócz nieba, oddychało błogiem westchnieniem pocieszającego snu, krzepiło siły w rozkosznem spowiciu nocy, w zapomnieniu o trudach, wysiłkach i żarze słonecznego dnia. Jest majestat przedziwny i święty w przemianie nocy na dzień, ciemności na światłość: niezbadana boskość spływa pełnymi strumieniami na strwożoną duszę ludzkości i stanowi dobroczynne

źródło zwycięzkiego wytrwania w uciążliwym pochodzie ku lazurowym brzegom przyszłości.

Na wschodzie, w boleściach przyrody, rodził się pełny dzień; z niewidzialnej otchłani poczęła się wydobywać miedziana łuna i coraz szersze zataczać kręgi i rozlewać prześliczną toń rozpalonego ognia w górnych strefach, na poblizkie wzgórza, ponury las, ciemno zieloną niwę i oddaloną szklistą rzekę; złoty pył blasków wirował w powietrzu i srebrzył nieskończone obszary...

Wszędzie... wszędzie... gdzie zwrócić oko, gdzie padnie źrenica, wszędzie złoto, łuna i złoto i łuna. Aż w tryumfalnej glorji, w rubinowych rzęsach wypływa królewskie słońce, jako płonący korab na turkusowe fale oceanu, kołysze się na sinych kłębach, rozpina promienie na niejasnych cieniach, zatacza tęczowy łuk i zlewa przezroczo-koralową kaskadę, na dymiący oparami łańcuch gór, pagórków, na pozłocone drzewa, teraz śpiewające szumem i melancholijnym rozgwarem wiekowych olbrzymów. Cudowna jasność, radująca serce, otula szmaragdowe łąki i zapala na nich oślepiające blaski brylantów. Od wzgórza, lasu i rzeczki pełzała przy ziemi pochmurna toń — ostatnie spojrzenie umierającej nocy; kładła się przejrzystym welonem na żółtym piasku, konała w rdzawych wgłębieniach gruntu i u stóp wysokiej ściany złotawo-zielonego parku.

Opodal, w kapryśnych skrętach, rzeczka raziła

oczy miganiem barw, jak srebrna wstęga lub kryształowy miecz, wydobyty przy matowem świetle miesiąca. Dzikie, blado-czerwone maki, od porannego podmuchu pochylały rytmicznie główki, a skromne bławatki niemym uśmiechem witały wschodzące słońce i nowopowstały dzień; w górze, w nieskalanej jasności, nieruchomo rozpięte skowronki śpiewały melodyjnie rzewny pacierz pozdrowienia na cześć pogodnego ranka.

I gdy już noc skonała i znikła całkowicie, a słońce objęło w posiadanie przestrzeń, jakby na uroczystość chwili, zagrały litanią potężne dęby i buki, otaczające zwartym pierścieniem piramidowe modrzewia. Pośród tego pierścienia drzew była polanka, usiana kwiatami — na samym środku stał z paryjskiego marmuru ołtarz gromowładnego Zeusa. Dalej, w głębi lasu, zbudowana z gałęzi chata arcykapłana. Polanka tonęła w powodzi zieloności i światła, jasnej, złocistej purpury o silnych odcieniach szafiru; była wonna, dusząca zapachem, urocza spokojem i jakby młoda dziewica, śniąca o dalekim kochanku, zasłuchana w cichym zachwycie, pełna powabu i wdzięku, wesela i uśmiechu. Ciepły prąd powietrza muskał subtelnie oblicze kwiatów, przeciągał się jakby krwi żywą falą przez liście drzew i znużony kładł się pokotem na puszystą trawkę i oddychał z lubością na wilgotnem łonie zroszonej ziemi, usianej ziołami. Rozpylone kłęby rosy wiły się pióropuszem w po-

wietrzu i osiadały na zpurpurowiałych liściach, jak gdyby wyrzeźbionych ze skamieniałej krwi przyrody. Taki czar ciszy, wdzięk rozkochania, taka radość ciepła i światła, taka lubość życia i taki bezruch miłej niemocy wiał z polanki i całego świata, że las milczał onieśmielony, jeno aromatem kwiatów słał pocałunki rozzłoconemu słońcu, które nad śnieżnemi obłokami, nad falami lazurów, nad przezroczystą tonią przestrzeni, nad szybującemi w górze jaskółkami i ponad wszystką rozkochaną ziemią, wisiało przeogromną, rozsrebrzoną twarzą. Niebo i ziemia, powietrze, przestrzeń i czas morzem blasków drgających śpiewał nieśmiertelne tętno życia i mocy.

Las kąpał się w świetle, pławił w jasności, nurzał w cieple i drżał, jak człowiek, echem rozgwarzonej ziemi; a gdy lekki wiatr dotknął go swemi skrzydły lotnemi, tedy zaszumiał wdzięcznie, a tak jakoś dziwnie i łzawo i tęsknie, jak dziecię w nieutulonym żalu, w przeczuciu sierocej rozpaczy, na długie... długie godziny opuszczenia; zawodził smutnie omszonemi pniami drzew, wszystkiemi konary i gałęźmi i każdem włóknem pojedynczego listka... aż zaczął płakać i szlochać... A czy wy wiecie jako las płacze??...

Zanim się zielone drzewa smutkiem rozżalą, dreszcz wstrząśnie duszą lasu i liście, jako łzy, popłyną falami, to las-człowiek stoi cichy i niemy, zasłuchany w swoje głębiny niezbadane, jak anioł

niewinny na spowiedzi bożej, jak święty przed spełnieniem się od wieków oczekiwanego cudu; aż przyjdzie zaledwie dosłyszalny lekkoskrzydły wietrzyk, jako do serca wspomnienie oddalonych dni i przemówi tkliwym szeptem o męce przeżytej, o boleściach ogrójcowych i utrapieniu gorzkiem, jak żółć. A wtedy nóż w piersi wbity do rękojeści, iglica rozpaczy przeszywa zbolały mózg, skurcz zapiera oddech i woda słona ciecze z oczów sama — tedy las pokorną mową przemawia do otaczającej go przyrody. Jeżeliś człowiek i jako człowiek kochał i pragnął i tęsknił i chłonął w siebie żar krwi roztęsknionej, jeżeliś noc przemarzył na łożu udręczenia, jeśliś się biczował myślami, jeśliś umierał przed przemożną potęgą niemocy człowieka, jeśliś się kajał przed własną godnością w śmiertelnej ciszy — zrozumiesz subtelny język lasu.

Lecz jeśliś nie był człowiekiem, i jednocześnie prochem i niczem — odejdź... nic nie zrozumiesz; zostaniesz jako głaz głucho przeklęty: tylko duch z duchem rozumieć się mogą.

I oto przyszedł taki wietrzyk, uderzył w archanielskie struny w skupieniu stojącego lasu i ten przemówił. Z początku cicho, niezmiernie cichym szelestem, jak gdyby przytłumione westchnienie liść podał liściowi, wewnętrzny jęk gałąź gałęzi i pień zamruczał skargą do pnia sąsiedniego.

I powstał szum, podniósł się pogwar po całym lesie jak idzie tuman po piasczystym stepie.

Szum rośnie z każdą chwilką, wzmaga się, potężnieje i przechodzi w ostry, zgrzytliwy rytm i dusza nabrzmiewa niewytłumaczonym, nieuchwytnym żalem, zadrży ciało i załka rozgłośnie i płacze... płacze... płacze! Wówczas stoisz smętku pełen i powtarzasz wraz z płaczem lasu: o dniu urodzenia mego, godzino na świat przyjścia, o ty sekundo pierwsza, w której blask słońca ujrzałem, o pierwszy płaczu mój, zwiastunie osamotnionej mojej doli; o lata dziecięce i zaranne cyprysy młodzieńczych zawodów, o sny barwiste tęczowego światopoglądu, o lata, lata dojrzewania kwiatu mej duszy, o lata sączenia jadu kropla po kropli na uczucia moje świeże i z pąków rozkwitające — o gdzież wy, gdzież, samotnicy, błądzicie, gdy oto ja... ja tak opuszczony... i tak zmęczony... i taki sam, sam jedyny stoję!... I ty rozumiesz las, mowę jego śpiewną, a on rozumie ciebie.

Płacze, huczy coraz potężniej i huczy i huczy z ponurym gniewem, z surową rozpaczą, a tknięty współczuciem zawyje przejmująco, bo czuje jak jesteś smagany przez ukochane życie, aż się rozlegnie i krzyknie straszliwy okrzyk lękliwej zgrozy nad losem twoim, biedny, o słaby i tak mocarny człowieku. Mienią się tylko w promieniach światła roztkliwione liście, jak w paroksyzmie czarnej go-

rączki i milknie strwożone ptactwo i z bólem tuli się w gniazdach, bezsilnie trzepiąc skrzydełkami w spazmatycznym strachu i panice.

A las się rozszlochał, jak ten, co zmarnotrawił duszę i skarby bezcenne życia — żal i jęk i szum sięgają zenitu; wyje wprost strasznie, gwiżdże pomrukiem i jęczy i jęczy i charcze taką męczarnią łkania i tak bezbrzeżnie dławi się smutkiem, że wszystkie kwiaty na łące okryły się posępnym cieniem żałoby, pospuszczały kielichy jakoby zwarzone mroźnym podmuchem zniszczenia, zduszone brutalną dłonią śmierci.

Ognista kula słońca wtoczyła się wyżej i prażyła las dobroczynnym żarem — pod tchnieniem ciepła, on koił się w męce: prężył konary, prostował gałęzie, wyciągał liście, nabierał mocy i otuchy, pił światło wszystkiemi porami, krzepił się niem i cichł, dyszał metalicznym dźwiękiem, jak dostały łan żyta w senne i błogosławione południe chlebodajnego lata — milkł zupełnie.

Czasami jeno przeszywały go ostatnie drgawki; niekiedy szepnął jękliwie, jak odgłos ligawki w oddalonych górach, lub westchnieniem spłakanego dziecka; to znowuż rozsrożył się gwałtownie, rozryczał gniewnie, zakołysał z rozmachem i roznamiętniony, buchnął sykiem poświstu, jak smok miljonogłowy i targał koroną swej grzywy i słał tęsknotę w przestrzeń, bił oburzeniem w nieba. Wreszcie uciszył się i ukołysał całkowicie — stał

w wielkiej ciszy, w niezmąconej najlżejszym gwarem miodowej błogości, był cały jakby ze złota i zieleni. Nad nim unosiły się jakieś muzyczne półszelesty, uśmiechy rozjaśnione i srebrne półgłosy, jak z anielskiej harfy. Stał cudny, słodki wzniosłością, dumny majestatem, porywający spokojem i harmonją piękna. Czasami głośniej kukała kukułka, donośniej zapukał dzięcioł, długim, melodyjnym gwizdem odzywała się wilga, lub słowik, ukryty pomiędzy liśćmi, zanucił rozlewne akordy i mdlał z miłosnej niemocy.

A w powietrzu panowała nadziemska cichość; miła, rzewna woń czarnej gleby, balsamiczne, rozkoszne aromaty kwiatów i ziół drżały w atmosferze nieprzebranem omdleniem rozlewnych upojeń, porywającej ekstazy uwielbienia przyrody, a jędrny, surowy chłód pobliskiej rzeki, pod palącemi słońca blaskami, wił się po nieobjętych obszarach. Las, niebo, rzeka i łąka, kwiaty i góry śmiały się do przestworza i słońca tym jasnym głosem życia, muzyką śmiechu, brzemiennym nerwem twórczości, pełnym energii i pełnym tężyzny rodzenia. Od wschodu lasu, pod rozłożystemi konary drzew, grek olbrzymiego wzrostu, w blado-niebieskiej tunice, w chodakach z koźlej skóry, stał pochylony nad bryłą marmuru i pracował z mozołem. Niekiedy prostował zgarbioną postać i zamyślonym wzrokiem spoglądał przed siebie i zdawał się dumać zasępiony.

Srebrny poświst lasu budził go zwykle z tego półsnu i półjawy; rozjaśnionym wzrokiem patrzył dookoła siebie, wzdychał radośnie i na nowo brał się do pracy. Przestawał zawsze na łonie natury, zżył się ze światłem dnia i mrokiem nocy, ze szelestem drzew i cichą poranną modlitwą łąki. Niebo było jak wielki i czysty namiot rozpięty, bez chmurek i przykrych cieni, tylko na zachodzie, hen na zrębach lasu, sfałdowane pełzały dymy, jak grzbiety postrzępionych i spienionych fal, a na północy, w błękitnawym tonie, wisiały zlekka zaróżowione plamy; a przeogromne, rozżarzone słońce z wyżyn nieboskłonu zlewało ociężałą niemoc i żar wprost nieznośny.

Na wzgórzu ukazał się młodzian, ubiór jego był podobny do tego, jaki nosił stary grek; trzymając kamienną amforę szedł smutny, zgnębiony i pełen nieokreślonej goryczy w całej postaci.

Wolnym krokiem zbliżył się do starca, nied bale rzucił amforę na ziemię i nie mówiąc ani słowa, usiadł na kamieniu.

Na ten widok stary grek zadrżał nieznacznie i w niemej cichości, podszedł do młodego; położył mu rękę na ramieniu i pozostali, jak posąg, w głuchem milczeniu, zasłuchani w bicie swych serc i w tajne głosy dusz samotnie idących po drodze cierniowej, po ścieżkach usłanych wyostrzonymi kolcami opuszczenia. Po długiej chwili bolesnego rozmyślania, rzekł młodszy:

— Smutno mi, ojcze, ogromnie mi smutno na duszy. Przekupnie w winiarniach odmówili mi sprzedaży wina, nazwali przeklętym, niegodnym synem niegodnego ojca, a gdym powracał, podjuszczony tłum, obrzucił mnie błotem i kamieniami. Każdy niósł tylko ślinę i słowo śmierci na rozpalonych ustach... Czemu, o ojcze, czemu oni są tak zatwardziali, zaślepieni dla ciebie i dla mnie?...

— Synu mój — wyrzekł stary grek po namyśle — niechaj cię nigdy nic nie dziwi, tembardziej podłość i zaślepienie ludzi. Gdybyś żył dłużej, wiedziałbyś, że najbardziej bluźnierczym grzechem natury — jest stworzenie człowieka i że ten proch marny skupił się w duże gromady na pohańbienie własne i na udręczenie drugich nikczemnych robaków!

I starzec w oczach miał błyskawice nienawiści, na ustach lodową pogardę bogów; wzniósł obie dłonie i wskazującymi palcami groził oddalonemu miastu, które w blaskach słońca i przejrzystej jasno-fioletowej mgle było całe spowite. Marmur nabijany złotem odbijał promienie i raził oczy oślepiającym błyskiem wypolerowanej miedzi; ponad miastem, kolumnami świątyń i amfiteatrem igrzysk unosił się lekki białawy pył, jak gdyby rozpylone łzy, wylane przez nieszczęśliwych po ukrytych miejscach.

— Gdybym miał siłę przyrody, stałbym się trzęsieniem ziemi i zmiótł z powierzchni jej czło-

wieka — bo skoro on niczem więcej być nie umie jak marnym człowiekiem, zależnym od swych nieudoskonalonych zmysłów, lub biernem narzędziem u sprytnych handlarzy — to niechaj zginie i zapadnie, i niechaj będzie niczem, jako ten pył, którego wicher rozniesie po łące!... Gdybym był słońcem, spaliłbym ich na popiół, gdybym był morzem, zalałbym, gdybym był siłą, uśmierciłbym ich, jak piorun uśmierca słabego gołębia.

— Ojcze, przecież i ty jesteś człowiekiem i ja nim jestem, zatem i naszej trzeba zaguby?...

— Nie, synu, są dwa rodzaje, dwa gatunki człowieka. Do jednego należą oni, do drugiego — ja i ty. Ludzie - bogi i ludzie - robaki. Człowiek bóg — to tajemnica, to źródło boskości na nieskończone czasy, na nieprzerwane wieki, to zawiła zagadka, jako cały obraz nieb, lądów i mórz. Człowiek taki ma w sobie gloryę chwały nieśmiertelnej, bo jest sam chwałą bez końca i bez początku. W jego dłoniach spoczywa rubinowy ster życia, krynica słodyczy, a w piersiach cud odradzania. Drugi rodzaj człowieka — to ujmę się czyni zwykłemu zwierzęciu, jeśli go porównać z człowiekiem, to bezrozumna chmara gorsza od szakali, bez woli i bez rozumu, pełzająca podłością i tchórzostwem. Nigdy oczów wznieść wyżej nie potrafi, jest karla w występku i cnocie, w dobrem i złem, w błogosławieństwie i w zbrodni; ani na szczyty niebotycznych wyżyn, ani w głębiny

otchłani myśl ich pożądań nie wybiega, tak samo jak drżą przed ogromnym bólem, tak i przed wielką rozkoszą. Dlatego nienawidzę ich i pragnę ich zaguby, dlatego uciekłem z tobą w swoją ustroń od tych niewolników i szarlatanów.

Syn zachmurzył się, czoło sfałdował w głębokie brózdy i milczał ponuro, jeno delikatne nozdrza falowały szybko, jakby się dusił z braku powietrza. Starzec westchnął ciężko, przegarnął srebrne włosy.

— Ojcze — przerwał młodzian — żali my nie mylną kroczymy drogą, żali nie fałszywe są kroki nasze? Powinniśmy iść tam do nich, pomiędzy nimi zamieszkać i nauczać, że człowiek jest bogiem, świat cały jedyną ojczyzną, a wszyscy ludzie równi bracia?... Otworzyć oczy ciemnocie i zawstydzić kłamców?...

— Nie, synu, żmija nie przestanie być żmiją. Motłoch głupi wierzy ślepo kapłanom, gdyż mu grożą zemstą urojonych bogów. On chce mieć zawsze kark zgięty we dwoje i chce służyć potężniejszemu od siebie. Chce wiecznie się łudzić i ufać, bo boi się żyć samodzielnie, stać w nieszczęściach samemu! To jest urodzajnym deszczem na złotej glebie dowcipnych piastunów poetycznej boskości; oni wyrzekną się raczej życia swego, niżeli ogłupiania biernego tłumu. A gdy chodzi o ich władzę — nie cofną się przed niczem. Posłuchaj, co mnie się zdarzyło, zanim zostałem wro-

giem całej Grecyi i ona moim zawziętym wrogiem. Kiedy nademną dwadzieścia przeminęło wiosen, widziałem wszystko w uśmiechających się ze szczęścia tęczowych malowidłach; wszystko przemawiało do mnie błogim językiem kochania, zaczarowaną mową miłości, słowem zachwycenia; pogoda porannego słońca szeptała do mnie rozlewnem uczuciem wszechrozkoszy, błękitnem, cichem upojeniem; spokój majowej nocy gwarzył do mnie muzycznym oddechem i zwierzał mi miłe sny motyle, wykwitłe na jękach nieznanych przepurpurowych kwiatów tęsknoty srebrne róże kojnego wytchnienia, przejasne lilie niewinności pożądania i pragnień. I było mi tak dobrze... tak dobrze na sercu i duszy; kochałem wszystko niezmiernie mocno, szczerze i głęboko i modliłem się każdem spojrzeniem do przecudnej natury, bom widział wszędzie szczęście życia, kipiącego warem krwi młodzieńczej i nieustającej w obiegu ku skończonej doskonałości. Widziałem wszędzie jasność bez granic, słyszałem uśmiech drzew i dźwięczne rozhowory liści, czułem rozradowanie każdego nasienia kwiatu, każdego ziarnka piasku, gdy po dniu upalnym wchłania, o sinym zmroku, odżywczy sok dobroczynnej rosy. Byłem szczęśliw radością powszechną i moją werwą młodości, na jawie śnionych rubinowych marzeń, złocistych miraży młodego wieku. Byłem tak szczęśliw ogromem umiłowania, żem ziemię całował i z nad-

miaru szczęścia i tężyzny krzyczałem w pełny głos. »O życie!... życie rozbrzmiewaj pełnymi tonami, rozbrzmiewaj życie!« I byłem jako rozśpiewana struna, jako narzędzie śpiewne; w piersi miałem chóry rozmodlone, w oku zorzę blasków, a w sercu pieśń... pieśń bez końca; byłem wielki i nieprzebrany, jak tonie lazurowego przestworza i tak jak one budziłem ducha z martwego uśpienia, wydobywałem go z więzów, prowadziłem do promienistej doli wytchnienia — tworzyłem piękno!... Sala balowa Aryadny, labirynt Minotaura, ozdoby miasta, statua Minosa, posąg Herakla — wszystko to dziełem mojej twórczości; jam ludziom pragnął ukazać nowe, nieznane im jeszcze światy, które drzemią w ich gnuśnych łonach!...

Gdy po długich godzinach gorzkiego rozmyślania, po zagłębianiach i dociekaniu we własnej jaźni — poczułem niewolę głupią, a straszną człowieka, wiarę we władanie losami świata przez zmyślonego Zeusa, wyzysk i łotrowstwo jego sług, szalbierstwo wyższych rozumem, tyranię zdolniejszych — zapragnąłem wyzwolenia. A za umiłowanie moje, za moje trudy i prace i znoje i noce spędzone w męce — oni mi krew zatruli. Wszystko, co wonne i złote, co drga i nuci poszumem oni są zdolni zohydzić, obryzgać pianą cynizmu wszystko, co serce umiłować może. Więc dlatego, dlatego życzę im, aby się tłukli, jak dym w słotną porę zawsze i wszędzie, aby szli ciągle ze zgię-

tym karkiem, jak trzoda na rzeź, aby konali wiecznie w niewoli u drugich, by błądzili w stęchłej ciemności i nie ujrzeli słońca przez najdłuższe lata!... Podły i godzien najgłębszej pogardy niewolnik, niepragnący potrzaskać swoich okowów i nie zdusić ciemiężyciela; niegodnym stąpać po ziemi, pożywać chleb, owoc i wodę!...

Wyprostował się jakąś tajemną mocą i rósł i potężniał przeogromną siłą, aż stał straszny pragnieniem zagłady; z siwym kosmykiem na czole, sypiąc oczami czarne iskry niechęci, był rozpłomieniony i buchający falą tragicznych nieszczęść i zawodów swoich, ręce wyciągnął do słońca, jak gdyby je pragnął ubłagać, by jak najdalej szybowało od ziemskiej skorupy, lub spadło i ciężarem własnym zgniotło znikczemniały i wyrodny rodzaj ludzki.

— Ojcze, jeśli się mylisz?... Jeśli im dobrze i błogo w niewoli?... Jeśli oni czuć muszą ból zadawany biczem?...

— Hańba temu, kto nie pragnie drugich wydźwignąć!... Czemu oni wszyscy nie mają być bogami, czemu nie mają być przeistoczeni?... Czemu nie mogą być wszyscy najdoskonalsi?... Przecież małpę wytresować można i lepszą wytworzyć rasę!... Dawniej pragnąłem ich zbawić i uszczęśliwić — dzisiaj życzę im tylko powolnego gnicia.

— Sam mówiłeś, ojcze, że hańba temu, kto

nie pragnie drugich wydźwignąć, więc czemu pragniesz spokoju?... żali pożądałbyś hańby?

— O nieroztropne moje dziecię. Pomiędzy pragnieniem a możliwością wykonania leżą całe światy i mroczne przepaście nie do przebrnięcia. Zaprawdę mówię: łatwiej wzrokiem przerzuciłbyś największe góry Grecyi, niż tłumowi dowiódł, że jest nieszczęśliwy. On jest niewdzięcznikiem, co kaleczy rękę, opatrującą rany. Skoro pójdziesz do nich i słowo jedynej prawdy wypowiesz, jak plugawe gady rzucą się na ciebie i jedyny wyraz usłyszysz: na zatracenie tobie!... Oni nie mogą znieść, by kto był bodaj o głowę większym od ich boga i śmiercią głodową tego zamęczą!... Strasznym tworem jest zwierzę ludzkie, obdarzone wolą niekrępowaną i odrobiną mózgu. Trzeba uchodzić od niego, jeśli się chce zachować swą godność boga i twórcy, bo to jest najświętsze i najtrwalsze, co sam zdołasz stworzyć. Pomiędzy nimi malejesz, stajesz się zaledwie dostrzegalnym pyłem, okruchem spadłego śmiecia; jeśli masz duszę — ukamienują, jeśli serce — oplwają. Uciekaj do swej pustelni, choćby w głuchej pustyni, tam w obliczu surowej przyrody poczujesz urok i bajeczny zachwyt życia i wielkość duszy swojej; w niemej spowiedzi z samym sobą zrozumiesz dostojność twego umysłu. Gdy myślom puścisz wodze, jako rumakom ognistym po płomiennych szlakach, gdy uczuciem otulisz wełniste fale

morza, gdy duszę położysz na rozhukanej piersi grzmotowej burzy i gołem okiem zmierzysz się z siłą gromowego błysku — zrozumiesz całą nieskończoność i pokrewieństwo swoje z naturą!...

— Więc jakaż jest rada dla mnie i dla ciebie i dla nich?... Żali żyć obaj mamy w bezczynie?...

— Tak jest. Winniśmy żyć zdala od nich, zdala od ich widoku, on nas pokalać może, zapatrzeni sami w siebie, zasłuchani w tętno swej krwi, dopóki nie przyjdzie koniec pogodny. Odejdziesz bez żalu, jeno z goryczą, że dłużej nie można podziwiać wschodu i zachodu, ciepła południa i mrugania złotych gwiazd o północy.

— To straszne, ojcze, to straszne!...

— Straszniejsza jeszcze męka niemocy, zatrata siebie i podeptanie w sobie nieskalanego ptaka swobody. Lecz jeśli mi nie ufasz i sądzisz, że w zbyt pogrzebowych barwach maluję ludzi, to, synaczku, idź do nich i podnieś walkę z tysiącami, rzuć rękawicę możnym, próbuj dłoń podać uciemiężonym — zostaniesz śmiertelnie ukąszony przez obie strony!... Za chęci i czyny oswobodzenia, płacą kamieniem przekleństwa i szyderczych syków bezmiarem. Powrócisz do ojca swego i na jego łonie cicho zapłaczesz. Oni nie lubią, by im przypominać, że chodzą w kolczastej i ciasnej obroży, w dusznym deptaku posłuszeństwa, że dźwigają jarzmo siły, że są stadem głupich owiec, pędzonych ostrym świstem kańczuga. Powrócisz,

synaczku, do wspaniałych komnat samotności i w rozmyślaniu leczyć będziesz zadane rany. Tu cię czekać będzie zawsze przychylna cisza, bratnie współczucie natury i przyjacielskie serce ojca. Jeśli twój instynkt boga, domaga się w tobie tej piołunowej ofiary na świętym ołtarzu życia, jeśli masz być cudnym trybularzem poświęcenia — idź... lecz oni twój ogień wonny zatłumią cuchnącą szmatą pospolitego obowiązku, twe kadzidłowe dymy całopalne rozwieją zatrutymi oddechy, a twoje kwiaty ziół z kałem zmieszają. Idź, synu, i niechaj rozpacz lekką ci będzie!...

Milczeli obaj w długiem, tępem zamyśleniu, obojętni na donośny rytm śpiewu, rozmiłowanego w słodkim dniu ptactwa. Melancholijnie metaliczny szum lasu, szelest delikatnie strząsanych liści i monotonne, ciche bluzgi płynącej w rzece wody sprawiały rozmarzony nastrój, subtelne ukojenie błogosławieństwa zmęczonej duszy.

Daleko na łące, klekotał gardłowym basem bocian i czasami rechotały żaby w moczarach; w zarumienionem przestworzu śmigały, jak żywe strzały, młode jaskółki, to znowuż niekiedy przeszybował orzeł, łopotał wielkiemi skrzydły i tonął hen, hen, niezmiernie daleko w rozpalonej jasności dnia, za błękitnawym pierścieniem lasu.

Niebo było czyste, niepokalanie białe i jakieś płynne, że sączyło falami nadzwyczajnie upajającej woni; zewsząd wiał balsamiczny urok i lęk

i rozmodlenie, zewsząd drżało kochaniem, tętniało hymnem niemej ekstazy.

Wreszcie syn powstał, utopił w ojcu smutne spojrzenie i po długiej chwili rzekł:

— Ojcze, ty nie potępisz syna i nie policzysz za występek, jeżeli on sam pragnie doświadczeniem stwierdzić twoje wywody?... chce iść między ludzi, chce żyć razem z niemi i jeśli oni cierpią, chce cierpieć ich cierpieniem, śmiać się ich śmiechem, płakać i łzami dzielić się z nimi, jako i wszystkiem, co oni i ja posiadam. A jako twój straszny wstręt i obrzydzenie i nienawiść, tak i ich nikczemność i wstyd i zohydzenie wypływa — z cierpienia, albowiem wszystko rodzi się z cierpienia!...

— O synu, krew z mojej krwi i duchu z mego ducha!... Ojciec twój nigdy od nikogo nie żądał gołosłownej wiary, ona jest kruchą jako uschnięta gałązka. Zaprawdę powiadam: na motylich nogach stoi hasło prawdy i wiary, podanej na czczym słowie człowieka; hańba na wieczność temu, kto wierzy światom, których rodzicami były przestrach i nieświadomość. Są dwa rodzaje prawd: jasne a ślepe, i przeczuwane; jedną się odkrywa i potwierdza okiem, ręką, uchem, ciężarkami — drugie rozmarzona tęsknota twórców z ich piersi wysnuwa!... Wyparłbym się ciebie, skoro byś na język jedynie mi wierzył. Idź, niechaj miłość do starca nie kładzie uzdy na zamiary w zdobyciu

twojego świata prawdy. Na drogę daję ci prawdę, życiem zdobytą: niechaj cię nic nie gorszy ani dziwi, niech nic nie wzbudza twojej wiary ani zwątpienia. Gdy o tem zapomnisz — szaleństwo i obłąkanie nieodstęunym towarzyszem ci będzie!... Idź, obyś w przybytku zatracenia nie zgubił samego siebie, w arce zniszczenia, w uczelni kłamstwa, w kuźni zbrodni nie stał się pająkiem i oby niebo spadło na głowę twoich mistrzów występnych. A gdy poznasz, że marność jest dzieł wszystkich końcem i niepamięć ostatecznym celem, najpotężniejszych istnień mgła nieświadomości — powracaj do ojca, jego ramiona zbudują dla ciebie namiot odpoczynku i wytchnienia, palce wyciągną kolce z poranionych stóp twoich.

— Dzięki ci, ojcze, i bywaj mi zdrowy stary mistrzu, piastunie duszy mojej, opiekunie i nauczycielu!...

— Niechaj lęk drżenia niema dostępu do ciebie; nigdy ten zdobywcą nie będzie, który jęknie przed wyprawą. Obyś miał kamienistą drogę do przebycia, albowiem na kamieniach nie lęgną się i nie budują legowisk żmije, aby pożar słońca był jeszcze ochłodą na członki twoje, a wicher północny chronił od zimna serce twoje — do najdłuższego zobaczenia!...

— Do najdłuższego zobaczenia!... — odparł, jak echo, młodzian i ruszył przed siebie, ku najbliższemu miastu.

— Oby morze mogło zalać gorycz poznania twego, o synu mój, ogień wewnętrzny ziemi mógł wypalić zielska rozpaczy!... — powtarzał stary grek patrząc smutnie za niknącym w dali przyjacielem.

Na dalekim wschodzie poczęło robić się ciemno; z krawędzi horyzontu wyłamał się jakiś sinawy, zrudziały zmrok i szedł po przestrzeni niebiosów, jak idzie równa spokojna fala ku niewidocznemu skalistemu brzegu; wkrótce całe niebo przybrało ton przyćmionego dymem srebra. Gdzieniegdzie potworzyły się ciężkie, gniotące, ołowiane chmury — zwiastuny nadciągającej burzy i rozpętania żywiołów. Z gór i rzeczki podniósł się najpierwej lekki wietrzyk i wiał w górze, ponad ziemią, jakby pragnął rozpędzić i zniszczyć obrzydliwe chmury, niby hańbiące plamy rozpromienionej natury; w miarę jednak jak niebo stawało się ciemniejsze, wiatr nabierał siły, aż dobiegł zenitu. Porwał się, jak gwałtowny, rozogniony, wściekły smok, dął huraganem; uderzył na pierś rzeczki, zburzył, skłębił, skotłował maleńkie fale wody; później wpadł na łąkę, z głuchym gwizdem wytarzał się po zielonej runi i z szalonym rozmachem runął na rozrosłe ramiona lasu, który pod tym ciosem zadygotał cały, jak człowiek uderzony potężnym młotem, na chwilę oniemiał struchlały, następnie jęknął, zawył grubym pomrukiem, opuścił konary, pochylił wierzchołkami, zniżył korony i girlandy liścia, jak chylą się dojrzałe

kłosy jęczmienia, a wicher tryumfalnie przeleciał po grzbiecie lasu migiem wielkiej błyskawicy i wydostał się na szczere pole. Tu przypadł do ziemi, zagarnął tuman suchego piasku i jak bajeczny wąż zwinął się w potworny kłęb, wspiął się na grube łapy i kurzem plunął w chmury, w niebo i w przestrzeń; targał tak falami powietrza, że słychać było niewyraźne postękiwanie ziemi, jakby poza ścianą widzialnego świata w wyczerpującej szermierce, walcząc o śmierć i życie, ryczeli olbrzymy. A potem turkusowa jasność rozpruła ciemności, a za nią grzmot i ogłuszający grom po gromie walił ognistemi strzały w puste i zalęknione powietrze, aż kanonadę piorunów przerwała zastraszająca ulewa.

Stary grek z założonemi na piersiach rękami patrzał przy świetle błyskawic w tę stronę, w której zniknął syn, a po majestatycznej twarzy spływały łzy — płakał i z nim płakała natura nad zgubą prawdziwego człowieka, nad wykrzywieniem swego najcudowniejszego tworu, bo kto idzie między ludzi — mniejszym stamtąd powraca człowiekiem!...

* * *

Młody grek przybył do swego rodzinnego miasta, zmęczony podróżą i niewywczasem; pragnienie i głód poczęły mu dokuczać nieznośnie.

Atoli skoro pojawił się na ulicach lub placach, tłum wytykał go palcami i rzucał za nim kamienie; dzień cały błądził bez celu, sam nie wiedząc co począć, albowiem gdy przystanął i chciał przemówić do ludu — podniósł się krzyk i szyderstwo, gwizd, sykanie i śmiech.

— Patrzcie, oto Ikar, syn ojca bluźniącego bogom i władcom!... Chodzące zepsucie obyczajów!... Przyszłe zniszczenie i zatrata ojczyzny!...

Okrzyk ten wystarczał, by Ikar spotykał się ze śliną ciemnego motłochu, spragnionego wiary w przepowiednie, wieszczby i cuda. Wycieńczony zbliżył się do źródła; zaczerpnął wody, i gliniane naczynie podniósł do spieczonych ust. Wnet z otaczającej zgrai wysunął się jakiś człowieczyna i uderzeniem dębowej pałki potrzaskał kubek na tysiączne skorupy. Widząc to kapłan stary i siwy, wysłużony na modlitwach i matactwie, obwieszony wspaniałemi szaty i kamieniami cennymi, podszedł do zuchwalca, wzniósł lewą dłoń na znak pozdrowienia i rzekł matowym głosem:

— O gorliwy z najgorliwszych, nad tobą widomy znak łaski wszechmocnych bogów promienieje, skoro bluźniercy odmawiasz napoju. Każdy powinien strzedz ognia, ziemi, wody i wszystkich rzeczy przed zbliżeniem pohańbionego, odstępcy i zaprzańca. Obyś w błogosławieństwie Zeusa, jako w złocie chadzał!... A wy wszyscy, tu obecni, musicie stronić od tego tu człowieka, jako od zarazy,

inaczej bogowie każą wyjść morzu ze swego siedliska i niszczyć chaty i domostwa wasze, rolę i dobytek, w wiecznie ciemną krainę błądzenia odeślą was, o wierni!... Pokutę czynić trzeba nam wszystkim za zniewagi wyrządzone przez niego.

— Biada nam, biada dzieciom naszym, biada przeszłym i przyszłym pokoleniom naszym!... — zaryczał przerażony tłum i chwycił za kamienie.

I gdy w milczeniu czekano skinienia kapłana, nieustraszony Ikar wyszeptał:

— O nieszczęśliwi zapaleńcy mali, nawet do zbrodni oczekują znaku!... — później dodał głośno: — Ty, mocarny ślepotą ludu kapłanie, jak możesz mnie osądzać, ażali wiesz, co z sobą przynoszę?... Może przynoszę pokłon twoim ołtarzom?... Może przynoszę uwielbienie dla ciebie i dla tyrana Grecyi?... Ażali prawdę wykażesz na słońce, na światło dnia złotego, uśmierceniem mojem?... Na senne przysięgam burze, licha to będzie prawda, kapłanie!...

— Potępiam ciebie w imieniu prawdy, której objawienia codziennie uczuwam, składając obiaty!...

— A ja uczuwam, że usta twoje głoszą bezczelność i kłamstwo!... Czyjaż więc prawda prawdziwsza?... Jeżeliś mocen, wytłumacz mi!...

— Duchy ciemności mówią przez ciebie, jadem ostrzyły twój język występny. Oto ty jesteś nasieniem tego, co wszystkiemu przeczy, niszczy, a nie sieje!...

— Już poznałem ciebie, o krótkowzroczny, mądrości uczono ciebie w ciasnem kółeczku myśli. Kto siać pragnie, pierwej musi wyniszczyć wszystkie zielska, inaczej nigdy i nic nie zbierze ze swego siewu; kto przeczy, temu błysnęły różowe kwiaty poznania, kto burzy, ten czyni miejsce dla doskonałości. Doprawdy, widzę, że potęga twoich bogów nie nauczyła cię nawet mówić!... Jacy bogowie, tacy i kapłani!...

Potem zwrócił się do zasłuchanego tłumu i krzyknął tak uroczystym głosem, że dreszcz przebiegł zebranych.

— Hej! ludu ateński! przysięgam ci na dymiące góry ogniste i na falujące morze i na śmierć moją z twojej ręki!... Niechaj on mnie zmusi do milczenia nie siłą twoich kamieni, lecz wywodami swego rozumu, że się mylę, uchylę głowy... Teraz możesz, biedny tłumie, ukamienować odszczepieńca, rzuć kamieniem kto żyw i kto ma odrobinę odwagi swych czynów!...

Tłum zaszemrał pogwarem, jak bór wieczorem w cichej jesieni i wypuścił z rąk pociski, a kapłan widząc zwycięztwo Ikara, przebiegle ratował swoją powagę.

— Ludu wiernych, niegodnym jest ten człowiek umierać z rąk greków! Grecy zabijają tylko wrogów, on nie wart być naszym wrogiem; grek przykłada rękę do tego, co jest godnem!... Niechaj on idzie w spokoju, niechaj opuści bramy

wspaniałomyślnego miasta; bluźnierstwa jego nas nie dotyczą. Niechaj zmarnieje na dzikiej pustyni, krew jego kruki wypiją, a prochy zeschniętego ciała wichry nadbrzeżne zaniosą na bagna bezdenne, tak mówią bogowie przez moje usta do ciebie, mój ludu!... Chwała im za to, chwała po trzykroć od krańca do krańca, od morza do morza, od wschodu do zachodu!...

— Chwała bogom!... chwała!... chwała!.. Wielki i niezbadany jest Zeus w tajnych wyrokach swo ich!... Idź, trucicielu, w spokoju, tak każą bogowie przez jego mądre usta!...

Gdzie stąpisz, obyś wyżłobił przepaść, otchłań niezgłębioną, gdzie złożysz głowę, oby wyrosła skała ponad chmury.

— Byś nie odnalazł drogi do ojczyzny naszej!... — dorzucił kapłan.

— Byś nie odnalazł drogi do ojczyzny naszej!... — powtórzył lud.

Tako się skończył pierwszy dzień wędrówki Ikara.

* * *

Był między ludźmi długo, bardzo długo, lata całe. Spostrzegł ze smutkiem, poznał z boleścią i z męką, że słowa ojca były najjaśniejszą prawdą, godną, by ryć ją złotem na najcenniejszym marmurze ziemi. Poznał, że największym ślepcem

jest ten, który widzieć nie chce, że łatwiej byłoby kamień przekonać, że jest kamieniem, niźli człowiekowi prawdę uczynić przystępną. Chodził od miasta do miasta, od sioła do sioła. Najpierwej zwrócił się do możnych, posiadających władzę, wyszkolenie, poczucie piękna i jedwabiste słówka na wypieszczonych ustach — nie wiedział, że białe, starannie utrzymywane ręce najchętniej krwawy bat trzymają. Pytał ich z początku o boga, o świat i ziemię i ogień i ból i słodycz rozkoszy. I ku bezmiernemu zawstydzeniu swemu, spostrzegł, że o tem wszystkim nie sądzili, co gorsze, nie mieli swego zdania.

— Że bóg Zeus z całą chmarą pomniejszych bogów istnieje — odpowiadał niejeden — słyszałem, alem go nigdy nie widział, ani nie czuł w burzy przestrachu, ani w pogodzie. Świat się rozciąga dokąd oko moje sięga. Jako mnie ojcowie wierzyć nauczyli — wierzę!... Ziemia istnieje, by mogła bogów chwalić i kapłanom datki ofiarowywać; ogień dobry, gdy zimno — bólu nie znam, a słodycz rozkoszy — to niewiasta piękna, muzyka fletów i odbierające przytomność boskie wino. Oto wszystko, co do życia na ziemi potrzebne!...

— A doskonałość?...

— Nie znamy podobnego dźwięku, przeto nie wiemy, co ono słowo mieścić w sobie może.

— A duma?... A godność?...

— I jedno i drugie używamy w stosunku do niewolników.

— A do wyższych, władców i tyranów?...

— Pokorność i posłuszeństwo jest matką wielkiego powodzenia. Władza jest symbolem porządku i łaską daną nam z wyżyn — nie wolno patrzeć na nią zezowatem okiem.

A gdy Ikar uczył, że bogowie w piersi ludzkiej nie w niebie zamieszkują — milczano grzecznie; lecz skoro nakazywał pokorę i dobroć wobec niewolników, — wyśmiano szyderczo i batogami został oćwiczony i za bramy miasta haniebnie wygnany. Miano go za warjata, burzącego cały dotychczasowy system patrzenia na życie ludzkie, jako na takie. Jakto?.. przybłęda, niewiadomo kto go rodził, kto go na rękach nosił i owijał w pieluchy, ośmiela się przychodzić, zuchwalec, zbrodniarz, i twierdzić, że każdy piastuje w sobie, dźwiga cudowną iskrę twórczości w swem sercu; i patrzeć może na wszystkie radości dnia i nocy łakomemi oczyma?... Wobec niewolnika złamać swą nieokiełznaną dumę, być pokornym i prosić o pozwolenie korzystania z jego owocu pracy?... Bogowie, czyż zabrakło piorunów na prześlicznych komnatach Olimpu, by podobne zuchwalstwo w zarodku ogniem zniszczone nie zostało?... Bogowie jeszcze żyją na to, by karać krnąbrnych, gdyby im kiedykolwiek przyszła ochota do nieposłuszeństwa lub wyłamania się przyrodzonym prawom

ich przeznaczenia. Niewolnik jest zrodzonym na to jedynie, by pracował, użyźniał nieurodzajny grunt i cierpiał i milczał, jak ryba i jako ona miał krew zimną. Bogowie stworzyli względne szczęście li tylko dla wybranych; oni tylko mają krew czerwoną i ciało czujące, wszystko jest przeznaczone do ich wyłącznego użytku i miłej potrzeby. Taka jest sprawiedliwość i takie prawo boże — kto na czyjej roli zasiewa zboże, kto w czyjej winnicy strzeże wina, to zebrany plon musi oddać właścicielowi; albowiem rola i winnica jest skarbem, otrzymanym drogą spadku, a uprawiający jest tylko — stróżem!...

Razu pewnego, na środku rynku, głosił Ikar, że nikt nie urodził się z przywiązanym worem złota, a nawet marnej ziemi, a zatem nie ma prawa do niczego na wyłączny użytek, i jeśli postępuje inaczej — jest nieprawnym posiadaczem, grabicielem. Za taką naukę wygłoszoną pod gołem niebem, został osmagany do krwi i wrzucony do ciemnego lochu; siedział długi czas, sam nie wiedział jak długo. Od wilgoci posiwiały włosy i poczerniało lice; oto stał się starcem. Siedział zamknięty, a naczelny dozorca szydził zeń ciągle, czemu bóg ukryty w jego piersi nie przywróci mu łaskawie zdrowia i siły, czemu mocą niewidzialnych skrzydeł nie wyprowadzi go z jego zamknięcia. Ikar był wyższy ponad wszelkie cierpienia; nie skarżył się nikomu i nigdy; był jak kamień. Zamknął usta

na dostojne pieczęcie milczenia i dumał ciągle. Marzył o ojcu pod lasem, o cudnych dniach spędzonych w miłem otoczeniu przejasnej i królewskiej matki przyrody. Przeżywał przez nieskończenie długie dnie, świetlane chwile dzieciństwa i lat chłopięcych, i tęsknił, tęsknił... do ludzi.

O ludzie, o bardzo biedni ludzie, marzyło serce Ikara, o wy ułomne twory, istoty słabe, słabiutkie i nieudolne, bezbronne ptaki pośród gromów i brzasku złowieszczych chmur, kwiaty niemogące rozkwitnąć pełnym aromatem i doskonałą harmonią formy wszelkiej, gwiazdy milionkolorowe, mające kiedyś zajaśnieć rzęsiście niegasnącym na zawsze blaskiem, światła przyszłości ciemnej i niezbadanej, a oddalonej tak, jak odemnie słabego więźnia każdy promień, owe przejasne ogniki na zawrotnych bezdrożach, gościńcach ciemnych i okrutnych opuszczeniem i bezludnością i niezamieszkane przez najmniejszy twór — nawet dzikie zielsko, przez czarny kwiat serdecznej goryczy, ponury pęk samoudręczenia!... O ludzie, słońca dotąd nigdy jeszcze nie zapalone, planety nie odkryte, nieba nieznane, cuda utajone, bogowie senni, siły nieujarzmione, ludzie pieśni, ludzie srebrno-tęczowe motyle dokąd pędzicie w zachłannym, bluźnierczym biegu?... Przez jakie zawrotne otchłanie prowadzi droga wasza przez boleści ku niezrozumianej nieskończoności mrocznych, rozpaczliwych ogromem czasów?... O ludzie, źródła pod-

ziemne, kiedyż z piersi waszych wytryśnie brylantowy snop wody odkupienia, napoju słodkiego, jak tajemnicze a proste piękno przyrody? Człowieku, hymnie zwycięzki pracy mrówczej, kiedyż przestaniesz mówić językiem oszalałego zwierzęcia, kiedy ukołyszesz chucie swoje zdrożne, kiedy zgnieciesz instynkt ciemiężenia, zdusisz krwiożerczy apetyt, wyrwiesz pragnienia, by męczyć słabszego od siebie? O kiedyż, kiedyż natura wstydzić nie będzie się musiała za ciebie, mój rozśpiewany, drogi, słowiku tęsknoty?... o bracie mój, jaskółko podbłękitna, orle niezmordowany, pasterzu i królu bez berła, czemuż nie budzisz w sobie co rychło wszechwładnego boga dobroci? Czemu nie wzrosło w tobie w pełny kłos złoty obrzydzenie do wszystkiego, co hańbi i obniża, co kala i plugawi duszę twoją cudną?... Czemu, o niegasnący błysku pochodni, nie rozpali się w tobie żądza wyzwolenia samego siebie, dlaczego chodujesz wżarte przekonanie panowania, czemu, więziony sokole, nie budzi się w tobie żal za słonecznemi obszary wolności, czemu gołębiu biały, żywisz i chowasz w sercu rozbójniczego jastrzębia i chytry wąż ma legowisko w jestestwie twojem?... Czemu harfo moja śpiewna, nuto czysta, westchnienie błogie, czemu jedynie łzy wyciskać pragniesz bratu swemu i śmierć mu gotujesz czynami swymi i lisia wdzięczność twoja?...

Dokąd jedynie krew i przekleństwo ślady zna-

3*

czyć będą, gdzie przeszła ciężka stopa i uzbrojona dłoń twoja?... Jakąż radość i rozkosz, jakiż pożytek, jakież szczęście, jeśli męczarnie stwarzasz zamiast ukojenia — żali postępek zły mniej kosztuje niż dobry — ja, więziony, pytam się ciebie, lutnio, na której trud i znój chorał zmartwychwstania ustami ziemi całej zanuci?...

Człowieku, gwiazdo zaranna, naczynie subtelne, gdybyś się wsłuchać pragnął, co otoczenie wokół ciebie mówi, gdybyś posłuchał, jaka niewinność nadziemska szepcze za twoim uchem zbawcze, prorocze słowa modlitwy, był byś bóg taki, — jakiego pokolenia i światy nie znały; gdybyś wiedział jak radują się drzewa, jak weselą się kamienie, jak gwarzą wieczorem trawy, gdy myśl łaskawa i piękna zajaśniała w twej głowie, a tyś ją do serca przytulił i zaklął w fakt i w wykonanie!... O czemuż, bracie mój śpiący, czemuż, zdobywco, sam nie poznasz i nie zbawisz siebie, czemuż nie odkupisz ducha z naleciałości swojej?...

I splatał Ikar sny różowe o człowieku; zapomniał w więzieniu naukę ojca, zapomniał zawody osobiste, nie czuł ran zadanych. Serce było spragnione obcowania z ludźmi i umysł nimi bezustannie zajęty, wił urocze girlandy marzeń. Płynęły dni i lata w cuchnącem więzieniu o wodzie i placku jęczmiennym. Byłby siedział i marzył i pił tęsknotę do końca życia...

Z początku wiosny, często przychodziły ogłu

szające burze, ulewy i grzmoty przeokropne, jak gdyby niebo groziło ziemi gniewem i zatraceniem w piorunowych płomieniach. Rankiem, podczas takiej burzy, grom uderzył w więzienie i zapalił je; powstał ogólny chaos i zamieszanie, ludzie tracąc głowy, gubili przytomność i uciekali w popłochu, jak najdalej. O więźniach nikt nie pamiętał. Ogień rozszerzał się z zastraszającą szybkością, duszny, żrący dym dławił zamkniętych w lochach — niósł nędzną śmierć w zgliszczach i popiołach. Na szczęście, kilku zuchwałych przestępców wspólnemi siłami wywarzyli drzwi i zabrali z sobą Ikara, który, wierny swym przekonaniom, pragnął dalej nauczać. Będąc w lesie, ułamał długi kij i podpierając się nim szedł do miasta. W połowie drogi spotkał pasterza, pasącego kozy i prosił go o trochę wody, kilka ziarn prażonego bobu i miejsce na nocny spoczynek przy jego ciepłym ognisku. Pastuch, widząc podróżnego, okazał się miłosiernym i chętnie uczynił zadość jego prośbie. Litościwie posadził go przy ognisku wesoło strzelającym, podzielił jadło i napitek na dwie równe części i szczerze zapraszał do jedzenia.

Do zupełnego wieczora było jeszcze dość daleko; dopiero słońce poczynało zachodzić prześlicznie.

Las w tem miejscu był niezmiernie górzysty: pastuch właśnie rozbił ognisko na górze tak wysokiej, że zaledwie kilkanaście drzew przysłaniało

horyzont. Szerokie szczeliny pomiędzy pniami pozwalały przewybornie obserwować przecudowny zachód słońca, które chyliło się łagodnie hen, daleko, bardzo daleko... i oblewało ziemię i nieskończone obszary nieco spłowiałem, jak gdyby szklistem światłem. Niżej, pod tarczą promieni, konały rozlewnemi falami śnieżne o fioletowym odcieniu obłoki i stopniowo znikały w morzu opalowo-przeźroczystych toni; niekiedy z tego morza sączyła się zaledwie dostrzegalnym welonem przejrzysta błękitna mgła. Osiadała wilgotnym oparem na złotych czubach drzew, na szarych konarach gałęzi, na prześlicznie haftowanym kobiercu leśnego mchu, co gdzieniegdzie wykwitał aksamitno-szmaragdowym bukietem. W powietrzu królowała majestatyczna cisza i senny dziewiczy urok przeczuwanego zmroku. Ziemia cała tonęła w niewysłowionym czarze spokoju i ogromie marzenia, jak gdyby pragnęła rozpłynąć się, utonąć i wsiąknąć w uściskach rozkochanego nieba, co ze wszech stron wyciągnęło mistyczne ramiona i pieszczotliwym szeptem zwierzało jej swoje uczucia miłosne i echem zachodzącego dnia przesyłało słodycz pocałunków swoich. Najmniejszy powiew nie mącił niewinnym szelestem wymownej modlitwy milczenia, niby wewnętrznych rozmyślań chylącego się na wieczny spoczynek w przeszłości ciemnej, w oceanie czasu, dnia. Drzewa stały zasłuchane, pospuszczały liście i wierzchołkami koron żegnały

ten dzień życia, jako się żegna umiłowanego druha. Z oddalonej, błotnistej doliny pełzał po rosie przytłumionym tonem weselny marsz rozswawolonych żab, ale w przybliżeniu, marł u zielonych stóp zastygniętego lasu.

Ikar z pasterzem stali nieruchomi i pełni ekstazy, jaka falowała niedostrzegalnym prądem w bezkresie obszarów nieba i ziemi; stali z wyrazem zachwytu na poczerniałych obliczach, podobni do żywych trybularzy, gorejących aromatem miłości i woni dziękczynienia. Zapatrzyli się i zasłuchali całą potęgą ducha w osrebrzony firmament, w mistrzowską grę barw, światła, tonów i cieni arabeskowych. A prześliczny zachód malował się w całej pełni: na dalekich zrębach północnej strony nieba, pruły zwiędłą szarość przestrzeni ogromne grzywy słonecznych obłoków zbitych w błękitną masę, płynęły leniwie i ospale, zgięte, porozrywane na szmaty, roztargane, jak wspaniałe kleksy genialnej ręki. To znowuż skurczone, zrośnięte i nabrzmiałe i opuchłe, drżące natężeniem biegu, jak gdyby pęknąć chciały pod parciem zawartej w nich energii, podobne do baśniowych potworów o rosochatych łbach, rozpalonych ślepiach i wygiętych w niemożliwy łuk, suchych, kościstych grzbietach. Jak wielkie stado dzikich, potężnych bawołów pędziły obłoki; od blasków miedzianego słońca parskały pomniejszymi obłoczkami, jak perłową pianą, dyszały zmęczeniem, tra-

towały wypogodzony i jasny widnokrąg wyłamanemi piersiami, które zpod spodu, od szarego cienia ziemi, nabierały barwy mocnego fioletu i były podobne ukochanym kwiatom. Ginęły: płynęły tak szybko i z takim rozmachem, że zdawało się patrzącym w zachwyceniu ludziom, jakoby zimny jęk wydawały z gigantycznych cielsk, a ten jęk obłoków, jak kamiennym młotem, uderzał tępo o jasno-purpurową i roziskrzoną twarz rozpiętego słońca.

Cudna to była gra, niby walka, porażka, klęska, niby pogrom i śmierć rozhukanych obłoków z niezwyciężonəm światłem.

Tryumfator słońce wolno chyliło się za bardzo dalekie wzgórza; w złoto-rubinowej orbicie drgało iskrą, płakało promieniami i zalewało cały zachód krwawem morzem smug. Drzewa stały w miłej cichości, nie wydawały najlżejszego tchu, ani szeptu, były zawsze rozlubowane w tym głośnym, a tak niemym i tak nieprzerwanym hymnie mieniącego się szkarłatu, tęczy wstęg, amarantowych fal, bajecznych róż. Freski roztopionego złota i granatu wiły się jako niezmierzone welony i niebo było jako zachwycająco piękny bukiet, za który możnaby całe życie oddać z rozkoszą radości i umierając, marzyć o tych kwiatach i żałować, że wzrok nie może już więcej pieścić się niemi. Kochane, bardzo kochane zachodzące słońce drogie!

W dali cichło rozgwarzone miasto: wzgórza, lasy i nieobjęte okiem równiny zastygły w żółtawym bursztynie, a stojąca gdzieniegdzie srebrna woda lśniła się jak wydłużone, brylantowe oczy ziemi. Pasterz i Ikar czuli niewysłowioną rozkosz w sercach, patrząc na żywe piękno i cuda natury, odtwarzanej ciągle i zawsze, z niezmierną mocą prawdy i siły plastycznej; mieli jakiś błogosławiony spokój w sobie, daleki od wszystkiego co takie małe, że zaledwie widoczne, co nie jest ziemskiem, co nie jest lotnem tchnieniem przyrody. Niekiedy wśród uroczystego uwielbienia całej ziemi powstawał w szerokości niebieskiej rytmiczny szum, i mało dosłyszalna muzyka śpiewu, a wtedy każda roślina wydzwaniała pochwalne pozdrowienie, które biło wzwyż i z mocą uderzało przeciągłem westchnieniem o gościnne progi szerokie nicości i bezwiedzy; z każdego kwiatu powstawały skrzydła i niosły słowa podzięki ku granicom, gdzie niezmordowanie stoi Życie i Śmierć i Zapomnienie wszystkiego.

Stary pastuch pogładził siwe kosmyki, wpatrując się w zachód, wyrzekł:

— Czy wiesz, nieznany mi człeku, dlaczego słońce tak purpurowo wschodzi i zachodzi?...

— Nie wiem — brzmiała odpowiedź — lecz radbym wiedzieć.

— Otóż posłuchaj poważnie, opowiem:

Odetchnął, wzrok utkwił w przestrzeni i wolnym, uroczystym głosem opowiadał:

— Pamiętam, było to bardzo dawno, miałem zaledwie kilkanaście lat. Pasałem w górach, jako i zawsze, stada górskich kóz. Pewnego wieczora, po ulewnej burzy, zeszli się drudzy pasterze, starsi odemnie i wiekiem i rozumem i doświadczeniem. Słońce, jak dziś, zachodziło barwnie i na całym widnokręgu rozlewał się omdlony zmrok wieczorny; ja czułem taki ogrom życia, żem zaczął płakać. Gdy mię pytano czemu płaczę, odpowiedziałem, że kocham słońce i niebo, ziemię i góry. Usiedliśmy wkoło jednego kamienia, a jeden bardzo stary pasterz jął opowiadać zwolna i cichym głosem:

»Żył na świecie jeden pastuch, imieniem Gnębiony, zawsze pasał stada dla swego władcy, który się zwał Niewolą. Gnębiony musiał codziennie powracać z góry; Niewola liczył owce, odsyłał je do schroniska, a Gnębionego kazał krępować łykiem i zamykał go do wspólnej ciemnicy wraz z innymi niewolnikami.

Życie takie trwało długi czas, bo Gnębiony i Niewola — byli nieśmiertelni i wieczni!...

W cudny wiosenny ranek, słońce przyświecało jasno i w górach zapachniało kwiatami, a strumienie zdawały się płynąć słodkiem winem.

Gnębiony, pędząc stado, spotkał na zawrotnej przełęczy młodą i ładną niewolnicę, smukłą, jako

lilia troskliwie chodowana. Gdy ją zapytał o imię, odrzekła krótko:

— Zowią mnie Wolnością i Snem i Upragnieniem, czem atoli ja jestem w rzeczywistości, ja sama nie wiem. Ojcem było mi Cierpienie, matką — Ideja, a zostałam zrodzoną w łańcuchach ciemnoty.

— A dokąd zdążasz, o piękna i światłolica, nigdym nie słyszał tak ładnie brzmiącego imienia, dokąd prowadzi twa droga?... — wyrzekł Gnębiony i z zachwyceniem patrzył w promienne lice Wolności.

— Nie wiem sama — odrzekła skromnie — matka mi rzekła w chwilach porodu, że męża dostanę — na imię mu będzie Gnębiony.

— Ja noszę takie imię — wykrzyknął radośnie pasterz.

— To pewnie ty będziesz moim mężem — odparła — a czy ty jesteś chociaż odrobinę nieszczęśliwy, bo ojciec powiedział, że mąż mój musi znać ból, inaczej on mnie szanować i kochać nie będzie umiał.

— Czym jest nieszczęśliwy?... — zapytał Gnębiony z goryczą — niech ci to, o Wolności piękna, wystarczy, żem jest własnością wszechwładnego Niewoli.

— Słyszałam coś niecoś o nim, rodzice moi go znali dobrze. Cieszę się bardzo, żem spotkała ciebie, albowiem miłości pragnę, jako człowiek

zgłodniały pokarmu. A czy ty bardzo umiesz kochać?... — spytała naiwnie.

— Nigdy nie kochałem, ale zdaje mi się, że potrafię z całych sił. Po nocach, gdy jęczę w łykach, marzę o tobie, jako o kwiecie i winie i ciepłej kąpieli; pragnąłbym pieścić kogoś, ach tak pieścić i pić... pić słodycz z czyichś różowych młodych piersi. Nie masz pojęcia, jak ja pragnę piersi kobiecych... Piersi kobiece, to całe życie... muzyka nad muzykami w duszy mej smaganej nieszczęściem.

— Dziękuję ci, żeś o mnie marzył, nie będę samotna na świecie. Dam ci piersi mych młodych do syta i szaleństwa, życia musisz nie pamiętać dla nich; zobaczysz jaki to szał przyłożyć usta spragnione do sutek świeżych, co są jak kwiatów cudnych małe pączki i jako amfory, zawierające trunek zawrotny i rozkosz upojenia!... Dumna jestem, żeś tak silnie zbudowany i rozrosły, spragnione jest łono moje owocu twego... Ja pragnę jak najprędzej mieć dziecko, czy możesz dać mi dziecko?...

— Nie wiem! — odparł wachająco.

— To źle... to bardzo źle!... Gnębiony powinien być pewnym, jako sam piorun. Powinien być gotów w każdej chwili do rodzenia i do umierania!... Przynajmniej, miałam o nim takie wyobrażenie. Może Gnębiony nie twoje imię, powiedz, nie będę się gniewać, żeś mnie oszukał na chwi-

lę?... Ludzie lubią nosić to przepotężne nazwisko!...

— Przysięgam ci, jam jest Gnębiony, ja zaprawdę noszę to imię. Widzisz, nie jestem pewny, czy dam ci dziecko, bom nie znał jeszcze ani jednej kobiety... Ale bądź moją żoną... kocham cię, kocham cię, Wolności!!...

— Zobaczymy!... zobaczymy!... — wyrzekła w zamyśleniu i podała mu drobną, nikłą rączkę.

Odtąd żyli razem, on zaimponował jej wielkością ramion, ona mu wdziękiem jasnego uśmiechu. Kochali się bardzo, na śmierć i na życie; on pieścił ją, jako liliowy sen młodości, nosił ją na rękach, zdmuchiwał najmniejszy proch z przed jej drobnych stóp, wspinał się na skały po orle jajka i skromne szarotki, zrywał wonne kwiatki, udzielał najlepszych kąsków pokarmu i tańczył z jej słodkim ciężarem po wszystkich górach. A z potoku takich pieszczot urodziło im się dziecko; było takie cudne, takie śliczne, jakiego dotąd świat nie widział i nie marzył o niem. Oczy miało, jak dwie gwiazdy, za każdem słowem padały z ust białe, jak słońce, kamienie lub wonniejsze od róż kwiaty dotąd nieznane na ziemi, a na głowie wyrosła korona z fijołków — znaków skromności i ukochania.

Gnębiony i Wolność nazwali swe dziecko Wyzwoleniem. Cieszyli się na sam widok owocu swojej miłości bez granic i końca.

Tymczasem Niewola dowiedział się, że Gnębiony ma żonę, jest szczęśliwy, kochany i kocha, a nawet ma dziecko — tego było za wiele.

Przecież on nie mógł zcierpieć, by Gnębiony kochał, albowiem z chwilą gdy miłość jest w czyjejś piersi, musi prędzej lub później przyjść także i nienawiść — takie jest prawo prawdziwie kochającego serca. Więc za to, że Gnębiony ośmielił się kochać, Niewola obmyślił zemstę. Nad samym rankiem zwołał niewolników, kazał pochwycić i przywiązać do słupa Gnębionego; później przyprowadzono żonę i dziecko — Niewola kazał je ćwiczyć tak długo batami, aż te w oczach ojca i męża nędznie wyzionęli ducha. Gnębiony, będąc przywiązany, nie mógł pospieszyć z pomocą katowanym, targał się tylko ze wszystkich sił potężnych, aż grube postronki powrzynały się w ciało i muskuły, jak ostre noże, jak stalowe druty, krew zeń ściekała, jak woda po wyjściu z kąpieli; bił głową o słup i pragnął ją roztrzaskać na drobne kawałki, lecz często kość ludzka jest twardszą od granitu w łomach górskich skał. Stokroć potępieńszy oszalały ból sprawiał mu widok ukochanych istot, konających pod razami batów, i szyderskie naigrawanie się Niewoli, pana możnego, co siłę swoją zbudował na głupiej słabości drugich. Gnębiony odczuwał każde uderzenie, zadawane żonie i dziecku. Wył aż skostniały kanały gardłowe i nie pozwalały prawie wydobyć głosu,

jeno zduszone rzęrzenie rozrywało piersi, aż z oczów krwawe łzy rozpaczy popłynęły.

— Gnębiony, mężu mój, gdzie jesteś, czemu mnie nie ratujesz, czemu dziecię nasze musi umierać pod mściwemi rozkazy Niewoli?... — jęczała osłabiona i prawie w omdleniu Wolność.

— Gnębiony, ojcze mój, czemu nie wyrwiesz słupa wkopanego w ziemię, aby mnie ratować?... Czemuś tak słaby?... Czemu nie rozbijesz w proch, w podłe gruzy tej ziemi, na której Niewola żyje wraz z nami?...

A w odpowiedzi słychać było nikczemnie dźwięczący śmiech naigrawania się z niemocnych istot, zawzięte warczenie batogów i rozszalałe wycie Gnębionego. Niewola ujął się pod boki, podszedł do Gnębionego, patrzał mu bezczelnie w posiniałe źrenice i rzekł z pogardliwą nienawiścią:

— Ty podły psie niewolny, ty śmiesz kochać i płodzić potomstwo?... Oto miłość dla ciebie! — i smagnął go rózgą po twarzy.

— O... ojcze!... ojcze!... ojcze!... umieram!... — wyszeptało Wyzwolenie.

W niezmierzonem cierpieniu, w gryzącej boleści, w skurczach rozpaczy wyprężyły się wszystkie umęczone nerwy, z bladej katuszy wstąpiły w Gnębionego waleczne, tytanowe siły. Ryknął, jak grzmot, targnął z potęgą trzymające go więzy, zatrzeszczały w nim wszystkie kości, jakby je kto młotem na kamieniu druzgotał — i grube, mocne

powrozy prysły, jak wątłe sznurki zbutwiałe. Gnębiony runął na pachołków, chwycił jednego z nich za nogę i kręcąc nim nad głową, poszedł, jak wściekła moc żywiołowa, na cały zastęp niewolników. Miłość do ukochanych, uwielbienie niebotyczne podwajały w nim złości nieobjęte myślą ludzkiego umysłu. Szedł i pędził przed sobą sforę strwożonych i niósł zatracenie, jak wylew wyszłego z brzegów morza, jak fala ognia niszczy płomiennym oddechem odstałe na suchym pniu zboże. Uciekała przed nim gromada pachołków z Niewolą na czele, a on jechał im po karkach i łbach czarnym skrzydłem śmierci; gdzie spojrzał — wyrastała kupa trupów, a wokoło otwierały się jaskinie zaguby, otchłań zaniku. A gdy już oczyścił dziedziniec z ludzkich płazów, przypadł do umiłowanych i potargał krępujące ich łyko, lecz drogie istoty już nie żyły, więc upadł na ziemię i począł płakać i skarżyć się samemu sobie.

— O bezwstydna istnienia męko!... o nie odpuszczona nigdy wino, o bluźniercze urągowisko haniebne. O ziemio cudna i różowa, chlebodajna skarbnico, winnico rodzenia, drzewo żywota wszelakich stworzeń, mających oddech w płucach, zie mio, prawdziwe piękno i świątynio subtelnego uczucia, zakonie opiekuńczy, czemuś zatraciła miękkość swoich drgnień, czemuś się stała chłodna, zimna, katowsko obojętna, czemuś spojona, zam-

knięta szczelnie, złączona w sobie, jak banda do. brze zorganizowanych wyzyskiwaczy, czemuś nie otworzyła czarnych ust i nie zionęła płomiennym oddechem, by niedopuścić zbrodni nad zbrodnię i krzywdy nad krzywdami? O czemuż pierś twoja pulchna stała się ołtarzem morderstwa, czemuż barwę czystą twoją pokalała krew wytoczona z żył człowieka? O ziemio wspaniała, czemuż dźwigasz niewinne motyle i wyzutych ze wszystkiego opryszków, zielska ludzkości, pokrzywy serc wypaczonych — prawem równości osłaniasz padalca i pracowitą pszczołę, krwiożerczego sępa i jasnego dobroci gołębia? Czemu wsiąkają w twe głębie jednako i krople rosy i łzy pokrzywdzonych, deszcze odżywcze i krew ofiar bielszych od słońca?... Jak możesz rodzić wonne kwiaty, gdy węże o żądle zatrutem pomiędzy nimi czołgają się na piersiach wytartych i okiem gadu zielonem bezczeszczą odcień kolorów, cieszących błękitne niebo wiosenne?... Ziemio, kolebko wszystkiego, czy nigdy nie utracisz cierpliwości niezłomnej i nie przemówisz sobie właściwym językiem i sądów nie wniesiesz pomiędzy plemiona chytre i wojujące, szakale żarłoczne, zwierzęta rozbestwione i dusze męką uciemiężone? Dokąd pozwolisz, by związana ponurą taśmą wykrętów leżała w prochu i błocie cnota serc balsamicznych u stóp kolumny zwycięzkiego kłamstwa i występku, czemu po tobie radość dobroci w purpurze złotem lśniącej,

w płaszczu siedmiokolorowym tkanym gwiazdami i w majestacie dostojnej okazałości, jako królewna, nie chadza? czemu pozwalasz, aby przestępstwo płaskie i nikczemne, kuglarska powszedniość szara, pospolitość, wyrosła w bagnie oszustwa i bezwartości cudotwórczych, zakazane podnosiła berło panowania, czemu oczy wlepione w zasłonę tajnej przyszłości bielmem wycieńczenia zachodzą?... O!... czemu, czemu, ziemio kwietna, jęki zmęczonych, westchnienia fale, ciche łkania nocne, jak wiecznie żyjące tułaczki biedne, suną po tobie o każdej chwili?... O, czemu, czemu, ziemio, ucieczko znużonych, katakumbo relikwii najszlachetniejszych, nie ma źródeł pocieszenia dla smutnych, a blasków rumianych i wdzięcznych dla twarzy pobladłych, o czemu, czemu, ziemio, stałaś się nieczułą, czemu macochą dla najlepszych twych dziatek, co zaszczyt istnością swoją tobie przynoszą?...

Gnębiony skowyczał, jak brytan ściągnięty pętlicą za gardło, mordercze kolki podeszły pod serce, żegły po wnętrznościach piersiowych, a żal rozlał się po całem ciele, po dnie istoty, po wszystkich głębinach, skrętach i wyżynach nieznanych duszy; żal rozstania z tem co się ukochało, wichrem wieczności zaśpiewał ponury hymn niezobaczenia, osłabiającą melodją pustki na zawsze trwającej, świadomością, że w ciągu dalszej wegetacji nic, nic nigdy się nie może odmienić, że

jeno zwiędłe liście zagasłych wspomnień pozostaną. Gnębiony palcami ziemię zaskrobał — bo oto kochanka jego, pochodnia mroków, róża wytchnienia, lek wypoczynku, przystań spokojna — była już zimnym, jak kamień, nieruchomym trupem, bezwartościowym kąsem dla życia, a pożywieniem rozkładu. Jego słodka, jak spokój, małżonka — Wolność, przestała patrzeć ciepłym wzrokiem wzmocnienia, przestała krzepić pocałunkami, słowem pieszczotliwej miłości i ciepłym uściskiem, objęciem rozmiłowanego ciała!...

— O złudo! o złudo fioletowa na srebrnych szczytach jasności. O złudo minionych dni, promieni zgaszonych! — wykrztusił Gnębiony — złudo wesela, mirażu szczęścia, dymie trwania; marą... uśmiechy, mignięciem zadowolenie i stan błogości... pozostał niezapomniany żal... ach żal, żal i smutek i żal!...

Oko jego padło na skostniałe zwłoki dziecka, skoczył, jak lew, wrzasnął okropnie:

— I zemsta i zemsta i zemsta wszystkiemu za zabitą Wolność, i za uśmiercenie jeszcze niewyrosłego Wyzwolenia. Tfuj! bądźże mi przeklęty, ty głupi placku ziemski, żeś został opanowany przez podłego Niewolę, bądźże mi przeklęty, że niewolników potrzebujesz na powierzchni swojej. Tfuj! niechaj wszystkie światłości nocy żarem swoim cię spalą, niechaj cię wody w łona ciemne schwycą, że Wolność na tobie zabitą została!...

Czemuż się chmurą czarną nie zasłonisz ty światło bezwstydne, przyświecałoś zabójstwu Wolności i Wyzwolenia! Przeklęte bądź, słońce, bo ty i zbrodniarzom przyświecasz jako i poświęceniu tkliwemu. Jak śmiesz pozostawać jeszcze na niebie, gdy brud rozsiadł się na tronie rubinowych męczarni i tłumi żywoty i gasi jasności przeczyste pożądanie, jak możesz spokojnie ogrzewać ludzi obdartych z szat przyrodzonych ozdób, gdy Niewola zagarnął władctwo na ziemi? I żeś nieczule patrzyło, gdym pustkę miał w piersi przez wieki całe, żeś ogniem obojętności świeciło, jak Wolność batogami zabito, że w obecności twojej Wyzwolenie skonało — zostań krwią przelaną przeklęte i wyszydzone — gdy ziemię witać i żegnać będziesz rano i wieczorem, bodaj w łkaniu i w męce przychodziłoś, bodaj ta krew na tobie się paliła przez lat dwa tysiące! Kto dłoń wyciągnie ku tobie — bodaj moja moc nienawiści wyrastała w sercu jego, o światło bezecne i niemiłosierne!

I w zapamiętaniu chwycił garść krwi zastygłej, z mocą rzucił ku słońcu, a krew, jak nocny ptak, pofrunęła ku wyżynom i na długą rzeczy pamiątkę przylgnęła do twarzy światła. A Gnębiony, zdusił jęk niewypowiedziany, zgrzyt bólu utracenia, i ruszył na poszukiwanie, ukrytego w krętych swoich komnatach, Niewoli. Gdy zbliżył się do jego siedliska, lew złoty zagrodził mu drogę, on

uderzeniem pięści wybił mu kły srogie i uczynił nieszkodliwym dla nikogo i poszedł dalej, gdzie drżący i skulony siedział w kącie Niewola wybladły.

— Oto jestem przed tobą, o mocarzu wszechwładny, dotąd ja posłuszny byłem, dokąd mi małżonka moja, Wolność, oczów nie odkryła. Koniec nas obu nastał, ale pierwej i siedlisko i gospodarstwo twoje zburzę, aby i śladu po panowaniu twojem nie pozostało na ziemi, aby myśl niczyja zgłębić nie była w możności okrucieństwa twego; każdą chwilę twego istnienia, ja, Gnębiony, potem i ciałem płaciłem. Umrzemy obaj, skoro Niewola ginie i Gnębiony żyć dłużej nie może!... Pokalani umierać muszą!...

Wyprowadził z domu Niewolę, przywiązał do drzewa, aby mu nie uciekł i jął się burzenia. Gdy już wszystko zrównał z ziemi powierzchnią, zabrał go pod ramię i poszedł w góry, w to miejsce, gdzie nieprzejrzana przepaść otwierała paszczę. Tam przycisnął go do piersi i skoczył z nim w bezdeń ponurą!.,.

Tak życie skończył Gnębiony i jego Władcakat, Niewola«.

— Odtąd, widzisz — kończył stary pasterz — słońce dlatego tak płonie purpurą, przy wschodzie i zachodzie, bo na nim się pali krew Wolności i Wyzwolenia. Przed śmiercią samą powiedział Gnębiony, że ktokolwiek z ludzi choć odrobinę

tej krwi posiędzie, z oczów opaska przesądów, i z mózgu obręcz ciemnoty temu opadnie.

— Dotąd nie znalazł się śmiałek, pragnący krew posiąść? — zapytał Ikar zamyślony.

— Nie, bo nikt nie odczuwał niezłomnej potrzeby — odparł pasterz.

— A może nieprawdą jest cudne przyrzeczenie Gnębionego?...

— Gnębiony kłamać nie umiał i nie kłamał nigdy w swem życiu cierniowem. Co z jego ust wyszło, było nieskalanem, jako śnieg na wierzchołkach niedostępnych gór.

Pasterz umilkł i patrzał na zachodzące słońce, które już połową tarczy znikało powoli na zrębie ziemi. Szły długie rozpalone smugi czerwonawego złota i kładąc się na szerokości niebieskiej rozżarzyły wszystko. Zachód podobny był do rozgrzanej blachy miedzianej, zaciemnionej jeszcze gdzieniegdzie przez jasno - szafirowe fale. Ze wszech stron, z góry i z dołu i ze wszystkich boków skradała się przygniatająca ciemność, aż coś mimowoli kłuło w sercu. Wkrótce słońce znikło zupełnie, zbladły amarantowe promienie, a na ich miejsce wystąpił kolor stygnącego bronzu, przeplatany w fioletowe szerokie pasy. Wolno, wolno gasł firmament, zatracał królewskie malowidła; stopniowo zanikały ognisto-pomarańczowo żółte bezmiary wód, a po nich, jak piana, szedł mrok poprzedzony zwietrzałą szarością. Na ziemi była

już głęboko uśpiona spokojność cichej nocy, przerywana od czasu do czasu oddalonym szmerem strumyka i zaledwie dosłyszalnym dostojnym szeptem liści, a na szafirowem niebie wykwitały mrugające żywo gwiazdy. Noc zapowiadała się cicha i słodka, jak pocałunek wyrafinowanej kochanki przy rozstaniu na błogiej schadzce.

Pasterz poprawił ognisko, przyłożył suchych gałęzi i potem zwrócił się do Ikara.

— Jutro, o świcie, popędzę moją gromadkę dalej, tu pasza już bardzo zniszczona. Możebyś poszedł ze mną?...

— A czy tam, dokąd dążysz, jest wielu ludzi?...

— Z wyjątkiem kilku mnie podobnych pasterzy, niema nikogo. Stada nam powierzono na czas nieograniczony, jeno co pewien czas oddajemy kilkadziesiąt sztuk na użytek naszych panów.

— Czy ty koniecznie potrzebujesz mieć pana?...

— A komu byśmy pasali stada, jak nie panom?...

— Samemu sobie i sobie podobnym... Dlaczego ty masz pana? czemu ty nie jesteś panem?... Czemu ty nie pragniesz być równym w bólu i radości?...

— Nie rozumię! Co ty mówisz?...

— Czemu ty nie pragniesz być panem, i bogiem i twórcą!... Czemu nie pragniesz aby czło-

wiekowi służyło wszystko, a on służył jedynie dobroci, jedności i umiłowaniu. Czemu nie chcesz mieć na ustach rozkwitłego uśmiechu, a zamiast łzy niedostatku, wdzięcznego blasku w swoim pogodnie i cicho zasmuconem oku. Czemu nie pragniesz okrzyków, nie pożądasz śpiewu zwycięskiego zadowolenia wszystkich ludzi!... Czemu nie dążysz, że gdzie jeno człowiek stąpi, aby wyrastały kwiaty, wytryskały źródła kojące, a wszyscy byli jako niewinne gołębie, motyle złote na aromatycznych łąkach bez troski i swobody. Owoce soczyste na niezniszczalnem drzewie życia; czemu nie chcesz, aby świat stał się jako harmonja kołysząca ku słodkiemu spoczynkowi i słodszemu przebudzeniu?... Czemu ty nie wiesz, czem jesteś i czem możesz zostać, jaki ogród niedoścignionego piękna możesz zbudować na twardych, bezludnych pustyniach?... Z niczego potrafi moc twoja stworzyć krzewy mądrości, drzewa błogo pachnące lazurowem fruktem zachwycenia, nasieniem rozdzwięczałem przyszłości spokojem, las cały niezwiędłych paproci, symbolów wszechwiedzy, co błogosławić cię będzie, żeś zapanował nad światem i nasiał zboża znojnych doświadczeń dla potomnych. Dla nieuciśnionych przez żaden jęk nędzy bytu, przez drżenie zależności niegodnej siły występnej. Czemu nie oddychasz żądzą, by ludzie spotykali się z wyciągniętemi do objęcia ramionami, a usta wymawiały cudotwórcze zaklęcia bra-

tniej przyjaźni serdecznej, czarownie brzmiące słowa wiecznej zgody, a nie obłudnej zdrady i potępienia, ubranej w szpetną szatę życzliwości?...

— Mówisz, że nie wiem, czem jestem — przerwał pasterz — owszem, wiem.. Jam pasterz z pasterza i z tem jakoś mi dobrze... Nie rozumiem jedynie, po co ty mnie to wszystko mówisz?...

— Byś wiedział, żeś powstał z niczego, a wszystkiem pozostać możesz o czem mózg twój w niespokojnym śnie zamarzy, co podniecona fantazja podśpiewa twemu czujnemu uchu i wietrzyk poranny łagodnie zanuci!... Byś spotykanym był przez każdy twór i stworzenie każde jako dobroczyńca, brat i ukoiciel, aby przed tobą szło oczekiwanie i tęskna moc widoku, a za tobą tężyzna przywiązania, długa melodja dziękczynna, nieśmiała prośba sierocego opuszczenia; kamień pytał kamienia, kiedy dostąpi zaszczytu, że stąpisz nań, a woda kiedy cię spragnionego napoi!...

— Po co mi to wszystko, co z tem pocznę, ja, pasterz; na cóż mi te zaszczyty, jakaż korzyść dla mnie?... — pytał prawie znudzony pasterz.

— Po to, byś strącił bogów z błękitno-śnieżnych stropów Olimpu, gdzie tęsknota twoja ich umieściła, dając im pod stopy aureolę mocy wykonania wszystkiego. Ojczyzną twoją jest światło, słodycz prawdy; człowiek posiada ojczyznę, gdzie ziemia rodzi pokarm i pije rosę. Tak jako światło niema ojczyzny, jak podmuch wiatru jej

nie miał, nie ma i przenigdy mieć nie będzie, także i ty mieć jej nie możesz, bo za ojczyzną idzie władzy potęga i ślady znaczy tyranią ciemnoty. Człowiek gdzie stopę położy i życie wytworzy, tam ojczyznę buduje. Bogiem jest człowiek, a majestat jego... modlitwa znojnego trudu. Życie uszom subtelnym powiada, że kiedyś zabłyśnie światu radosna chwila, zwiastunka połączenia przez pracę i dobroć jeszcze nie narodzoną; znikną narody, utracą wartość ojczyzny granice, a pozostaną plemiona, odmiennym mówiące językiem — wspólnym ich bogiem będzie użyteczność, świątyni ołtarzem — pracy przybytek. Za człowiekiem przeszłość nieznana, nieskończoność niepojęta, miljonami lat zakryta, przed nim zagadka tajemna tej samej nieskończoności, aż do szaleństwa i obłąkania ogromna. Długa... długa!... Grecja — to proch, to pył, to nic, to dźbło wobec złomów ludzkości; lat miljon jej istnienia — to mignięcie błyskawicy w porównaniu nieprzebranego oceanu czasu, to chwila krótkiego spoczynku, przecinek biegu życia, co idzie dalej niepowstrzymane na nowe pola trwania, na szersze niwy rozwoju i łany dojrzałego żniwa plonów myślenia i wysiłków słabego wobec siebie człowieka. Wicher czasu pójdzie, jak chmura, jak huragan na morza, pohula swobodnie w podrygach śmiertelnych pokoleń przelotnych; w bałwanach i ryku spiętrzonych mas zdarzeń skłębi, omota, potarga

historją, uderzy i utnie toporem zapomnienia, wystrzeli słupami rozpylonego piasku niepamięci i skrzydła rozwinie w nieświadomość. I pocznie się druga, niby nowa era, bo nowa historja rodzić się będzie. Ciągle, ciągle, wiecznie zmotany wir życia bez granic i kresów. Widzisz, pasterzu, ponad Grecją i grekami, nad rozumem i wolą i myślą — są jeszcze kopalnie rzeczy nieodkrytych, a porywających, nad zrębami wszystkiego, co znane, jest bezmiar wielkością zawrót głowy sprowadzający, jest skarb nieoceniony w czasie i rozciągłości, rozlewa się, jak światło w tysiącoletnim biegu zręcznym i zwinnym, jak drganie nieuchwytnych niczem srebrnych półtonów na strunach wszechistności. W nienaturalnej, harmonicznej zgodzie rytmy pulsacji akordów życia wciąż rosnącego, są mglisto słodkie przeczucia, co serce kołyszą, jak matka dzieciątko najmilsze, jak ukochane marzenie półsenne. Oto, widzisz, dlaczego mówię to wszystko tobie, bo wziąć chcę umysł twój w me dłonie i nadać mu taki kształt, co całą naturę uraduje, ucieszy i zaczaruje zdumieniem; pragnę byś celowo i świadomie nakreślał drogi, po których jedni schodzić, a drudzy wstępować będą. Wymagam, byś opalowy sztandar wysiłku rozwinął, rozpiął granatową chorągiew samopoczucia na gościńcu, po którym kroczysz. Byś krzemienne wrota przypadku ślepego proroczym czynem uprzedził; gdzie myśl swoją wbi-

jesz wyostrzoną, aby ziarno wiadomości dojrzewało. Aby cię nic nagle nie spotkało, abyś rąk swoich nie łamał i nie kaleczył w bezsilnej niezdolności na piersiach swych słabych.

— A dlaczego to wszystko, co mówisz, a czego ja w żaden sposób zrozumieć nie mogę. Dlaczego to wszystko ma być? Po co ma się tak stać, a nie inaczej? — zapytał pasterz.

— Byś rozwojowi skutecznie i sposobnie dopomógł. Byś stał się na podobieństwo przenigdy niezniszczalnego pomnika. Rozumiesz mnie?

— Słyszę jedynie słowa, pod ich brzmieniem nieznana dla mnie myśl się mieści głęboko.

— Żali nie mówię podobnym do twego językiem?... Żali szumów i wrzasków kaleczących uszy, używam?

— Daj mi spokój, jestem zmęczony pracy dniem całym. Głowa mnie boli od tego, co mówisz. Czy tako się godzi odpłacać mi za to, żem się pokarmem z tobą podzielił i do ogniska przypuścił? Niewdzięczność twoje imię?...

— Jeśli mnie nie rozumiesz, dobrze, inaczej będę mówić do ciebie, a może trafię do ciemnych lochów twojej wyobraźni. Słuchaj, abyś zakosztował smacznego mięsa ze swej kozy lub owcy, abyś rozniecił ognisko, czego ci brakuje, mój miły?...

— Abym jadł mięso, powiadasz, rozumie się, muszę zabić owcę. Abym rozpalił ognisko, gałęzi

nałamać albo i całe drzewo obalić i drew nałupać!...

— Otóż, widzisz, abyś i ty był mięsem pożywczem dla potomności, co cel podniebny przygotowuje, potrzeba zabić w tobie dzisiejszego człowieka, co jeno bezwiednie lichą korzyść przynosi. Byś jako promień wybuchnął, złoto miedzianą skrą wystrzelił, rozpalił się zarzewiem i olśnił, stworzył ciepło, ogrzał mroki i niewidomość, oświecił zimno skostniałe — potrzeba spalić ciebie, obalić, rozłupać, jako i to drzewo — czy zrozumiałeś mnie teraz?...

Pasterz w odpowiedzi porwał się z posłania przy ognisku, chwycił za grubą pałkę i drżąc od wściekłego oburzenia, przybrał atakującą postawę.

— Pierwej niż ty mnie, jako barana na mięso, ja ciebie, jak węża niechlujnego zabiję. Kamień leżący na równej drodze na stronę odrzucam. Droga moja prosta i gładka, jak powierzchnia jeziora w spokojnej dolinie; nie potrzebuję ciebie, kamienia-przeszkody, co stopę ukąsi niebaczną. Jam z tobą nieznanym dzielił skromną, w pocie zdobytą wieczerzę, a tyś śmierci mej pragnął. Powiedz, co złego uczyniłem tobie?...

— Nic mi nie uczyniłeś złego, okazałeś się dobrym i miłościwym. Kocham cię, jak samego siebie i dlatego, dlatego, że kocham tak czule i szczerze, tak wszechpotężnie i niezmiernie, chciałbym zabić, zniszczyć i zdeptać ciebie w samym

tobie, ukamienować ciebie we wnętrznościach twoich, wyrwać ze szczętem ciebie z czeluści twoich. Uśmierciłbym ciebie, aby cię wskrzesić i do biesiady zaprosić na ucztę odkupienia twego z niewoli twej srogiej, katowskiej i nielitościwej, głupiej. Most z ciebie zbudować nad błotną przepaścią, w której zabronione rośliny kiedyś do góry się pięły i połowicznym czyniły ciebie, mój orle skalny. Uczyniłbym z ciebie rydwan tryumfalny, w którym pragnienie wszechwypełniające zasiada, wspaniałość podnóżkiem byłaby, a chwała wzmacniający napój podawała. Uczyniłbym ciebie zielem leczniczem na ranę konaniem zadaną, strzałę nieomylną na cięciwie potrzeby słusznej naciągniętą, i ty, o pasterzu, gdybym mógł zabić ciebie, byłbyś bramą jaśniejącą, łukiem gorejącym, skowronkiem najczulszym w pośród tych wszystkich znanych i nieznanych dotychczas i na zawsze stworzeń. O czemuż ja nie mogę zabić ciebie!... czemuż nie mogę zabić ciebie!... Człowieku! powiedz mi, powiedz, czem można ciebie pokonać, czem unicestwić, czem zatracić, zgubić, zamienić?... Jabym ciebie stworzył na haftowane marzeniami wzory niedościgłe, na wyzłacane wyobraźnią kształty prostotą tajemnicze; jabym ciebie dźwignął i wyniósł hen, wysoko, pod chmurnie, nad gwiazd wierzchołki, nad szczyty słońca, nad mleczne szlaki mgławicy ciężarnej światami — i tam ustanowił ciebie na podobieństwo granitowego

obelisku, ostrokątnego stożka, krającego pierś nabrzmiałego gromu, abyś stał jak olbrzymi, górny, tytaniczny fakt, nienaruszony jadowitym zębem zła. Jabym ciebie jako szczęście fruwające, jako woń ukojną stworzył!...

O czemu ciebie zdeptać nie można?... Czemuś tak hartownie trwały w niechlujnem zapamiętaniu i w tępej, żółwiej pojętności?...

— Idź precz od mego spokojnego ogniska!— zawołał pasterz — albowiem nie chcę z katem na jednym skrawku ziemi spoczywać. Idź, w przeciwnym razie kij mój kości twoje przywita.

— Nie pójdę dopóki nie uleczę ciebie — odparł Ikar i począł znowuż nauczać pasterza — powiedz mi, czem można spędzić bielmo mytów z twojej źrenicy, w czem umysł wykąpać, gdzie klucz zakopany do tajemniczej jaskini twojego ducha wygrzebać!... Gdzie znaleść ciebie w ciemnicy nierozjaśnionej dotąd jeszcze przez wieki, aby poprowadzić na równiny kwietne, płaszczyzny tkane perłami zrozumienia, łąki siane krwawym liściem poznania. Tam szemrzą zdroje w rubinowych puharach, a usta piją z czary nieśmiertelnej, z kielicha spokoju czerpie serce pochodu ludzkości.

— Idź precz ode mnie, gadzie pełzający, żywe zbuntowanie, pochlebstwo trujące, zarazo nieuniknioną! — wrzasnął pasterz i z rozmachem uderzył Ikara kijem sękatym przez ramię.

Ikar ani drgnął choć ciało pękło od uderzenia pałki, choć krew obficie popłynęła po sukniach podartych.

— Bij, jeśli twoja wola — wyszeptał pokornie i grzbiet suchy podsunął pod razy.

A pasterz splunął z pogardą, poprawił torby i usiadł na uboczu. Czekał w milczeniu zbliżającego się ranka, bo gwiazdy poczęły już blednąć na niebie prześlicznem.

— Nawet i bić mnie nie raczysz? — zapytał Ikar łagodnie i czekał długo odpowiedzi sennego towarzysza.

— Zostaw mnie w spokoju, nie pragnę nic mieć z tobą do czynienia.

Wówczas Ikarowi żal zdusił gardło boleścią niewysłowioną; zimny, okrutnie zimny dreszcz od kończyn nożnych szedł lodowem rznięciem przez całe ciało, mroził serce katuszą niemocy; w płucach skamieniał na pewną chwilę i sprawił ból taki, jakby piersi miały pęknąć nagle, w długiej sekundzie; krew już skostniała w żyłach, jeno z oczów przeraźliwie otwartych, a smutnych zarazem, popłynęły łzy cierpienia. Wreszcie przyszedł oddech gorący i zatargał męką — skutkiem bezradności. Łkanie zatłukło się w duszy i chciało wydobyć się na zewnątrz — zgniotła je wola pancerna. Dotkliwy skurcz zwarzył wszystkie nerwy, jak mróz warzy zaledwie rozwinięte listki oranżeryjnych kwiatów. Fala strapienia rozlała się po całej

szerokiej skali miękkiego uczucia i rodziła czarne troski, niby ptaki złowieszcze głuchego boru. Smutek, przenikający smutek otulił ducha szczelnie; ze wszystkich zakamarków pamięci wychodziły na świadomość odczucia zgryzoty, ukąszenia padalca, gadziny tchnące rozpaczliwym nastrojem, kiedy człowiek umiera własnem istnieniem i płaciłby nagrodą dobrych spojrzeń, gdyby kto wyjął mu z czaszki myśl skazańca, poczucie jękliwej chwili, biczowanie własnego ja, skąpanego w pocie niewykonalnych pragnień, w pożądaniu z całych sił. Ciężar chęci, niemogącej być czynem, przywalił Ikara straszliwym ogromem rozełkanej skrycie tęsknoty, niemym szlochem sumienia, zwałem żrącej w głębinach żałości. O, niemiłosiernie bolące katowanie serca!

I gdy pasterz przez długi czas nic nie mówił, ani nie zwracał najmniejszej uwagi na Ikara, ten z ciężkiem, rozłupującem piersi westchnieniem i głową przybitą ku ziemi, odszedł cicho, jak dobrowolny wygnaniec z rodzinnego domu.

Poczęła się wędrówka, kalecząca i ciało i ducha. Poszedł do tych miast, gdzie najwięcej było smutnych, cierpiących ludzi, co z niemym uśmiechem nieświadomej skargi chodzili po świecie, jak umęczone cienie, którym błogość nigdy nie rozjaśniła zamglonych źrenic, na kształt srebrnej błyskawicy; stęchła pleśń tępej, niezrozumianej niedoli przygniotła myśli poziome do zwykłych

kłopotów i niezakosztowanych dobrodziejstw. Ludzie przez wiek cały ani razu nie zapłakali krynicznie czystą łzą świadomości; żaden z nich nie potargał niewolniczej szaty na ramionach, nie skrwawił palców we własnej krwi rozpalonej. Żaden nie podniósł przed siebie lub wzwyż nabrzmiałych zrozumieniem spojrzeń. Myśl nie narodziła się w ciemnych mózgach, jakby przykutych do ciasnego kółka, jeno głupie łzy pokrzepiały istnienia! Poszedł do tych ślepców, bitych przez ich własne gnuśne lenistwo i podłe ukontentowanie z naładowanego czarnym, owsianym lub kukurydzowym chlebem, brzucha; tych nędznie zadowolonych, gdy bat dość silnie nie smaga, mróz nie piecze skostnieniem obrosłego brudem ciała. Poszedł do tych kąsanych przez wszelkie robactwa i możliwe choróbska wstrętne; pragnął żyć jak brat współczujący odrętwienie, chciał być sługą najniższych sług i niewolnikiem niewolników. Ślepym służył za przewodnika po wszystkich wertepach nędzy, prowadził ich na słońce i nad strumienie przeczyste, gdzie niewinność sama mogłaby obmyć się w płynie kryształowej doskonałości. Niemowom pokazywał urok przyciągający kwiatów nadziei ocalenia, głuchych pocieszał brzaskiem zarumienionej jutrzenki złocistej, korabiu o purpurowych żaglach, płynącego po błękitnej fali ku bezpiecznej latarni, na której szczycie przykute niewiadomością wije się uwolnienie. Trędo-

watych nosił na grzbiecie do zdrojów ciepłych, gdzie można ulżyć strasznym boleściom. Za słabych, wycieńczonych dźwigał ciężary, i uczył, że ciężar jest dotąd ciężarem, dokąd kto go pragnie na ramionach trzymać i kark uginać. Dla wszystkich, co gorycz pili, co upadali bez tchu, i wysiłku, co zataczali się w rozpaczliwym szamotaniu, co czołem zroszonem kroplami dostojnego potu pracy, uderzali w cuchnące błoto; wszystkim oplwanym i wyszydzonym, podeptanym od wszystkich, dla których pogarda i zwierzęce traktowanie pokarmem nieustannym były — to dla tych wszystkich był opiekunem, krzepicielem, przewodnikiem i pokornym sługą. Po łagodnym zachodzie słońca, po cichym zmroku wieczornym, o nocy słodkiej milczeniem, wzmacniał ich nauką. Z ziemi trzeba czerpać siłę do życia, z słońca zapał do czynu rozumnego, do woli gigantycznej i nieustraszonej niczem, nieokiełznanej munsztukiem nałogów, do nieograniczonej chęci promiennej. Trzeba utkwić oko w jeden punkt stały, w jedyny daleki punkt i iść doń niezmęczenie, jak przez pustynię idzie niezmordowany wędrowiec do miejsca wyznaczonego spoczynku. A choć gorączka za gardziel niemocą ułapi, choć głód kraje wnętrzności i oko zbieleje z męczarni; nogę złamiesz, przeskakując przez skały i krew z warg pociecze strugą — stanąć nie wolno: bo kto raz chociaż

na chwilę ustanie — zgotował zatracenie i zagubę swoją!

— Gdzie takie rośnie ziele, co siłę w żyły wprowadza?... skąd czerpać moc wytrwania do takiej podróży i kiedy zobaczyć można daleki punkt przed sobą?... — pytały rzesze.

— Trzeba zniszczyć samego siebie, zabić i zgnoić, aby raz drugi urodzić się można było olbrzymem. Potargać wszystko, co dotąd było miłem, drogiem i ukochanem; wykorzenić do szczętu przyzwyczajenia i chęci i pragnień niezniszczalną potęgę. Wydrzeć świętości wszystkie, zamieszkałe dotychczas w sercu, przesądów wrosłych w głębię mózgu i w członki swoje; złamać nikczemność tchórzostwa przed samotnością, zdeptać fałszywą pychę samomiłości wstrętnej, zaprzeć się ojca i matki i brata i przyjaciela i żony i dziecka, podnieść dumnie czoło i nie schylać go nigdy przed niczem, nawet przed uściskiem śmierci. Piersi nadstawiać na napływ spienionej fali i bić i bić i bić w niebo i w ziemię. Nieustraszenie ukochać, a miłość swoją mierzyć świata ogromem, idącym bałwanem życia, bo życie — to dobro i szczęście, a szczęście — to miłość i życie płynące naprzód!...

O ludzie! choć przyjdzie ścisk i krew wyciśnie z oczów, choć przyjdzie lęk tępy i niemy i głuchy, i wicie się w konwulsjach, choć przyjdzie tęsknota i ból i płacz i ryk i szloch, choć przyjdzie opuszczenie i niemoc i zgrzyt i męka

i oczekiwanie w drżeniu, choć przyjdzie okrutna godzina, poświęcenia moment, w którym trzeba wyrzec słowo aż wargi zsinieją i źrenica bieleje z cierpień rozstania — ludzie! zaklinam! — nie drżyjcie!... A jeśli mózg pojąć nie może — to wal łbem o kamień i powtarzaj: tak trzeba!... tak trzeba!... tak trzeba!...

Tak Ikar nauczał rzesze nieszczęśliwych — napróżno; nie został zrozumianym. Tłum nie mógł pojąć nowej nauki, była za wielka, za czysta, za ogromna na małe głowy. Nikt nie chciał cierpieć dobrowolnie, nikt nie chciał umrzeć z ochoty, zmiazdrzyć samego siebie, wyrzec się starych bogów, modlitw i westchnień i nawyknień, nie miał odwagi wyprzeć się swoich ukochań, udusić się powinności strykiem, spalić się w wyzwoleniu z pęt własnych, zgryść kajdanów — woleli konać powoli!...

Po raz pierwszy przed Ikarem stanęło okrucieństwo — nienawiść ludzi. Łatwiej kamień przekonać, że jest kamieniem, niżeli tłum — że jest nieszczęśliwy!... Przyszły mu żywo na pamięć słowa ojca. Zrozumiał, że wół nie wie, że jest wołem, że sam uznaje swoje jarzmo i łaskawie w nim chodzi. Dowiedział się, że jeśli moc przeokropna gwałtem nie wydrze tym setkom ich ciemnoty i niewoli, nie pchnie na jasne szlaki — to ci ludzie lat miljon będą jęczeć i płakać i patrzeć zawsze w błoto swego bytowania oczami przewrot-

nie dowcipnych kapłanów. Musi przyjść zagubonośny huragan i ostrem skrzydłem omieść tłum z brzydkich narośli i rozkrwawić ciała — inaczej można znienawidzieć wszystkiemi pożądaniami tych rabów, nieczujących więzów łykowych, obręczy głupiego zgadzania się z udręczeniem.

»Ludzi można jedynie kochać z daleka!...«

— O, ojcze, jak wielką mądrość wygłaszały twoje stare usta — pomyślał Ikar i gorycz zalała duszę, jak wzburzone fale skały nadbrzeżne, smutek przygnębienia osiadł miałem na sercu i męczył srogiem pytaniem, jak zbój bezlitośny na drodze leśnej schwytane dziewczę urocze.

— Co teraz będzie, co teraz będzie?... Gdzie kwiat czarodziejski, gdzie łaska wszechmocna, gdzie płynie rzeka wiadomości?... Gdzie, na jakiem drzewie owoc poznania; gdzie jasność się mieści, przebijająca nieuctwo bezwstydne?... O nieczynie, czy tobie na imię oczekiwanie, czy lenistwo, czy złość, czy zatracenia początek?... O przemijająca marności znikoma, komu klucz do zwycięstwa w dłonie wciskasz, komu złote jabłko nagrody przeznaczasz?...

I karmił się żółcią niepewności, samorozpinaniem na rozpalonem zarzewiu niedoścignionej w tem zagadki; lęk i bojaźń o tych ludzi była mu nieodstępnym towarzyszem. Gdzie zwrócił oczy, widział napięcia zgryzoty do najwyższego stopnia, zamglone widmo ponurej drogi i pustkę

ziejącą płaczem bez łez, krzyk ust zamkniętych na pieczęcie zaniemówienia w obłąkaniu bolesnym, w skamieniałem drgnieniu słabości i wyczerpania. Widział tych ludzi napół nagich; kaleki najbiedniejsze, wyzute z powabu dostojności rodu człowieczego, ślepcy od czasu przeobrażenia się trawożernej istoty na kształty ludzkie. Myśl była ciosem kamiennej maczugi twardej, jak czyn spełniony. Uciekł od siedzib tworu arcydzieła natury. Poszedł nad morze, pomiędzy dzikie złomy skał i tam pragnął ukoić syczące zwątpienie, zatracenie wiary w rozwój poczwary gatunku najwyższego. Ziarnko zdań ojca kiełkowało w umyśle i wyrosnąć chciało w pogardliwe uczucie, w bunt przeciw naiwności, w wybuchający wspaniałym trzaskiem płomień nienawistny, ale warowne okucie umiłowania gniotło w zarodku zielsko niedobre, zachwaszczające kwiatorodną rolę. Rankiem i wieczorem muzycznym stawał nad brzegami wód nieprzebranych, ręce wyciągał do fal wełnistych, kładących się jedna na drugiej, zdobnych kędzierzawym haftem biało-sinej piany i szeptał w uczuciu:

— O morze, morze ukochane, morze zapomnienia, wielki, zawsze żywy świecie, światku nieprzemijający, skarbie niewyczerpany, kolebko stworzenia. Czemu z piany czystej nie możesz stworzyć cudnego kolibra rodzaju naszego?... O, czemu w tobie nie można zanurzać na sny wieczyste nieudolności słabego człowieka?... Czemu z brze-

gów nie wystąpisz i z chwałą unicestwień, i w uścisku strasznym, w objęciach powodzi dotąd niebywałej, nie zagarniesz tego, co rodzi zepsucie. O morze, morze złotolśniące!... Jak długo jeszcze chodzić będą oni, niby pośnięci, w splotach mózgowej martwoty?... O morze, morze, gniewie sprawiedliwy, czemu oni pragnąć nie umieją?!..

A w odpowiedzi łagodnie bulgotały wody o nadbrzeżne ułamki kamienistych zwałów.

Tak płynął ranek za rankiem, wieczór za wieczorem, jako wdal jasną niezmęczone mewy, a myśl beradna wierciła rany niemocy.

Pewnego razu przesiedział noc całą nad morzem; słuchał jednostajnego plusku i szumu fal spokojnych, niby kojącego śpiewu. Nad ranem utkwił wzrok w purpurowy wschód; słońce kapało złotem i krwią, i wody tuliło rozgorzałym płaszczem. Rzekłbyś — dwa zapłonęły olbrzymie ogniska, na niebie i na wodzie, jeno jedno jakby nieczułe, zimne, skostniałe na wieki w tym zaróżowionym mosiądzu, a drugie żywe, syczące iskrami.

Wtem skamieniał od szalonego dreszczu, co przebiegł po skibach ciała, zoranego cierpieniem. Ryk radości wbił się ostrym trójkątem w samo serce, a oczy rozszerzyły się z zachwytu, mózg oszalał z ogromu idei, w piersi zaskowyczały głosy, rozsadzające wiązania klatki i żeber; zwycięstwo przewalało się w nim strasznymi bałwa-

nami i chciało świat zagłuszyć gromem nadziei... Nareszcie przemówiły usta:

— O pochwalone bądź przez wszystkie głosy płonące morze! O błogosławionem bądź słońce! O święć się, święć na wieki bajeczny wschodzie!...

I rzucił się na ziemię, przywarł do niej ustami na długo, długo, długo.

Powstał, rozłożył ramiona — świat obejmował w uścisk proroczy, w objęcia serdeczne odkupiciela, od którego idą promienie i żłobią w przestrzeniach niezniszczalne księgi dla potomnych geniuszów. Wydał okrzyk taki, jakiego żadna burza nie wymówiła dotąd, krzyk, co przeszedł od krańca do nieznanego krańca firmamentu. Grzmotnął o powłokę ziemi, rozciął powietrze ostrzem woli błyszczącej i rąbnął w obłoki mocą nieuchwytną.

— Hej! ziemio i stropy, wgłębienia i wypukłości, światło i ciemność natury! — dajcie mi skrzydeł!... Hej! podajcie mi skrzydła! Skrzydeł! Miljon gwiazd za skrzydła! miljardy światów za skrzydła!... Miljardy strzaskanych łbów o ostre skały za jedne skrzydła — a ty biedny, zbolały, nieszczęsny i ślepy tłumie zbawionym zostaniesz na wieczne czasy, z pokolenia w pokolenie, z plemion w plemiona, z ludzkości w ludzkość niezamarłą!...

Pasterzu! bodaj z twej prostej linji zrodziły się orły niestrudzone plemienia ludzkiego i wiodły go przez gradowe chmury i gromów błyskawice.

Bodaj wszystkie ogniki wszechświata sługami im były! Pasterzu, bodaj twój kij pastuszy stał się berłem cudotwórczem w nieskończoności!... Żeś mi powiedział historję Gnębionego!... Dostać krwi Wyzwolenia — a wieczna jasność wszystkich żyjących, wieczna harmonja blasku, relikwie prawdy, talizman siły zdobywczej! Wieczna zagłada ciemnocie motłochu!... Każdą znikczemniałą głowę namaścić, każde spodlałe serce wykąpać, każde zbydlęcone ciało pokropić — a będzie odkupione!...

Jednocześnie Ikar dostrzegł, niedaleko od siebie, spuszczającego się z góry ogromnego ptaka, jego potężne skrzydła wolno i majestatycznie żeglowały w powietrzu, jak wspaniałe wiosła misternego statku. Ptak opuścił się na dół i nieco leniwie przebierając pletwistemi łapami, chodził ociężale i szukał nad brzegiem padliny — był to albatros, nieustraszony sternik morza i powietrza, niezwalczony przez najtęższe burze, mogący kośćmi oddychać i całe doby być w nieprzerwanym locie, lubiący w szczególności światło i często bije ponad chmury.

Ikarowi przyszła genialna, rozbójnicza myśl do mózgu, zuchwałość nieznająca nigdy granic, zapalczywość bojownika, ryzykującego wszystko. Oto zbliżyć się do ptaka, skoczyć nań, jak na pegaza wskakuje rycerz, porwać go za szyję, zwrócić oko ptasie ku słońcu i tak płynąć, płynąć,

płynąć bez przestanku, aż o zachodzie lub o wschodzie, zbliżyć się do słońca i pełną garścią zaczerpnąć krwi, wytoczonej niegdyś przez Niewolę z dostojnych żył Wolności i Wyzwolenia, a w obłąkaniu, jako przekleństwo, rzuconej dłonią Gnębionego. To jedyna droga, ciernisty szlak ku spokojnej niewinnością przystani. Nie może być innej myśli, idei, zamiaru, pragnienia i życzeń, wynoszonych pod wątrobą, jak matka nosi płód w swojem łonie. Nie może być cieniów wahania i zastanowień; kto rozmyśla — ten zdradza samego siebie, okłamuje swoje ukochanie, ten jeno kwilić niegodnie potrafi i śnić w chorobliwych marzeniach o rubinowym czynie, ten zgnije w analizowaniu okruchów zaciemniających wytknięty koniecznością cel. Chcieć i módz — oto kodeks i przykazanie dla twórców!...

Ikar podmuchem wichru niewstrzymanego przypadł do albatrosa i wskoczył mu na grzbiet, a ptak, jakby na rozkaz, poderwał się, rozłożył skrzydła mocarne i z początku powoli, a później szybciej pruł wzwyż tonie przestrzeni. A Ikar słyszał za sobą głosy cierpiące, oddechy z piersi zapadłych, drżące jękiem żywota ciężkiego. Zaszumiały piany wód morskich błogiem życzeniem owocnej podróży, śpiewem rozmodlił się wiatr zachwycony i niewystygłe uwielbienie posłały za żeglarzem nieruchome góry kamienne. I ziemia wszystka zaszeptała dumą i błękit lazurowy uśmie-

chał się przyjacielsko. Ikar żegnał naturę przepowiednią szczęścia:

— Do zobaczenia, ogrodzie rozkoszny, kwiecie upojenia, perło kunsztowna pomiędzy światami. Odtąd subtelna miękkość aksamitu będzie się słała pod stopy wędrowne i wyrosną drzewa kochanej dobroci. Zbratanie rozepnie sztandary, pod których cieniem słowiki hymny pochwalne głosić będą; czyżyk arję miłości powszechnej zanuci. Zielska i pokrzywy nasiona słodyczy urodzą, na polach piasczystych winnice wystrzelą!...

Albatros leciał cały dzień; obaj, i ptak i człowiek nie czuli zmęczenia. Był już prawie wieczór; słońce zaszło, ostatnie błyski tonęły w mglistych otchłaniach granatu i po przestworzu wił się rudo-sinawy kir. Martwe odbicie północnej zorzy przebiegało z bezkresu w bezkres nieskończony; w powietrzu jakaś wonna, ukojona słodkość przelewała się leniwie i opadała na świat wraz z cieniem nocy. Było bardzo, bardzo cicho i w błogości spoczywały resztki dnia; najmniejsze tętno nie przeszkadzało zgrzytem wieczornym modłom przyrody, będącej w zasłuchaniu dziewiczem.

Ptak płynął ciągle, szybował wyżej i wyżej, a Ikarowi ciepłe uczucie zagościło w żyłach; spojrzał na dół. Pod nim glob cały okrył się milczeniem i ciemnością nieprzebitą, a przed nim w ciemno-granatowej orbicie wszechprzestrzeni iskrzyły się i migotały ogniście roje mgławic i czerwono-

złotych ognisk. Ziemia znikła zupełnie, szła od niej gęsta, nieprzebyta otchłań: wszędzie cisza, cisza i cisza i martwy spokój wieczności. Tylko nad ptakiem, prującym piersiami otaczające ciemności, w obłąkańczej dali wirując, żarzyły się planety.

Tak przeszła prawie cała noc. Daleko przed świtem lot ptaka stał się wolniejszym, jakby utracił siły niepokrzepione; Ikar to spostrzegł.

— Czemu zwalniasz biegu, ptaku mój gromolotny?

— Jestem głodny — odparł albatros — chcę się spuścić na ziemię i poszukać pożywienia; inaczej nie będę mógł płynąć. Tu dla moich płuc brakuje oddechu!

— A czy odlatując z ziemi byłeś głodny, ptaku mój miły?

— Nie, ale my upłynęliśmy już tysiące mil; jam prawie wyczerpany, bez pokarmu nie mogę fruwać, niechby chociaż zdechłego gołębia na zjedzenie!... Jestem głodny!

— Nie możesz już płynąć, nie możesz, nie możesz?...

— Nie, nie mogę, jestem bardzo wyczerpany, jeśli mi nie dasz czegoś do pokrzepienia — spadnę!

Ikar nie odpowiadał, wydobył kawał ostrego krzemienia z fałdów swej tuniki i, zacisnąwszy zęby, począł wyrzynać sobie kawałek mięsa z boku. Ból, straszny ból wykrzywił mu twarz, wycisnął

pot na czoło bohaterskie, oślepił wszystkie zmysły z wyjątkiem uczucia — lecz on nie zaskowyczał; stalowym ruchem przeznaczenia odkrajał kawałek ciała i jeszcze dymiący krwią, podał ptakowi. Ten połknął żarłocznie i pomykając szybciej mówił:

— Co za królewskie pożywienie!... Daj mi jeszcze kawałek!

Ikar bez słowa wyrznął drugi kawałek mięsa z pod serca i z cichem charczeniem dodał:

— Jeno wzwyż, jeno wzwyż, wzwyż leć, ptaku mój kochany!

— Daj jeszcze!... dawaj ciągle tego pożywienia — mówił ptak — a przed wschodem słońca będziemy kołysać się u jego niedostępnych dla nikogo zrębów — i pofrunął, jak błyskawica.

Ikar posłusznie spełniał życzenie ptaka; z zaciśniętemi zęby wyrzynał sobie cal po calu, kawałek po kawałku i krwią i ciałem sycił swego rumaka, bijącego z zawrotną szybkością przestrzeń. I taka jazda ofiarnicza trwała kilka godzin, jeden wyrzynał sobie mięso i karmił drugiego i obaj płynęli w cierpieniu niewysłowionem, w męce poświęcenia, w żarze tęsknoty.

Nareszcie zajaśniał świt. Ikar dojrzał dalekie słońce, pławiące się w strumieniach krwi, wyciął jeszcze kawałek mięsa i dał go albatrosowi, z okrzykiem jasnym.

— Prędzej! prędzej, mój ptaku, bo skonam z oczekiwania!

Posłuszny pegaz połknął słodkie ciało i leciał, jak myśl, jak wspomnienie umierającego.

Słońce w całej dostojności wschodu widne było, jak na dłoni. W Ikarze śpiewał, nucił, kołysał się, brzmiał hymn zwycięstwa. Z uśmiechem wycinał powoli mięso z pomiędzy żeber i karmił ptaka.

Albatros zwolnił biegu.

— Czemu stoisz? — wrzasnął Ikar.

— Skrzydła mi się palą! czy nie czujesz żaru? — zajęczał ptak.

— Ja dawno cały płonę, już dawno od ran moich płonę! — porwał garściami wilgotną krew i począł ją przykładać na palące się skrzydła albatrosa.

Ptak jeszcze pomknął w górę, karmiony ciałem, oblewany krwią.

Zatrzymał się. Światło zionęło zastraszającym ogniem, śmiercią gorąca i żaru nadwyobrażalnego.

Ptak zapalił się cały i był podobny do wielkiej wirującej kuli rozpłomienionej. Machał skrzydłami, jak strasznym językiem płomieni — stał na miejscu.

— Wyzwolenia dla tłumu, sakramentu krwi dla niecłowieka! — wyszeptał Ikar niezmęczony.

Pod nim, hen, hen... daleko... w straszliwych głębiach, w mrokach spowita spoczywała senna

ziemia, na jej powierzchni, jak gdyby w przeczuciu wielkiego zaszczytu, w spienionych bałwanach przewracało się sine morze. Albatros, podsycany przez Ikara, walczył z całym pożarem słońca — pośród nieustraszonego boju, opadał wciąż niżej i niżej. A gdy ze skrzydeł zostały zwęglone kości — runął piorunem wraz z jeźdzcem na dół.

Morze jest trumną Ikara, a wyspa pomnikiem.

HYMN MIŁOŚCI

Miłuję ze wszystkich mocy moich, z całego serca mego, całą potęgą ducha mojego — miłuję moją ziemię ojczystą!

Miłuję... miłuję mą ziemię!

Hosanna!... Hosanna ziemio polska!... Hosanna ziemio męczenniczko!

Bądź pochwalona przenajświętsza ziemio rodzinna teraz i w nieskończonych wiekach przyszłości!

Bądź pochwalona, bądź błogosławiona przez wszystkie kwiaty i ciernie narodu mojego!

Chwała ci, ziemio moja... chwała nieprzebrana... chwała ponad wszystkie światy, ponad wszystkie cuda!

Kocham moje niebo, wszystkie mroki, światła, we wszechświecie wszystkie zamarłe i wszystkie rodzące się blaski.

Miłuję to moje jasne, spokojne, poczciwe polskie słońce — jego łzy, jego wzrok płomienny bólem i łkającą tęsknotą. Miłuję, gdy mgliste, zbolałe, krwawe, gdy zlewa pion skwaru i żar, gdy czułą, przejasną falą otacza nas, jak gdyby w wielkiej, od tysięcy wieków zrodzonej ku nam miłości.

Kocham przecudne niebios lazury: tę bezdenną głębię, tę wyśnioną uroczą toń polskiego błękitu, te fantastyczne strzępy, urwiska, przepaście, te duchy obłoczne z lekkiem tchnieniem zefiru falujące, niby żagle słonecznych korabli, niby olbrzymie skrzydła jasnych, promiennych łabędzi; drgają bezustannie, szybują, plączą się, wiążą w potworne cuda, w bujne misternie rzeźbione hieroglify ciemne i nieodgadnione, jak gońce ślepej przyszłości, co są posłuszne jeno orlej źrenicy wybrańców bożych.

Kocham to niebo — za burze, za gromy, za słońce i mrok nieprzejrzany, za chmury, za tęczę, za mgły i zorze — kocham, bo cudne, a cudne bo nasze... bo polskie!

Kocham naszą dziewiczą wiosnę za jej nadziemską symfonję uczuć. Ona, niby wyśnioną królewnę, budzi do życia ziemię zmartwychwstającą, co się uśmiecha ku światłu, ku niezmiernym przestworom miliardami lic królewskich róż i konwalii, wskrzeszając ich kwietne, balsamiczne oddechy, uczucia i wonie.

Wiosna! promiennolica wiosna, mająca w swej piersi olbrzymie słońce wszechżycia, a w żyłach krew, jako nektar boski, co unieśmiertelnia — kogo owionie swoim oddechem, ten szczyty z orlim rozmachem przeleci. Tysiąc gwiazd uśmierci i tysiąc gwiazd wskrzesi tam, kędy duch ludzki ma swój wieczny, monarszy tron biały... O, wiosno!

ty wielki potężny magu, ognie młodzieńcze tchniesz w piersi starcze, balsamem wzmacniasz, krzepisz, podnosisz, budujesz, źródłem mocy, wiary, nadziei, poświęcenia przepełniasz piersi męczeńskich synów i cór mej ziemi.

Przeto chwała ci wiosno polska — chwała po wsze czasy!

Kocham cię całą potęgą młodzieńczego serca, kocham cię, ogniem ziejące lato, choć jesteś spiekotą ziemi naszej i dusz naszych choć nam wyciskasz perły krwawe na znojne, bólem ofiarnym promienne czoła... O, bo twe ognie, bo twoje żary, w naszej od wieków znękanej, stęsknionej, zbolałej piersi rodzą niepokonane żądze ochłody, morze miłości i zaprzań — zmieniając nas w niebotycznych tytanów serca, w centaurów ducha, w wielkie płonące ognisko woli, pragnień, hartu, siły, męstwa i tej potęgi, co każe z uśmiechem umierać na haku!

O błogosławioneś, błogosławioneś lato ze swoim żarem i męką!

Kocham gradowe, ciemne, ponure chmury i fale błyskawic jesiennych, jej gromowładną majestatyczność, gdy szemrze, niby okrutnym rykiem lwa, ognistym zygzakowatym językiem swego piorunu. Kocham tę królewskość, ten święty smutek, co bije od jej całunów, gdy ziemię spowije noc w sploty ogromne; miłuję te cienkie, srebrzyste wstęgi łez, co pojąc spragnioną ziemię, płyną

bezładnie zwichrzone, jak motki starganego przędziwa. Wówczas rozwierają się niebieskie wrota i sama Wszechmogąca Natura płacze krwawemi łzami nad tą wielką ofiarną Golgotą — Golgotą, co Nową Polską się zowie.

Ona sama ją stworzyła, jak matka ukochała i jako całopalenie, złożyła na stosie ofiarnym. A teraz jęczy, że Polska kona za swoich ojców i braci możnych zbrodnie, lecz męką okupić musi jasną pochodnię przyszłości złotej swego ducha.

O świeć się, świeć jesieni polska, gdy siejba w krwi ofiarnej — to zbiory w uśmiechu weselnym!

O Polsko młoda, o ojczyzno moja!... Iżeś jest odkupicielką tych, nad których kolebką jęk matek ponure, pełne łez, kołysanki nucił głosem ochrypłym — kocham cię zato, kocham cię więcej, niźli własną duszę. Cały wiek twoich męczarni, cały wiek strasznych cierpień, cały wiek krzyków za odkupieniem, rozpacznych przekleństw i potępieńczego wycia pragnących jednej chwili spokoju i szczęścia. Wszystek wiekowy ucisk, wszystkie krzywdy, bóle, wszystkie rany twoje, ziemio, ognią się w młodej mojej piersi — przeto jeno jęk, jeno ból, żółć, jeno męka przez moje płaczą usta!...

Kocham nieugiętość mocarnej zimy, jej rozpaczliwy grzmot wichru, co wściekle się miota, jak gdyby się bóg przepotężny rozszlochał — ję-

czał, płakał, wył i szukał tego, co niegdyś stworzył, co wszechserdecznie ukochał, a dzisiaj utracił. Więc wściekłą grzmoci pięścią błękitne wrota nieb i skargą straszną, bezdennie szyderczą, urągliwą — pluje w szafirowe oblicze Jowisza, trzęsie Olimpem, jak gałęzią dojrzałego owocu, rani własną pierś, rzucając się straszny w swoim majestacie grozy, wściekły, rozżarty, rozpaczliwy... zbolały... bezsilny — pełen gorzkiej, gryzącej, zabójczej niemocy — bo znaleść nie może!

Kocham wzorzyste, szmaragdowe kwietnych łąk kobierce, co jak wymarzone w majowym blasku miesiąca wonne, puszyste łona widziadeł, nęcą ku sobie znużoną skroń. Kocham te moje pola, niwy, te srebrne kłosy żytnie, te mieniące się krwawym odblaskiem złota łany pszeniczne, co się burzą, wzdymają, pękają, jak fala poruszona południowym podmuchem wiatru. Tam, na tym rdzawym łonie ziemi mojej pełną piersią oddycham wonią swojską — przerozkoszną wonią życia. Tam rozrasta mi się dusza, strzępi na miljony atomów, na skrzydłach miłości płynie do tych mlecznych mgławic, do tych obłocznych stropów, gdzie nieznana ręka wyroczni zakreśliła kresy naszej tęsknoty życia.

Kocham ciche... drżące rozkosznym szeptem, romantyczne, pełne czaru ułudy gaje i ten uroczy w nich ptasząt śpiew i liści rozhowor, ten tajemniczy szmer strumyków, co jasno-błękitną wstęgą

snują się splątane, zwite w przeguby, jak gdyby omotały srebrnym pierścieniem zaczarowane pagody, w których króluje jakieś wyśnione bóstwo, nieodgadnione bóstwo dobra i miłości, bóstwo natury, początku i końca.

Kocham was mroczne, ciemne lasy i was odwieczne dęby, graby, buki, boście żywymi świadkami wielkiej krwawej, stuletniej tragedji... Kocham was lasy, jak liry archanielskie drżycie wzniośle, czysto, przedziwnie tęskną melodją, niby preludjum mistrza nad mistrzami, gdy rozłoży dłonie na świata krawędziach i tworzy rozśpiewany pieśń-cud, pieśń-życie, pieśń-nieśmiertelność — wielki, bezbrzeżny hymn bólu i miłości i pracy, glorję męczeństwa zwitą z męstwa i poświęceń, które nietylko kraj, ale ludzkość zbawić i odkupić mogą.

Kocham was, moje lasy i pola, strumienie i gaje... Wy w ciemną bezgwiezdną noc ronicie święte łzy, nucąc wielką, jasną, świętą przeszłość tych niepokalanie białych dusz naszych nowych, tkaną z wielkiej chwały, z wielkich poświęceń i z wielkich występków świadomie spełnianych przez naszych »braci« wielmożnych!...

Kocham was, moje serdeczne sioła!

Kocham grzędy wiejskie i ich słomą pokryte strzechy, gdzie serca jasne, a mózgi mroczne. Kocham was, wy cisi i prości siermiężni oracze ojczystej skiby. W waszych potężnych, rozrosłych

prostaczych piersiach niema zgrzytu, ni wężowych zwątpień syku — jeno wiara niezmierzona, jeno moc nieprzebrana, jeno jedno tajemnicze boskie zaklęcie! Oby ono w błogosławiony czyn zmienionem zostało na zawsze i po wszystkie wieki!

Kocham twoją dziewiczą, pełną najświętszych tajników ognia, wiary, zapału, niewzruszoną duszę — o ludu!

I za twoją wiarę, za twoją moc i życie, i za twe cierpienia, za westchnienia gorzkie i za łzy tułacze — kajam się w prochu tobie, mój ludu!

Bo ludów cierpienie — to cierpienie ludzkości całej!

O ludu mój!... wy drodzy moi, o serdeczni moi... dajcie mi... dajcie mi serca wasze, a ja je wszystkie w piersi mej umieszczę, przytulę, ukoję, i upieszczę. I czuć im każę jeden prąd, jedno zgodne bicie, jedno serce tylko stworzę tak, jak jeden wszechświat, jedna siła i potęga cudownego życia!...

SEN

Spokój!...

Niezmącona harmonja objęła wszechświat cały.

Cisza w sercu, w mózgu i w duszy mej cisza, wielka cisza.

Spoczywam na łące, pod skarłowaciałą gruszą, nademną szafirowy namiot, rozpięty na krawędziach świata, miliardy gwiazd, jak rozsiany brylantowy piasek, mrugają promiennemi oczyma.

Ziemia cała znużona, senna, spowita srebrno przejrzystą mgłą, niby królewskim płaszczem; płynie od niej czar, urok i woń wyśnionych pól i kwiecistych łąk i ogrodów cudnych.

Ukołysany, z duszą rozmodloną — śnię cudne młodości sny.

Ach, jak mi dobrze!

Czarowna harmonja przepełnia pierś moją... o, jak mi dobrze, jak ciepło — przecudne wschodzące słońce gości w mej duszy.

Jestem jako ptaki o muzycznym śpiewie.

Jako ognisko i gradowa chmura.

Jam harfą — na niej uczucie kładzie rozognione palce i gra i gra... Brzmi, śpiewa, rośnie, potężnieje, rozbrzmiewa, nuci rozgłośnie hymn: »Błooo-goo-sła-wioooo-nyś!...«

Rozkosz od początku czasu zrodzonego dobra, hejnały dzwonów poezji mam w swojej załzawionej i tęsknej duszy!

Pierś moja jest świątynią z wiekuistym zniczem.

Drżę...

O, gwiaździste nieba!...

Ostry... suchy zgrzyt!

Pęknięta struna, mrozem przejmujący dysonans wspaniałej, ponad głowami tłumów rozśpiewanej symfonji natury.

Błyskawice różowego światła migają w mrokach, niebo na roścież otwiera podwoje... Bóg ukazuje słoneczne oblicze.

Czy gwiazdy strącone z wyżyn niebieskich sklepień płyną na ziemię wskrzeszać ogniska na wygasłych piersiach ołtarzy?

Czy przyszłego dobra oddźwiękiem lutnia zadrgała?...

Czy wiekuistego ognia płomieniem buchnęły kaganki życia?...

Nie wiem — czuję, jakiś oczekiwany z utęsknieniem przez wszystkie umęczone serca, płód zadrżał w łonie szafirowego przestworza.

Z łąki powstał szmer cichy, nieodgadniony — niby szept konających warg.

Powtórny, krótki, straszny trzask, chrzęst!...

Z kilku gwiazd, jak strzały z cięciwy, syknęły ogniste języki, z błyskawiczną szybkością motały koliska — powstała spękana tarcza ze światła i z szafiru; przez chwilę senna, martwa, nieruchoma — zaczyna drgać i żyć, wiruje w krąg z zastraszającym rozmachem... gwałtowny prąd powietrza uderza mi na twarz.

W wirującej tarczy światło drga, rośnie, nabrzmiewa, kipi i gniecie szafir.

W mrocznym bezkresie eksploduje snopami iskier, — okrutna wrzawa światła, płomieni, żelazny ucisk nocy, błyskawice, rozpaczne wybuchy ognia i jasności. Dwie potęgi: mrok i światło. Dwa pioruny: noc i ogień, chwytają swoje grzywy, uderzają piersią w pierś, niby chmury, i ryczą, jak rozhukane fale — tumult, zgiełk światła, pomrok nocy, wrzask powietrza, grzmot, race, kłębienie, wrzawa — jak gdyby naraz sto słońc poszło do szturmu w czeluście przepastnych otchłani i tych mistycznych nocy, co gniotą w martwym uścisku światy.

Z łąki wionęło smętne kwilenie, przesiąknięte nieprzebranym bólem, jękiem cierpienia; jakąś niezrozumiałą tajnią męki... serce martwieje mi w łonie, czuję, jak spadam w bezdenną, zimną przepaść.

Z łąki szybują wzwyż potężne, jak konary, rozłożone do uścisku ramiona.

Jakby na skinienie maga na firmamencie zamarły gwiazdy.

* * *

Z wyżyn spływa ku ziemi świetlana powłoka.

Strop pokrył się nocą i pustką — tchnie z tych czarnych opon głusza, smutek, mróz ścina krew gorącą w żyłach, ciężarnemi kroplami pada na duszę!...

Przedemną stanął człowiek z ramionami rozłożonemi, jak »Chrystus« Thorwaldsena, powłóczysta suknia spływa w kobiecych fałdach ku ziemi, twarz o regularnych rysach okolona dziewiczym puszkiem, ozdobiona parą wielkich, błękitnych, jak niebo wiosenne, oczu. Od całej twarzy idzie jakaś rzewna dobroć, blask i kojąca moc, co całej postaci nadaje wyraz majestatu, cichego smutku, niezmiernej pokory, a zarazem nieograniczonej potęgi tworzenia cudów.

Taką właśnie musiał mieć twarz Mistrz z Nazaretu wówczas, gdy wskrzeszał Łazarza, lub skinieniem dłoni uciszał morskie, rozhukane odmęty.

Nieznany człowiek uparcie wpatrzony w moją twarz, jak gdyby zajrzeć mi aż do dna duszy pragnął — jestem zalękniony od słodyczy jego wzroku... Wreszcie przystąpił ku mnie, kładąc

swoją śnieżną dłoń na mojem ramieniu, wyszeptał:

— Zbudź się, tyś człowiek!... Kto jest człowiekiem, temu śnić nie wolno!...

Powstałem — biła od niego wola nieugięta, jak przeznaczenie śmierci; — oczekuję z bijącem sercem, niepewny, onieśmielony, strwożony, jak ptak w piorunową burzę.

— Czego żądasz, Panie? — pytam drżący.

Nie słyszał mego pytania, stał zapatrzony w ciemność, poruszał nieznacznie wargami, jak gdyby w wielce skupionej modlitwie zasyłał akt odkupienia przed ołtarz potężnego bóstwa. Jeno z łąki zahuczał grzmotowy płacz, głuchy, przeciągły jęk straszliwy, jęk podziemny milionów istot zamkniętych do mogiły.

Kurcz goryczy zmroził twarz nieznajomego, usta zadrgały i z oczu trysnął strumień łez. Spadające, niby perły, łzy, u stóp polnej gruszy wyżłobiły z niezwykłą siłą bijące źródło. Jasne strumienie wrzynały się w ciemności, rzucając naokół tęczowe blaski.

On wzniósł ponad źródłem dłonie i błogosławił; szeptał niezrozumiałym, dziwnie błogim językiem. Czułem tylko, że darzył źródło tajemną, niezgłębioną mocą.

I biła ta moc, ta siła, jak światło ze słońca, chwytała mnie w swe sploty, burzyła, łamała, zgniatała, wypalała wszystko, co we mnie było

dotąd, co było mej istoty treścią, co wiązało mnie z życiem i z sobą — wszystko to uleciało z mej duszy, niby wonność z odkrytej urny. Został jeno ból... nieogarniony ból... męczeński ból człowieka o godności podeptanej niegodnemi stopy!...

Ból, bunt, rewolucyę ducha zrodził w mej piersi majestat, który bił ze źródła i postaci nieznajomego, zwróciłem się doń.

— Czego żądasz, Panie?...

Zwrócił ku mnie natchnioną twarz i głosem proroczym wyrzekł dobitnie:

— Kto jeno żyw i ma serce w piersi, niechaj powstanie, albowiem spękany świat wali się w gruzy, a wokół niego wichry, grzmoty i błyskawice... Umęczony, po tysiąckroć ukrzyżowany duch, pośród wichrów boju stracił swoją ostoję.. z orlich szczytów strącony bezlitośnie w przepaść, szarga bezwstydnie śnieżną swą szatę, z cynizmem w orgiach samolubstwa pławi się w kale, w zbrodni, jak w zdroju odkupienia.

— Więc co, co uczynić trzeba?...

— Uderzyć w dzwon, spiżowy dzwon serca; niechaj w bólu, niechaj we łzach, w poświęceniu, w krwawej, okrutnej męce odrodzi się duch, jak feniks z popiołów, niech zmartwychwstanie człowiek hartowny, jak stal, z sercem, jak morze!...

W tej chwili czuję, jak jakaś nieznana a do broczynna materya rozsadza mi piersi, mózg, — mam ją w duszy, w nerwach, w sercu, w oku —

mam jej całe oceany, a jednak jestem nienasycony. Czuję, jak jakiś święty żar pali mi łono i jestem, jako mistyczny kwiat, przesadzony na inną planetę.

Umarłem przed chwilą, umarłem dla wszystkiego, co dawniej ukochałem i co pieściłem w młodzieńczych snach, wszystko, co było drogiem osobistem szczęściem, wszystko złożyłem do mogiły...

Inną czuję w sobie duszę... widzę jeno blaski i cienie — bom odkrył w piersi swej nowy, nieznany świat mojego ducha.

Położył mi dłoń na ramieniu.

— Pójdź ze mną! — wyszeptał.

— Nie mogę, Panie, kir czarny wzrok mi pokrywa!...

Dotknął mych powiek świetlanymi palcami — poczułem, że wzrok mój nabiera straszliwej mocy i potęgi, że jestem mocen przejrzeć na wskroś ziemską bryłę, że czytam z gwiazd przyszły roz wój form ludzkiego ducha i zmienne tory świata.

— Czyś gotów?... — zapytał.

— Od odrodzenia zawsze i wszędzie, każdem tętnem serca.

— Pójdziemy w ciemności, w bój, w zapasy pójdziemy zbrojni bezbronnie pod błyskawice mieczów, w koliska ludzkie, gdzie bije grom zbrodni, przekleństw i rozpacznego wycia, gdzie szałem dźwięczą serca, nienawiść, złość, kał, hydra roz-

szerza stujęzyczną paszczę i zionie jadu skrzepłą śliną... pójdziemy z pochodnią zgody i białym sztandarem pokoju!...

— Panie, jeśli wyszydzą, jeśli oplwają twarz i duszę naszą?...

— Ty za wszystko, rozumiesz synu, za wszystko miłować ich będziesz!...

Ujął dłoń moją i wiódł kamienną ścieżką w dolinę, zamkniętą z trzech stron złomami niebotycznych skał. Po krótkiej, uciążliwej wędrówce, skręcił na prawo, gdzie ujrzałem stare cmentarzysko. Samotnie, pusto i głucho tam było, żaden szum, żaden odgłos nie mącił martwej monotonji; tysiące zapadłych, rozdeptanych mogił porosłych krwawym mchem, gdzieniegdzie stary kamień, grobowiec z zatartym napisem i strzaskaną kolumną.

Pośrodku cmentarza krzyżowały się bite gościńce, na skrzyżowaniu stał z czarnego porfiru krzyż z bronzowym Chrystusem.

U stóp krzyża ogromna, czarna przepaść rozwierała głębie. Naprzeciw, z prawej i lewej strony dwa marmurowe grobowce; na jednym z nich, obok lśniącego obelisku stała postać z białego alabastru, z głową smutnie opuszczoną na piersi, kurczowo załamane dłonie skute łańcuchami przyciskała do skrwawionej piersi i jęczała w bezmiernym bólu, aż grobowiec cały drgał i kołysał się w łkaniu i jakiejś niewypowiedzianej tęsknocie.

Na drugim grobowcu siedział człowiek w skurczonej postawie; łokieć oparł na kolanie, głowę na dłoni i dumał; brew zmarszczył i wzrok utkwił w jeden punkt, żyły na skroniach i karku nabrzmiały, a on gryzł do krwi wargi z wysiłku, niepewności i zwątpienia. Czasami chwytał zrąb grobowca, zgrzytał zębami i pluł krwią i targał, trząsł grobowcem i ryczał z niemocy, jak postrzelony lew.

Zbielały wzrok zwracał na Ukrzyżowanego i oszalały z bólu, chłostał Bożą mękę jadem szyderstwa; to znowu wyciągał dłonie ku ciężkim, poszarpanym, sinym chmurom, drżał, skamlał, rzucał się, wił na wszystkie strony i płakał gęstemi łzami.

Męczeńsko rozpięty Chrystus patrzał nań z bezgraniczną miłością i żalem, a zbladłe usta szeptały:

— Synaczku, błogosławię twą mękę, albowiem w niej poznanie twoje.

Od kamiennego krzyża płynęła dobroć i cisza szedł taki cichy, ofiarny, pełen miłości ból i błogosławieństwo:

— Synaczku! — szeptał Chrystus — synaczku, błogosławię i tulę twą umęczoną duszę! Przecież ja za nią poniosłem śmierć okrutną, przecież jam za nią krew wytoczył swoją i za nią, i za wszystkie, którem stworzył i odkupił... Błogosławię twe bóle, i łzy, i pragnienia, i krew, i twoją żałość,

twoją nędzę nieprzebraną, jako morze! Płacz, płacz i drżyj, synaczku, albowiem wiatr mroźny na pisklęcia pióra!...

Kamienna pierś Chrystusa opadła westchnieniem i boże zapłakały oczy.

Wionął lekki wiatr i przyniósł z sobą zapach cierni; w dali, gdzieś hen, hen daleko, rozbrzmiewało echem szczekanie psa i koguta pianie.

Zajęczał, zadrżał grobowiec, zgrzytnęła marmurowa płyta, ukazując czarne, mgliste, mogilną wonią ziejące czeluści; z otchłani tej snuł się korowód upiorów.

Płynął, jak woda, szumem, zgrzytem i przekleństwem na spróchniałych szczękach: gruby, rozdęty, obrzydliwy, jak wąż boa. Niewiasty, pacholęta, męże, dzieci szli w długim korowodzie, ponad nimi płynęły chmury ptactwa o potwornych kształtach; kruki, wrony, kawki, sępy, sowy, puhacze, jastrzębie — wszystko to łopotało skrzydłami, krakało przeraźliwie, dzierżąc w dzióbie kawały ludzkiego mięsa, a w szponach świecące błędnym ognikiem spróchniałe, popękane czerepy.

Przed korowodem upiorów płynął wąską strugą cuchnący rozkładem ciał, zatruty strumień. Po bokach pochodu, jak gwardja przyboczna, szły hjeny o twarzy człowieka i okrągłem jednem oku pośrodku szerokiego czoła, miast włosów mieli końskie grzywy, u palców zakrzywione szpony drapieżnego ptaka. W pewnych odstępach szły gar-

bate postacie w strojach arlekinów, z biczem w dłoni i powrozem na ramieniu.

Cały ten pochód skuty miedzianym łańcuchem postępował zgnębiony, ciężki i ospały, jak stado niewolników, smagane biczem do jarzma. Przechodząc około krzyża, potrząsali nagiemi piszczelami i patrzyli zielonkawym wzrokiem ropuchy. W przepaść u stóp krzyża jedni rzucają kawały gnijącego mięsa, inni głowy, z których naokół pryska brunatny mózg: nogi, ręce, golenie, torsy całe i tak bez końca i miary.

Na końcu pochodu stąpał ksiądz, wiedziony na smyczy przez dwóch wilków, na głowie dźwigał wieniec laurowy ze zwiędłych nenufarów, a na ramieniu łasicę, która brała zgrzytliwe akordy na strzaskanej lutni.

Na kamiennym krzyżu zajęczał Chrystus okrutnie i krwawą łzę uronił. »Gdybym raz wtóry na ziemię zstąpił — naukę i miłość moją rozsiałbym w przestrzenie!...« wyszeptał. I drżał, i jęczał Chrystus, i trząsł swoją potarganą brodą, i żałował swej nauki ogromnie; po twarzy i straszliwie wydętych piersiach płynęły gorące łzy goryczy.

Dalej szło stado krów ze łbami spuszczonemi tuż przy samej ziemi. Niekiedy, jak na komendę, wznosiły łby i w grubych wargach dzierżąc polne kwiaty, ryczały silnie. Pochód zamykał biegnący w sążnistych skokach lew; z rozwartej paszczy wywiesił kolczaty język, ogonem smagał swe boki,

pragnąc wysadzić jeźdzca; jeździec nagi, z włosem sterczącym, jak szczecina, w wygiętych palcach, trzymał ludzkie serce i skrwawionemi pożerał usty...

I minął pochód, jak mija głód, ogień, burza i pioruny...

I znowu zajęczał grobowiec.

Wyszedł zeń młodzian o przestrzelonej piersi i zniżył kolano przed alabastrową postacią.

— Wierzę w Ciebie — zaszeptał cicho i łzawo — boś jest nieśmiertelną matką światła i wolności serc, kornicą poświęceń; przez ciebie wykwitnie wonny kwiat ukojenia, z kamiennej opoki wytrysną letejskie zdroje... zorze i tęcze stubarwne roztoczą blaski... Tam, w tej krainie nikt nie zoczy cieniów, nie zazna bólów, jęków, westchnienia i okrutnej męki — tam jeno chwała archaniołów nieprzebrana, bez końca rozkosz nieprześniona, jeno światłość bez krawędzi!...

...Tam w przedświt odkupienia ducha będzie biesiada umęczonych dusz — błękitny, gwiaździsty sen snów!...

Tam będą subtelnemi skrzydły otoczone nagie pisklęta, jak zmrok wieczorny otula ziemie rodzącą i moczary dzikie!...

Tam będzie odwieczne tchnienie czystości!...

Tyś, o postaci, męką, odkupieniem i wiarą istnienia!...

...Słońca złotą smugą i całunem cienia!...

...Kto Cię nie ukochał każdem drgieniem ducha, jest jako bańka wewnątrz pusta!...

...Ta krew, z Twego łona falująca, już Kainy obmyła...

...Jam ptak zbłąkany w nawałnicy chmurach, wicher zmroził mi krew ognistą, gromów błyskawice oślepiły oczy...

...O serdeczna, o umiłowana! pozwól — niech zakosztuję nektaru ze źródeł Twoich!...

...Wszystkiem, co dręczy i dolega, co smuci i boli, poiłaś spragnione wnętrza Twoje...

— Że ci dla miłości mojej rozszarpano serce — szepnęła postać — bądź błogosławiony nad blaski tronów, twoją ofiarną krew zmienię w złoty siew!...

Skutą łańcuchem dłoń kamienną wzniosła nad głową młodzieńca, a on w mgle się rozpłynął.

Naprzeciw siedzący człowiek chwycił zrąb swego grobowca.

— O dzwoń, hucz, płyń, grzmij, błyskaj chwilo przyszłości, czekam na ciebie z cierpień modlitwą i przekleństwa łzami!...

Od mego krzyku, od mej męczarni, od mego lęku drży słońce w swojej orbicie... A jam rozpięty na ostrzach swych myśli, płynę, szybuję tam, gdzie żaden z żyjących duchów nie stąpa... gorę, jęczę, płonę — odzianym jest w szatę Nessusa, a jak Herakles — spłonąć nie mogę...

— Chwila, ach jedna chwilka! — zabrzmiał głos jakiś w powietrzu.

— Chwila, ach jedna chwila — odparł, jak echo, skurczony człowiek, — chwila jest długą, jak przeszłość i przyszłość. Ja znam większe, niż Dantejskie piekło — jemu na imię niepewność i zwątpienie. Piekło bez oczekiwania — wyśnionym rajem się staje... Czekam, czekam, pośród kamiennej głuszy grobowej; chmury nietoperzy pajęczemi skrzydłami biją me skronie; ja kurczę, i wiję, i rzucam i ściągam się w niemocy — czuję wszystko, czuję co ziemia, i chmury, i słońce, i gwiazdy, i wszystkie minione duchy odczuły.

...Przez każde drgnięcie jednej tysiącznej sekundy — przeżywam wieki!...

...Przez moje kamienne piersi, jak zmrok wieczorny, faluje cierpienie, niedola, męka, znikomość i śmierć wieków całych i pokoleń całych!...

Jam wielki, przepotężny, nieustraszony niezwalczeniem, świadomością swojej potęgi — oto rosnę, olbrzymieję, wydłużam swą postać, głową wschodu, stopami zachodu słońca sięgam, jestem tym mieczem, co rani... i śmiechem, co wszystkiemu przeczy... Jam gromowładny!... Jam jest...

— Koliber rzucony w powietrzne tonie!... — zgrzytnął głos z grobowca.

Zgromiony tytan jęknął, aż ziemia zadrżała, napół obłąkanym wzrokiem zatoczył krąg, ryknął jak grom, i głowę opuścił na rozrosłe piersi.

Alabastrowa postać zstąpiła z grobowca i krokiem powłóczystym uklękła pod krzyżem.

— Opromieniony kwiecie miłości, Ty dobry, Ty wieczny, Ty słodki, z powietrznej zrodzony fali — wyciągam k'Tobie skute moje dłonie i zgrzytam, i dzwonię łańcuchami, jak dzwonem o pękniętem sercu!...

...Ukaż mi swoją, ukaż, jak miliard słońc, twarz, wstań w błękitach, w swych różowych chmurach bramowanych tęczą; o ukaż się, przemów, głos Twój ochłodzi spiekłe me oczy i usta, jak rosa poranna orzeźwia spragnione kwiaty!...

...Ja wiem, jesteś wszechwładny, jak śmierć, jak zniszczenie wieków. Twego skinienia rozhukane morze i świat cały w głuchem milczeniu czeka, Twego spojrzenia uśpionych gromów tysiące słucha — wiesz, że Cię kocham płomiennie i wielbię w pokorze, choć krew ofiarna zalewa mi oczy, chociaż się dręczę, w łzach, w bólu jęczę, w rozpacznej męce drżę, jak listek w jesienną burzę!...

Wzniosła postać dłonie do stóp krzyża.

Nad nią i nad krzyżem płynęły, postrzępione, ołowiane chmury.

— O chłoszcz, chłoszcz Panie, gniewu Twego biczem, niechaj z wiecznej tęsknoty nigdy nie skonam! jeśli Tobie krwi męczeńskiego ducha trzeba, ja zniosę wszystko, bez cienia odruchu myśli mojej, będę naczyniem ofiarnem, Ty moim kapłanem,

będę przybita na świata Golgocie i śpiewać będę Ci psalmy uwielbienia — ześlij przedsmak słodyczy, zamkniętej w jednej kropli rosy, niechaj rzucam brylantowe kwiaty i miłości ziarna!...

— Pustka i zimno wściekłe się kąsa z milczeniem! — zgrzytnął skurczony na grobowcu człowiek.

— O Adonai!... Tetragramaton!... Sabaoth, nie gardź nami, sędzio ponad sędzie! — błagała postać pod krzyżem.

— Zjaw się sędzio i czyń sąd — tu, wśród grobowców, między nami — stań!... stań!... stań, czy z pogodną lilią, czy z piorunem w dłoni!

— Nie odtrącaj — ja umiłowałam Ciebie, Tyś za mnie pono »krew wytoczył swoją«, wszak Tobie listek na łące, i konik polny, i mrówka w gaju — wszystko miłe Tobie i doznaje pieczy!...

Kamienny Chrystus spoglądał z krzyża załzawionym wzrokiem, drżał cały i szeptał: »Miłości i mocy mi trzeba, bym nie rzucił gniewu błyskawicę...«

— Wołam ku Tobie — grzmiał cierpiący człowiek — rozpacznym krzykiem umęczonych serc, miljonem konających dusz — wołam męką, krwią, przekleństwem wdów, ojców, braci i matek, jękiem katowanych za pacierze piskląt, wołam sterczącym w niebo lasem zczerniałych kości. Zjaw się — wszak jesteś i Ojcem i Stwórcą, i... i...

i prawodawcą, piszącym prawdę i sprawiedliwość w kamiennej świata księdze ostrzem błyskawicy!...

...Prawda jest jedna i wieczysta. Kto będzie praw powiedzieć na mnie — przeklęty?...

Szybko, jak grom ognisty, zeskoczył z grobowca i stanął przed krzyżem obok kamiennej postaci; położył swoją dłoń na jej ramieniu, a drugą wyciągnął wzwyż do Chrystusa.

— Patrz, Ty ukrzyżowany — oto ta, sieroca dusza, zszarpane odkrywa wnętrze i płacze i drży, i o ratunek woła, jak zbłąkane jagnię, choć jest wielka, silna, niepożyta, mocą swą świetlista, wiecznotrwała, nieśmiertelna!... Ta sama dusza, której lśniący miecz był Ci baldachimem, spiżowa pierś miedzianym murem, pod jego cieniem mogłeś spoczywać bezpiecznie, wolny od zniewag barbarzyńskiej stopy. Ta dusza przyzywa Ciebie!... Jesteś sprawiedliwy — czyń sprawiedliwość, tego mam prawo domagać się nawet od tysiąca bogów. O, nie gorsz się tem, promienno-licy, nie gorsz, nieorganiczne ciało bez tchnienia ducha istniało nicością, a macierz w boleściach wieków rodząca boga, była ludów naiwnością!...

Kamienny cmentarz zahuczał szyderstwem.

— Litości! — jęknęła postać alabastrowa.

— Litości pozostaw dla niego — syknął człowiek, — dla niego, gdy będzie płakał odarty z purpury, strącony z błękitów, gdy spadać bę-

dzie w rozwarte głębie przepastnych ciemności, a wieki długie głuchą ironją zawtórzą!...

Cmentarz cały zawył długim, przeciągłym, rozełkanym wichrem, jak gdyby jacyś przedhistoryczni olbrzymi ryczeli tłumioną piersią.

Ukrzyżowany Chrystus wzrokiem łagodnym nakazał wichrom milczenie.

Spojrzał miłośnie na szalejącego człowieka.

— Przebaczam!... — szepnęły skurczone z bólu usta.

— Nie przebaczaj, nie przebaczaj, baranku niemocy — wrzasnął człowiek, — ja drżę, ale nie lękiem tchórza, gdy mu nad karkiem miecz połyska goły — drżę pragnieniem zemsty i smagam Ciebie wieków całych bólem, jak rozhukany grzmot powietrzne fale!... Grzmij, strzelaj piorunów deszczem — ja pierś wytężę — piorun odskoczy, pryśnie, jak spieniona fala o skalisty brzeg!... Imię moje — przyszłości duch!... Jest ono wyryte na każdej gwieździe w szafirowem przestworzu, i jak meteor, błyska pośród rozmodlonej nocy, na każdym kręgu niezmierzonej fali wirującego wszechświata brylantami sadzone jego głoski. Jam jest myślą życia, a Ty jego odwiecznym mrokiem, jam duchem życia, a Ty trumną ducha!

— Przebaczam, bom był, jest i będę sługą człowieka — szeptały łagodnie usta Chrystusowe.

— Nie prawda!... Tyś był tylko parodją, którą ślepy los władał!...

— Przebaczam.

— Nie przebaczaj — bom jest silny, mocny, jam po dwakroć potężniejszy od Ciebie — Tyś twórcą męki śmiertelnej, jam syn nieśmiertelnej, Tyś mocarz przeszłości — jam mocarz przyszłości, ja memi piersiami odeprę wszystkie wichry, wszystkie burze, wszystkie gromy, wystrzelę do komet obiegu i strącę je w pędzie rozkazem mojego natężonego myśli biegu!...

...Jak duch biblijny ponad wodami, unoszę swą postać nad zmierzchem zapadłych wieków i źrenicą, jak z piorunowej chmury błyskawicą — rozpruwam przyszłość mglistą; wzrok mój sokoli, wzrok piorunowy rzucam na wszechświata krańce i stare burzę światy, w przepaść nicości stare strącam duchy, stare niszczę bogi, a tyś — starym, niedołężnym bogiem!...

Hej, urojeni i stworzeni władcy — precz z szańców świata!... Prochy... karły... precz ze świątyni ducha, idźcie, lećcie w zapomnienia morze, niech wam wieki... niech wam przyszłość głuchym śmiechem na jęk wasz zawtórzy!...

Jam jest atomem tej mocy, co rodzi i uśmierca, tą potęgą siły — co wnętrze ziemi bije i stropy nieb rozwiera!...

Ja zimną bryłę świata chwytam w ducha mego ramiona, tulę do piersi, grzeję własnym żarem męki, zraszam krwią serdeczną i toczę na promienne od miljonów lat tory, do wiekuistej chwały

i światłości, gdzie miljardami gwiazd i słońc błyszczą firmamenty, toczę do nieprzebranego szczęścia tam, gdzie władztwo moje, pod lazurowym sztandarem przystań przyszłości!

Pośród tysiącoletniej harmonji tworzenia bezbrzeżne królowanie świadomej duszy!...

Nowego stwarzam boga!...

Nową płodzę duszę!...

Jam nieśmiertelny, i jak bóg, nieśmiertelność tchnąłem im w serca!

Do mnie dzieci me orlęta, jak dąb, wśród rodzeństwa mego stoję i każde z prochu podźwignę, wzmocnię, natchnę, zmienię w Samsona, trzaskającego kolumny, w mocarza, w Atlasa dźwigającego świat kamiennem ramieniem! On palcem poruszy, a miasta całe będą padać w gruzy i popioły!...

Jam władca dusz, pan nowego Syonu — gdzie nigdy nie zmilkną ludzie-ptacy, tam w królestwie mojem wyzwolone z brył materyi żyją wieczne dzieci moje wieszcze.

Bezkresne państwo moje — ale bez wojska, bez tronów i katów, bom nie kraj, ani szczep ukochał jeden — to dobre jest dla popa!

Armia moja — to głodni, bezdomni nędzarze, ja wszystkich, co jęczą, co płaczą, co krwawią piersi i usta w serdecznym bólu, co jak przekleństwo dźwigają istnienie, ja ich wszystkich obejmuję w ramiona, przyciskam tu, tu — gdzie serce

się tłucze, tulę jak ojciec swoje pisklęta — bom człowiek świata, bom duch cierpienia!...

Jestem miljon miljonów — a imię mam... ludzkości duch!...

— Przebaczam, synaczku tobie — szepnął Chrystus skrwawionemi usty — albowiem ból i tęsknica przez twoje ulatują wargi...

Nie kochaj jednych, bo znienawidzisz drugich — złość jest rdzą, jadem, co zatruwa kwiatów uczucia!...

Opuścił głowę na wzniesione piersi i sercem Chrystusa wstrząsnęło łkanie.

— Miłujcie się wzajem! — Jam całą ludzkość przeszłą i przyszłą ukochał i błogosławił śmiercią i miłością!...

Miłość — portem ukojenia, ona jest moją męką i bólem, i krwią ofiarną i... chłostą, przez wasze mózgi wynalezioną!... Atoli synaczku mój, zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, miłość jest mojem zwycięstwem i chwałą, i mojem zmartwychwstaniem w sercu twojem i królestwem mojem w niebie i na ziemi!...

Zakwitną ciernie i głogi — przez krew i ciemności, przez łzy i westchnienia, przez łkanie i smutek, i ból i żal, spłynie majestat mój w niziny — tedy, tedy, synaczku mój — sądzić cię pocznę na miarę miłości mojej!...

Kamienny człowiek drżał, jak w paroksyzmie

febry, błysnął oczyma, z ust płynęła piana, zaciskał pięści i groził Ukrzyżowanemu:

— Przekleństwo Tobie, Twemu umiłowaniu — zgrzytnął zjadliwie — przekleństwo Bóstwu, co radzi miłować, gdy każdy nerw nabrzmiewa i puchnie bólem i skargą, przekleństwo miłości, kiedy miljony konają w nieskończonej męce, przekleństwo potędze, co jeno kwilić, jako ptaszę, umie — przekli...

— Prze-ba-czam, prze-ba-czam — szeptał z niezmiernym ukochaniem Chrystus.

— Przeklinam niebo i ziemię, przeklinam słońca i mroki, raj i piekło, i śmierć, i zmartwychwstanie, przeklinam cierpienie, przeklinam nadzieję, przeklinam cierpliwość, a nadewszystko przeklinam przebaczenie!...

Wzniósł kamienne pięści, postąpił do stóp krzyża i... z całych sił uderzył.

Krzyż jęknął straszliwie, zachwiał się, zakolebał, jak wątła leszczyna, smagana wichrem i burzą i, jak strzaskana kolumna, runął w przepaść; rozświetlił czarną noc otchłani krwawo-złotemi iskrami. Granitowy cmentarz zahuczał podziemnym grzmotem, jak rykiem oddalonych fal, kiedy spienionemi grzbietami uderzają o siebie, począł trzeszczeć, rysować się i pękać z przerażającym hukiem, rozwierały się niezgłębione obszary, czeluści dymiły czarnym, duszącym dymem, buchnęły snopem czerwonym, to znowu cienkiemi języczkami

blado-zielonych ogników, gryzły kamienne zręby szczelin.

Gdzieś, z dalekiej północy zerwał się huragan — wył długo, żałośnie, przeciągle, gwizdał, ryczał, rwał, targał, dusił powietrzne przestrzenie, porywał z ziemi kłęby dymu, iskier, ognia i rzucał w szafirowe stropy; to znów cichł, szemrał, wił się, czołgał po ziemi, niby wąż stugłowy, a wielki, a przeogromny, grający ognisto-tęczowemi barwy. To znów rósł, nabierał mocy i rozmachu, potężniał, huczał, grzmiał i pędził przed sobą postrzępione szaro-purpurowe chmury, niby stado rozwścieczonych rumaków na stepie, oblanych krwawym blaskiem zachodzącego słońca.

Niebo błyskało to różowym, to znów jasno-fioletowym światłem, o słabych odcieniach złocistego seledynu; krwawo-purpurowym zionęło ogniem — zlewało strugi siarczystego deszczu, trzaskało raz po raz piorunami; bił grad spadających gwiazd i bladych księżyców, ze straszliwym, ogłuszającym szumem i grzmotem spadały ogniste, promienne słońca — wszechświat trząsł się cały, wył z bólu, i grozy i niemocy, trzaskał, grzmiał, ryczał, bił piorunami i jęczał głucho a okrutnie.

Pośród rozpasania żywiołów dwie jeno stały postacie — alabastrowa postać kobieca, naprzeciw Bogobójcy.

Przewodnik mój nieustraszenie zasłaniał mnie piersiami przed pociskiem gromów.

Bogobójca na każdy grzmot i błyskanie wszech świata — zwycięsko potrząsał głową:

— Oto moja moc, siła i błogosławieństwo pierwszej chwili poczęcia świata mojego!...

...Mnie chwała, mnie cześć i życie — bom niezwyciężony!...

Przewodnik mój zbliżył się doń, a on począł rosnąć i olbrzymieć, jako czarna chmura, otulał swą niebosiężną postać dymem, płomieniem i chwilami zmieniał kształty i barwy — wreszcie rozlał się cały w jeden ognisty obłok i z przeciągłym grzmotem popłynął na wschód.

Przewodnik, błogosławiąc alabastrową postać, mówił:

— Dzień strącenia krzyża — nie jest dniem jego zaguby, albowiem on zmartwychwstanie i po raz drugi zapanuje światu, jako jedyny wstępujący na widnokręgi ducha Bóg; z przyszłości wyłonione ludy i światy będą brzemienne falami tęsknoty ku niemu, on tchnie im we wnętrza ciepło serca i jasność swej duszy, aby nie były z lodu wyciosaną bryłą — grobowcem dla klejnotów uczuć.

Alabastrowa postać załkała rozgłośnie, jak gdyby wszechświat rozszlochał się cały i pośród grzmotów, jak Salamandra, buchnęła srebrnym płomieniem.

Przewodnik otulił mnie skrajem swego płaszcza i wiódł przez ognią zarzewie, pośród niegasnących błyskawic i szalonych drgań ziemskiej powłoki. Biły gromy, huczało przeraźliwie powietrze, płonące światy wirowały w niezmożonej mocy — jeno łopotało zastraszającym grzmotem, jak gdyby miljon lwów i miljon legiendowych smoków, miljon przedhistorycznych mamutów toczyło rozszalałą walkę o żer.

— Bezkrólewie miłości... — szeptał przewodnik i silniej przyciskał głowę moją do swej świetlistej piersi i wiódł mnie, jak wiedzie niemowlę matka.

* * *

Przedemną rozległa płaszczyzna, spowita kłębami brudnej mgły, jakiś ciężarny smutek falował w powietrzu, jakieś bolesne westchnienia konały w oddali, jak gdyby tam gdzieś, na zrębach, chmura dusz jęczała.

Na skrawku łąki gromadka mężów — stali równo i karnie; ramię przy ramieniu, stopa przy stopie, jak armia kamiennych rycerzy. Twarze ich smutne, zorane cierpieniem — wyrażały nieugiętość, moc, wiarę i spokój, lecz martwy spokój spiżowych posągów. Na szerokich czołach świeciła słoneczna gwiazda, w boku rozwarta rana biła ciepłą krwią. Krew buchała spieniona, jak potok gór-

ski, i zmywała cuchnącą ropę ze stóp skłębionych tłumów; a pośród nich wyrastały olbrzymy o wielkich wydłużonych pyskach, potężne i smukłe, o czworograniastych głowach, jak chłopskie chałupy; ruchy śmigłe, rzutkie, podstępne, jak śmiech Mefista; — wyciągając ramiona, chwytali otaczających ludzi i z głuchym trzaskiem łamali im gnaty, urywali łby, miażdżyli czerepy, mózg pryskał wokoło krwawo brunatnemi soplami; rwano cielska na strzępy, rzucano pod stopy, depcząc zapamiętale, zionęli lubieżnym oddechem — żłopali w dymiącej krwi, niby plugawe gady śmierci, dysząc mordem, radością z tego siewu męki i spustoszenia, ze strasznych, śmiertelnych uścisków.

Ziemia cała usiana była trofeami, jak makiem; od bluzgu krwi trzęsła, kolebała się ogromnie, a ludzie-potwory wyli zwycięsko — bez końca. Pogruchotane cielska, z powykręcanemi w tył głowami, usta przepełnione krwawą pianą, piersi i piszczele połamane, jak trzcina, twarze zmiażdżone, jak kawały zgniecionego mięsa — wszystko to przybierało kształty piekielnej bestyi Dantego, wyszczerzało kły, rozdziawiało paszczę, kąsając oprawców.

Ci śmieli się drwiąco, zgrzytliwie — strasznie. Śmiech dźwięczał w przestrzeni, jak wycie larw potępieńczych, gdy w noc bezgwiezdną pląsają na zapadłych mogiłach cmentarnych.

Przeciągłe wycie mordowanych biło nad po-

łem śmierci i nad tytanami, którzy w ramiona, jak w bajeczne widły, chwytali ofiary — całe tysiące ludzkich istnień pakując w paszcze śmierci.

I szły na zagładę miljardy ciał i indywidualności, powstało ogromne błoto z krwi i pomiażdżonych gnatów, płynęła wzwyż chmura umęczonych dusz, tworząc tam krwawe błękity.

Cisza... cisza... i cisza!...

Trzask gniecionych kości, jęk mordowanych, charczenie konających ciał i dusz, jak gdyby ludzkość umierała zespolonym jękiem.

A pośród tego oceanu krwi, nieustraszenie stały potwory nienasycone mordem i śmiercią; w którą stronę zwróciły błyszczące ślepia — stamtąd ohyda, większa, potężniejsza pustka i zniszczenie wyciągały swoje zakrzywione szpony; każdy rzut cielska, każdy rozmach dłoni mnożył śmierć, zagładę i konanie, a oni w zapamiętaniu i wściekłości dławili, dusili, miażdżyli, drgające konwulsyjnie ofiary.

Wreszcie, z pokłosia śmierci, z pogruchotanych szczątków ludzkich urosła ogromna chmura, szła naprzód opasana wokoło wstęgami błyskawic.

Olbrzymy ryknęły grzmotem — stanęły dumnie i hardo, wyprężone grzbiety, rozwarte ramiona — gotowe wszystko zgnieść, jak gniecie występek konającą cnotę.

Chmura ciał ludzkich biła, jak huragan, straszliwym zgrzytem i świstem zagłady, ufna w nie-

zwyciężoną potęgę śmierci. Grzmiała, jak rozszalałe morze, trzaskiem i grzmotem piorunów, z rozpaczną pianą zemsty i nienawiści, złączona w sobie przez wspólny męczeński akt śmierci.

Jak gdyby miljard gromów zespolonych huknął głosem, jakby glob ziemski rozsypał się na miljony okruszyn, uderzając o słońce — tak drżał świat cały.

To chmura ciał umęczonych ofiar uderzyła błyskawicy zębem o rozrosłą pierś olbrzymów.

Mnie krew zastygła w żyłach, stałem, jak z kamienia wykuty!...

Przewodnik mój gorzał światłem pośród ciemności — uścisnął moje ramię i kreślił jakieś tajemnicze znaki nademną.

— Nie drżyj, ptaszyno—to prawo nieubłaganej logiki życia... w czarnych przestworzach przyszłości serdeczną męką miljonów pisano: »Przez łzy i krew — do uśmiechów, przez pustkę śmierci — do życia i chwały!...«

A ja odparłem w pokorze:

— O Panie nad Pany, niechaj błogosławioną będzie walka, spustoszenie, i śmierć, i męczeństwo drżących w agonii duchów... Czemu mózgów wiele, a serc tak mało?...

— Będzie plonem przyszłości, gdy serce z serca wykwitnie, albowiem mózg gromem zajęknie i śmiercią odpłaci!...

— O, Panie, ile ziarn piasku na ziemi całej—

tyle jęczy i kona tem, że skonać nie może, tyle płacze martwemi oczyma; tyle zbolałych istot, przedwcześnie zwiędłych, jak kwiaty bez słońca — mknących cicho, jak cienie, idą przez życie ze swoją męką, jak Dante przez katusze wyśnionego piekła!...

— Imię ich miljon; błogosławionem ono będzie po wszystkie powstałe czasy!...

— Panie, nim spłynie królestwo gołębiego ducha — czemu, czemu ich nic nie tuli, nie grzeje, nie krzepi mocą, co ukochaniem się zowie?...

— Każdy w swej piersi wystawił ołtarz odrębnemu bogu i dźwiga przekleństwo natury; atoli ten jeno nieustraszony, kto stoi miłością; bóstwa — to mgła przed wiatru podmuchem!...

Zawiesił wzrok na czarnych przestrzeniach i szeptał:

— Wszystko przeminie, pozostanie jeno ukochanie i ból, jako prawda nieśmiertelnych dusz!...

Jam ujrzał łąkę w pierwotnej szacie.

W tłumie wrzał mord nieustanny, wzbierała krew, jak odwieczne morze, śmierć wznosiła berło, wyciągała kościste szpony i ciągle trupy, trupy i trupy!...

Garść gwiaździstych ruszyła naprzód; pierś przy piersi, serce przy sercu — szli nieustraszeni przeciw walczącym tłumom; potężni, jak stuletnie dęby; krew im buchała z pod serca, gwiazdy raziły oślepiającym ogniem, a oni stąpali ciężko, jak

człowiek, co w objęciu dźwiga wszechświat cały, stopy ich wyciskały srebrno-błękitny gościniec, na który pełzały z ciemności obrzydliwe płazy; blask raził i strącał ich, jak prąd pioruna, a oni spadając, wyli długo i szyderczo, jak chóry strąconych aniołów.

Krew gwiaździstych oblała skłębiony tłum.

Zakotłowało się strasznie, niby w piekielnych kotłach, olbrzymy trupami ofiar tamowali bluzgającą krew — daremnie; krew unosiła zapory, jak wiosennym roztopem wezbrana rzeka; powstał trzask, eksplodowało straszliwą fontanną poszarpanych ciał — wszczął się zażarty bój na łby i gnaty; chwytano z ziemi poodrywane kości i głowy, rzucano sobie pod stopy, jak dynamitowe bomby; czarna krew pryskała na twarze, znacząc mordercze piętno — krew biła, piętrzyły się stosy trupów — powstał straszliwy chaos, wrzask, pisk, szamotanie, wrzawa, tumult, jak w środowisku piekła, przemocy i ucisku, i szatańskiej nienawiści!...

Garść gwiaździstych szła, jak mur pancerny, ukuty z miljona ludzkich ciał, prażyła ogniem gwiazd, buchała krwią serca i szła milowemi krokami do zwycięstwa.

A ponad tą krwawą orgią śmierci, w purpurowych kłębach dymu, kołysały się dwie postacie; jedna w brunatnym płaszczu, opasana wężem, co syczał miedzianym płomieniem ku tłumom; na czole niewolnika miał wciśniętą gwiazdę o zamar-

łym blasku, oczy przewiązane czarną krepą, nos spłaszczony, szczęki wystające, a w zębach spróchniały piszczel. W prawej dłoni dzierżył obosieczny miecz krzyżacki, na którym widniały strugi skrzepłej krwi i z żółtych płomieni napis: »Zginiesz!...« Postać ponura, jak pomnik grobowy, ziejąca mrozem i pustką nicości! Biła od niego groza, bił lęk, biła wielka, nieobjęta, straszna krzywda miljonów!...

Druga postać, o twarzy cheruba, w blado-szafirowej sukni — dzierżyła chorągiew z złocisto-purpurowej materyi a na niej napis: »Walcz i miej nadzieję..« w drugiej zaś dłoni czarę z kryształowym płynem — szła od niego siła, moc i ukojenie.

A w tłumie wrzał mord, królowała śmierć i męka, zagłada i spustoszenie; jak grom po gromie bił jęk po jęku, bił płacz, ból i zgrzytanie konających dusz!...

Ludziom gwiaździstym z odchylonych ust płynęła muzyczna pieśń, bijąca zapałem i poświęceniem, przejmująca grozą i lękiem straszliwego pytania: »Czemu?...«

Na odgłos surmy bojowej, w mej piersi suchotnika serce uderzyło, jak młotem; czułem nieprzeparty pociąg rzucić się w ten wściekły tłum i być jednym ogniwem nierozłączalnego łańcucha, krwawić się bólem w zapasach, pić z ogólnej czary, zwyciężać, padać i konać, i jeszcze kąsać

bezzębnemi usty wszystko, co złe i co nosi piętno przekleństwa przyszłości.

Zwróciłem się do mego przewodnika:

— Błogosław mistrzu i panie, albowiem pragnę być tam, gdzie dusza utknęła moja!...

A On pytał mnie tak cicho, jakby westchnienie kwiatu:

— Cóż widzisz tam, pomiędzy tłumem?...

— Widzę, Panie, miljonową rzeszę, która wzajem się kąsa i kamienuje, widzę tytanów i postać z mieczem w dłoni, a martwym gromem u czoła.

— To mózg, — odwieczny, niepokonany błąd, krzywda, kłamstwo i fałsz.

— Widzę — kończyłem w zachwycie — ludzi gwiaździstych z raną w boku, a ponad nimi cudnego, jak cudny sen, człowieka, ze sztandarem i czarą!...

— To miłość, przebaczenie, szczyt... Bóg... Bogów Bóg!...

Ujął mnie pod ramię i wiódł ku onemu źródłu, które stworzył i błogosławił — szedłem posłuszny, albowiem urok jego panował nademną.

U stóp zdroju zaczerpnął dłonią świetlanego płynu i kropiąc mi lica, mówił:

— Błogosławiony kto z miłości powstał, a w krew i ból zamienia swą duszę — niezwyciężonym zostanie, jako wszechświat cały, i błyszczeć będzie pomiędzy gwiazdami!...

I jak gdyby w niebowzięty, unosił się wzwyż —

przybierał kształty olbrzymiego serca i promieniał różowemi blaski.

W atmosferze poczułem duszący zapach mirry.

Po środku serca, jak chorągiew na szańcach zdobytej twierdzy, był zatknięty krzyż; na ramionach zwieszona cierniowa korona i wyrastająca gałązka oliwna z amarantowemi wstęgami, na których czytałem napis:

»Jam jest przeszłość i przyszłość,
Bom jest prawda,
Jam jest moc i siła,
Bom jest miłość!...«

* * *

Zbudziłem się; poranne słońce padało mi na twarz i złociło szpitalną salę. Na sąsiednich łóżkach leżeli tacy nędzarze jak ja, podniesieni na ulicach, gdzie padali wycieńczeni głodem i zimnem.

— Szpital... szpital... ach! tak, dla nas tylko szpital i szubienice!... — wyszeptałem i począłem rozmyślać nad obrazami snu.

---

przybierał kształty olbrzymiego serca i promieniał tęczowym blaskiem.

W atmosferze poczułem dziwny zapach mirry. W środku serca, jak obrazów na ścianach zdobytej twierdzy, był zatknięty krzyż na szczycie, zaś zwieszona cierniowa korona i wyrastająca gałązka oliwna z amarantowemi wstęgami, na których czytałem napis:

Wiedzą jest przeszłość i przyszłość,
Bogiem jest prawda,
Samą jest moc i siła,
Bóg jest miłością!...

Zbudziłem się; poranne słońce padało mi na twarz i złociło szpitalną salę. Na sąsiednich łóżkach leżeli tacy nędzarze jak ja, podniesieni na ulicach, gdzie padali wycieńczeni głodem i zimnem.

— Szpital... szpital... ach! tak, dla nas tylko szpital i szubienica!... — wyszeptałem i począłem rozmyślać nad obrazami snu.

KRUK

Ogród zoologiczny. Stary poważny profesor udziela naukowych objaśnień spragnionej garści czwartoklasistów. Z miną greckiego boga przystępuje od okazu do okazu i monotonnym barytonem opowiada dziwy; mówi o pochodniach wiedzy, mądrości przyrody i cudowności zjawisk wszechświata. We wszystkiem widzi arcy-mądrą myśl, w ziarnku piasku upatruje życie i przez to samo każe wielbić wszechdobrą, wspaniałą potęgę.

Po prawej stronie ogrodu, nieco w ustroniu, stoi niewielka mosiężna klatka — w niej przepyszny okaz kruka. Około klatki rośnie pospolita brzoza płacząca, wzniosła się nad nią niby spleciony z zieloności baldachim.

Przez luźne pręty wsunęły się pojedyncze listki i bawią pieściwie drobne ucho kruka opowiadaniem o czem gwarzy południowy wietrzyk w młodych gałązkach. Ptak z namaszczeniem słucha i jakby w odpowiedzi, przytakuje majestatycznie poruszeniem czarno jedwabistych powiek.

Czasami wskoczy na najwyższą grzędę, wyciągnie lśniącą szyję, roztworzy szeroko szmelcowany dziób i pilnie słucha, co złoty promień słońca sennej ziemi mówi, co szemrzą włókna trawy lub jak grają kwiaty tęczowemi kolory.

Najczęściej ptak, z misternie ułożonemi pióry, poważnym krokiem chodzi po swej celi; to pójdzie w róg, opuści mądrą główkę na piersi i duma.

Czy wy myślicie, że ptaki nie marzą, nie śnią i nie płaczą?... Zechciejcie mnie posłuchać.

Piękna, błyszcząca klatka, w obramowaniu majowej zieleni, sprawia wrażenie złotego pałacu na cyplu zaklętej skały. W nim zmieniony w kruka średniowieczny rycerz, który się błąkał przez długie, niezmiernie długie godziny, gnieciony stalową zbroją, smagany pragnieniem, krzyżowany niemocą.

W sąsiedztwie kruka, zamknięty również w ciasnej klatce, mieszka olbrzymi, dumny i hardy król gradowych chmur; groza, postrach i śmierć innych ptaków, a zarazem godło ciemiężycieli. Chytry i bohaterski, podstępny i bitny, krwiożerczy i wspaniałomyślny, czarnopłomienny orzeł mnich; przechyla głowę i krwią nabiegłą źrenicą patrzy ze straszną tęsknotą w obłoki, w słońce, w bezdna rozbłękitnionej przestrzeni.

Orła i kruka dzielą dwie ściany, a łączy i zespala poczucie niewolników; godzinami całemi

stają, każdy przy swej ścianie, i mówią do siebie męką tłukących się w piersi serc, wzrokiem zamglonym w żrącym upragnieniem lotu i tym przecichem konaniem, które ziemskie słowo nie umie określić, westchnieniem męczeństwa, które jeno męczennik pojąć ledwie zdoła. Orzeł wyniosły, jako na króla przystało, milczy ciągle. Złożył na wieki szerokie loty, bo poznał, że człowiek — to kat, że to pastwiący się nad nim gnębiciel, co dręczyć go będzie do śmierci. Więc morzy się głodem, odmawia pokarmu z dłoni oprawcy i patrząc w słońce, umiera powoli.

Kruk niema odwagi konać tak dumnie: żyje i miota się w klatce. Śliczny ptak, długi, błyszczący, równy, gładki, z odbiciem niebieskawego połysku jest jakby dłonią artysty z czarnego węgla wykuty. Dziób długi, gruby, kończasty, twardy, jak angielska stal, główka podługowata, czaszka nieco spłaszczona, trochę kańciasta z dolną szczęką owalną. Para okrągłych, dużych oczów, przepaścistych jak zagadka bytu, zdobi tę pyszną głowę. W tych oczach jest coś tak niezgłębionego, jak w pojęciu świata, coś co pociąga, jak szept grającej fali, jest boska barwa czarnych brylantów. Wąska pierś zapadła od uderzeń w klatkę, w mosiężne druty, jakby kułakiem wtłoczona w tułów; skrzydła nadmiernie zaostrzone są na pół połamane, dość długi, zaokrąglony ogon podarty i zszargany

o wysypane grubym piaskiem dno klatki. Cienkie, długie, pokaleczone nogi o barwie żywcem oparzonego raka, pokryte szaremi strupami niezgojonych ran, z połamanemi pazurkami, szpecą szkaradnie szlachetną postać ptaka — więźnia nauki.

Natura dzika i drapieżna, istota żywa, stworzona by płynąć w powietrzu, nad chmurami zataczać spiralne linje, pod słońcem kołysać się w kręg i na skrzydłach odbijać bajeczne łamanie się światła. Ponad całym globem fruwać niezmordowanie, z wytrwałością tylko ptaka. Rzucać się na obrzydliwość, być grabarzem wszelakiej padliny, która zanieczyszcza dusznemi wyziewami rozkoszne powiewy, rajskie powietrze czystej, dziewiczej przyrody, będącej niebiańskim tchnieniem świeżych kwiatów, zroszonych ziół i woniejących aromatem łąk.

Kruk wespół z sępem pierwszy uprząta ohydne, rozkładające się trupy — przeklęte świadectwo armatniego mięsa, znaki wołające o pomstę do sumień i mózgów niespodlonych w życiowym bagnisku, najwymowniejsze protesty na zbydlęcenie człowieka pomimo wiekowych wysiłków, by zdusić w sobie zwierzę, którego jest kością z kości i krwią z krwi. Ptak torturowany, jak pierwsi myśliciele, za to, że jest ptakiem rzadkiego okazu, za harmonję swych linji, za śliczny blask oczów. Od trzydziestu lat więziony, rozbija sobie członki o mosiężne druty; całe okropnie długie trzydzie-

ści lat niewoli, straszniejszej niż miljon razem wziętych śmierci, choćby w najcięższej bezlitości. Trzydzieści lat dręczenia szczupłością miejsca, przypiekanych zawsze żywych zapałów i pragnień, bicia skrzydeł o złociste pręty, żądania lotu, powietrza, życia, słońca i obszarów.

Bij kruku!... biedny kruku, bij w mury, odgradzające cię od reszty twego świata, byś przebił ściany i dostał się na wolność. Albowiem przeklęci ci, co płacząc, jęczą i pokornie uginają czoło w pętach, przeklęci ci, co nie pragną!...

I oto teraz ptak skoczył na grzędę. Roziskrzonym wzrokiem przygląda się swej celi. Podrywa się do sufitu, pokaleczonemi pazurami chwyta pręty, rozkłada skrzydła, przypina się do sklepienia i wysuwa głowę przez kraty. Roztworzył dziób tak szeroko, jakby pragnął go rozedrzeć na dwie połowy — czerpie wolne powietrze. Robiąc piersią, bokami, dyszy i dławi się tęsknotą. Z boleśnie rozwartego dzióba wyrzuca ostry, niemiły, wprost przeraźliwy krzyk kruczego serca.

— O, jakiś ty podły, jakiś występny, człowieku — więzić potrafisz drugiego, bo kochasz niewolę!...

I bełkocze zduszonym pomrukiem, jak człowiek, gdy mu arkan strachu zacisnie gardziel, gdy go wiodą nocą na szubienicę, na zatracenie ciała i pohańbienie duszy. Zbrakło mu sił, zdrętwiały palce u nóg,

ptak spada na ziemię, na dno swej tortury, aż głuchy jęk odzywa się w piersi, jakby urwało się rozżalone serce i krew rozsadziła arterje.

Leży chwilę oszołomiony...

Odzyskuje przytomność, zrywa się do góry, cofa wspaniałą głowę i deką piersiową z zapamiętaniem bije o sklepienie, jak taranem. Więzienie drży, a ptak spada. Powstaje na nogi, biega szalony z bólu, podryga, skacze po szczupłej klauzurze, przypada wściekle do ścian pionowych i wali w nie skrzydłami, bokiem, szarpie palcami i rzuca się, trzepie, rwie, rozwija, kaleczy i rani się dotkliwie, charczy, syczy rozpaczą, chrapie z niemocy i, »tem umiera, że umrzeć nie może« — jakby powiedział poeta.

Maleńkie bryzgi białej piany pryskają z niego, jak ze spoconego konia; czarne oczy sieją zastraszające iskry zwątpienia i niewiary, czy zdoła kiedykolwiek wydostać się z okowów. Serce kołacze w wąskiej piersi, a nerw ciała, każdy zwój, każde włókno mózgu tęskni, walczy, pragnie i przeklina. Podsycony oporem, zagrzany nierówną walką, wyczerpany niezwalczeniem przeszkód, śmiga, jak zgaszona, czarna błyskawica w złotej chmurze, śmiga po klatce i rozbija nogi, skrzydła, grzbiet, piersi, głowę i tępi dziób o hart mosiężnych drutów.

Słońce wyjrzało z za chmur przecudnem zaróżowionem spojrzeniem i oblało klatkę srebrnym i wonnym światłem. Kruk uczuł tak szalone po-

żądanie tego słońca na wolności, że rzucił się z takim impetem do góry... aż uderzył łbem o ostry kant wiązadła, i spadł na dno klatki.

Rozłożył skrzydła, jak do lotu, leżał bezduszny, wyczerpany, a po czarnej głowie sączyła się cieniutka struga krwi i oczy zaszły jakby wilgotną mgłą łez.

Ptak płakał z bólu i niemocy, jak człowiek.

Podczas gdy kruk cierpiał ogrom katuszy, do klatki zbliżył się profesor z uczniami; gładził długą brodę i melodyjnym głosem objaśniał młodziutkim słuchaczom.

— Tak, młodzi przyjaciele, człowiek się zdołał nadzwyczajnie ucywilizować, a to wypływa z tego, że nauka robi kolosalne postępy, pozwalając poznać, okiełznać przyrodę i wszystkie jej twory, żyjące na całym globie. Człowiek, poznając wszechświat i przedziwne warunki życia, i wszystko, co go otacza, rozwija w sobie wielkie przymioty; staje się doskonałym, lepszym, wrażliwszym na cierpienie, ma umysł bez skazy i serce szlachetne, reagujące na każdą niedolę, na każdy ból istnienia.

A dziki kruk, jakby zrozumiał słowa profesora, bo z nadzwyczajnym wysiłkiem porwał się ze swego miejsca, skoczył na grzędę, opuścił zmęczone skrzydła, wyciągnął szyję, wydął wklęsłe piersi i potrząsając zakrwawionym łbem, patrzał skrzepłym z męczarni wzrokiem na uczonego

i jako żywe świadectwo, zadawał straszny kłam jego twierdzeniom.

— Kłamiesz!... — wołały oczy pełne ognia nienawiści gryzącej, jak dym.

— Kłamiesz!... — świadczyły okropne lata niewoli.

— Kłamiesz!... — krzyczała tęsknota i rozpacz.

— Kłamiesz!... — syczy bezsiła i obłąkanie i bezdno cierpienia.

— Kłamiesz!... kłamiesz!... — Świadczy cała moja postać i to więzienie, któreś zbudował!...

Profesor ciągnął dalej:

— Oto, młodzi przyjaciele, ptak także z rodziny śpiewających — jak wam wiadomo — można go nauczyć mówić, jak wiele innych ptaków; istota inteligientna, a nawet sprytna — powiedziałbym, za sprytna, jak na tak małą wagę swego mózgu. Gatunek *Corvus corex* jest bardzo złośliwy, lubi płatać figle, odważny; często idzie w szermierkę z orłem i wyprowadza go w pole. Żyje w całej Europie, chociaż go spotkać można w Azyi, Ameryce północnej i w okolicach Meksyku; gniazdo buduje kunsztownie na niedostępnych drzewach, lęg rozpoczyna już w lutym — dziś już niezmiernie rzadki okaz.

Człowiek i ptak stali naprzeciw siebie — jeden objaśniał, a drugi cierpiał, jeden nauczał,

drugi krwią płacił za naukę, jeden się szczycił zdobyczami kultury i wiedzy, a drugi przeklinał tę wiedzę długim konaniem, pozbawieniem życia w przestworzach, jękiem słabego w stalowych szponach siły, podłej, przeklętej siły pięści!...

II.

CZYJA WINA?...

Zbierał kości, sznurki, korki od butelek, stare gałgany, papier, żelaztwo, szkło — słowem wszystko to, co dobre, oszczędne gosposie wrzucają do śmietnika. Zbierał, segregował i sprzedawał po dwa grosze za funt. Był sobie dobrym, uczciwym, pożytecznym członkiem kapitalistycznego społeczeństwa, którego przedstawiciele w nagrodę niejednokrotnie częstowali go kułakiem w bok, piersi, głowę, ramię — ot, gdzie popadło. Gałganiarz płakał gorzkiemi łzami, zgrzytał zębami, gryzł sobie brudne, okaleczone palce, wbijał ostre paznokcie w ciało i szeptał w cichej niemocy, jak szepcze człowiek przywalony głazem, gdy oczy wznosi ku srebrnemu niebu.

— Boże!... Boże!... Boże mój kochany!...

I ból ranił serce, a kurcz straszny, okropny kurcz konających ściskał mu gardło.

Gdy szedł chodnikiem, z workiem napełnionym odpadkami — tedy pierwszy lepszy przechodzień, jeśli był »inteligent«, brał go za ucho i sprowadzał na środek ulicy i mówił bardzo grzecznie:

— Dlaczego, ośle jeden, z tak niepachnącemi rzeczami chodzisz chodnikiem?... — i ruszał dalej.

A gdy to był mniej inteligentny, to... bez ceremonii walił w pysk, lub spychał w rynsztok. Wówczas gałganiarz stawał osłupiały, wodził zamglonemi oczyma po przechodniach i zbielałemi szeptał ustami:

— Za co oni mnie biją?... Co ja jestem im winien?... Czego oni chcą odemnie?... Co ja komu złego zrobiłem?... Dlaczego mnie biją?... Co ja zrobiłem, że mnie biją?...

Biedził się, rozmyślał, deliberował zawzięcie i nie mógł znaleść powodu — czuł się pokrzywdzonym niewinnie, jakby prześladowanym przez te masy ludzi. Uczuwał nienawiść, taką dziką, zażartą, nieubłaganą, wściekłą nienawiść do tych snujących się tłumów, że chciał oszaleć, mieć z tysiąc pysków i jak smok legiendowy kąsać wszystkich i wszystko — bez wyjątku.

W takich chwilach walił swoim haczykiem o kamienie, aż sypały się iskry złote i przeklinał całe swoje widoczne i niewidoczne otoczenie.

— Bodaj was djabli porwali!... Bodaj was cholera wydusiła co do nogi!...

Pomstował przedwcześnie w złem rozwinięty ulicznik. Wzrok mu błyskał ponurym ogniem, twarz płonęła ceglastemi wypiekami, a młoda dusza pragnęła zagłady bodajby świata całego.

Życie żarło chłopaka, jak głodny wilk zgniłą

padlinę, jak wszy kościelnego dziada; targało świeżą, dziecięcą wiarę w ludzi i zwycięstwo dobra i prawdy, jak targa piorun młode drzewa. W takich momentach gałganiarz miał wrażenie, że jakiś potężny mocarz chwycił go za czuprynę i ze straszliwym rozmachem rzucił w cuchnące błoto, że wokół niego pełzają oślizgłe gady i plują zieloną śliną w same usta. Czuł taką złość, taki wstręt, takie obrzydzenie do tego, co ludzie zowią życiem, że z nieprześnionem, błogiem uczuciem pokoju chciał zapaść się pod ziemię, by tylko nie patrzeć, nie słyszeć, nie czuć, nie tęsknić za czemś nieznanem a ogromnie słodkiem i miłem, nie być bitym niesłusznie — by nie żyć!...

Miał matkę i kochał ją bardzo.

Gdy uzbierał pół puda gałganów — był w różowym nastroju. Gwizdał ulubioną »Macziczkę«, chodził na rękach i, robiwszy wiatrak, biegł coprędzej sprzedać dzienną zdobycz. Za pieniądze kupował dwa funty chleba, funt »okrawek« u masarza i tak obładowany szedł do matki, wdowy po fabrycznym kowalu, sparaliżowanej i siedzącej w małym wózeczku, sprzedającej drobne pierniki na placu Św. Aleksandra. Z tego powodu towarzysze fachu nazywali gałganiarza »piernikarzem«. Nie gniewał się o to wcale; dowcipkując wraz z nimi, powtarzał dość często:

— Piernikarzem nie będę, ale skład gałganiarski muszę mieć, żebym się miał na głowie posta-

wić, a ty, hałastro nadwiślańska, będziesz przynosiła do mnie kości, będę orał, jak osioł pana naczelnika, i dorobię się fabryki papieru, no i kwita, kolego kochany, obywatelu miły.

— Oko świętego Rafała — odpowiadali koledzy — jak ty, piernikarz, będziesz miał fabrykę papieru, to mnie tu, uważasz, na dłoni wyrośnie makagiga.

— Zobaczycie!... zobaczycie, śmieciarze warszawscy!... — mruczał i zadowolony ze swoich planów, wywracał koziołka w powietrzu, skakał, jak tylko mógł najwyżej i zapamiętale gwizdał: »Kochaną Macziczkę«.

Lubił i kochał swój zawód, z upodobaniem grzebał po śmietnikach i gnoju, marzył po nocach całych o składzie i papierni.

Znały go prawie wszystkie kucharki Warszawy, gdzie się pojawił, to szczypały go w ładne policzki, targały zwichrzone w nieładzie ciemnokasztanowate, z odbłyskiem bronzu włosy i obdarzały resztkami potraw. On zjadał same okruchy, lepsze zaś kąski zostawiał dla matki, którą kochał tak, jak tylko proletarjusz kochać umie, że gdy kocha lub nienawidzi, to do ostatniego tchu. Miłość pierwotna i prawdziwa, co bez analizy krew serdeczną wytacza dla ukochanego przedmiotu.

I były dni ciężkie — gdy wracał do matki, by

odwieźć ją do domu i skarżył się jej żałosnym głosem:

— Mamo, żeby mama wiedziała, jakiś człowiek dziś tak mnie mocno uderzył w twarz, że o mało nie upadłem na ziemię.

Starej kalece łzy napływały do oczów, przytulała głowę chłopca do wyschniętych piersi, gładziła pomarszczoną ręką po opuchniętem miejscu, wzdychała ciężko i, modląc się w duszy, pocieszała dziecko.

— Nie płacz, dziecko, nie płacz, kto żyje — musi cierpieć, a zwłaszcza ludzie biedni, tacy jak my. Biją cię, boś mały, boś słaby, boś biedny i sierota i nikt nie upomina się o ciebie!...

A chłopak chował twarz zamorusaną w sukienki matki i płakał cicho.

— Mamo, kiedy ja będę duży, kiedy silny będę tak, że nie pozwolę się krzywdzić?...

— Moje dziecko, moje dziecko, gdy będziesz duży, to ręką krzywdzić cię nie będą, ale inaczej... inaczej!...

I błogosławiła go swoim bólem, pieściła ciepłemi łzami, otulała westchnieniem, był dla niej gwiazdą na czarnym firmamencie, był złotym promieniem w przeklętym pochodzie ku śmierci, był wonnym kwiatem na nieurodzajnej glebie żywota, był pokarmem, co krzepi umęczoną duszę, był ołtarzem szczęścia, bożyszczem ulgi i pociechy.

Żyli oboje, jak dwa gołębie w burzliwej chmurze.

* * *

Był dzień majowy — śliczny, kochany, bardzo kochany dzień, aż przyrastało duszy. Powietrze ciche, spokojne i słodkie; chmurki przejrzyste płynęły wolno po błękitnem niebie, jak łodzie o srebrnych żaglach, lub jak łabędzie po kryształowej wodzie. Słońce patrzało uśmiechnięte i zachęcało do życia, do pracy, do śmiechu i do ukochania.

Była godzina siódma rano; gałganiarz, jak zwykle, co ranek, zaprzągł się do wózka i odwiózł matkę na plac Aleksandra; pożegnał się i na odchodnem dodał:

— Dziś mamie przyniosę kotlet ze schabu, bo idę na Leopoldyny; co dwa tygodnie tam chodzę kupować kości, w tym domu jest kucharka, co mnie bardzo lubi, nie chce sześciu groszy za kości i jeszcze zawsze daje mi co zjeść...

— Niech jej Bóg da zdrowie. Bądź zdrów dziecko, a pilnuj się tam, żeby cię tramwaj nie przejechał, nieszczęście chodzi po ludziach.

— Niema frajerów, mamo!.. — począł gwizdać i poszedł na śmietniki.

W trzy godziny potem, na Hożej, wstąpił na podwórze jakiejś drugorzędnej, odrapanej kamie-

nicy, pogrzebał w śmieciach... ale z niewielkim skutkiem.

— Tu musi bryndza mieszkać, albo wielkie państwo, bo nic nie wyrzucają — pomyślał.

Obejrzał się wokoło.

— Kości!... kości!... szanowne panie kuchareczki! kości kupuję!... kooooośśśśściiii!!!...

— Czego tak japę rozdzierasz, jakby cię ze skóry obdzierano?... — zawołał stróż wychodząc z sieni.

— Przecież pan widzi, dlaczego krzyczę!... Chcę zarobić na chleb, kochany naczelniku!...

— Nie rezonuj, jeno bierz nogi za pas i umykaj... tu nie wolno krzyczeć!...

— Nie-wol-no?... a to czemu jasny generale?..,

— Kiej mówię, że nie wolno, to nie wolno... Widzisz, psia jucha, tłumaczył mu się będę!...

— Jak nie, to nie!... Ale naprzód, tutaj, o tutaj trzeba przylepić elegancki afisz: »Po ukazu gospodzina storoża — nie lzia krikat'...« Tak kochany strópie, żeby tacy porządni ludzie, jak nieprzymierzając ja — nie potrzebowali kłócić się z byle chamem... zrozumiałeś, naczelnik?... Ale ty jesteś wielka świnia Mojżeszowa!... No widzisz, kolega, po co takie paskudne słowo usłyszeć?...

— Wynoś się, bo ci zęby, psiakrew, byku, wybiję!... — wrzasnął w pasji stróż.

— Czego?... Zęby?... Świśnij — budziesz praporszczykom, chamie jeden!... Idzisz, jaki denty-

sta — cedził w połowie rozgniewany — dentysta jeden... zęby będzie komu wybijał!...

Zatrzymał się w bramie, lewą dłoń zwinął w trąbkę i głosem podobnym do beczenia owiec wyśpiewał.

— Chamie stopa, pół psa, pół chłopa — żeby nie ten święty chrzest, to cham byłby gorszy, jak pies!...

Stróż chociaż miał serce w piersiach hartowne, jak stal angielska, jednakże jęknął boleśnie na taką zniewagę, krew uderzyła do głowy, w oczach pociemniało, a w duszy zrodził się wściekły gniew, aże wnętrzności zakolebały się w nim; rzucił w kąt miotłę i sążnistym skokiem sunął do ulicznika.

Ale gałganiarz, gracz pierwszej wody, wyćwiczony w podobnych turniejach, zaśmiał się zjadliwie i szybko począł uciekać, jakby, niesiony błyskawicą, szedł z wichrem w zawody.

Szalona gonitwa trwała kilka minut.

Stróż zmęczył się pierwszy: poczuł, że jeśli nie stanie, to krew zaleje mu oczy i padnie trupem; przystanął i wygrażając ogromną pięścią, ochrypłym, załamanym przez gwałtowne wciąganie powietrza, głosem zawołał:

— Żebym miał zdechnąć, ale ty wpadniesz w moje ręce... zobaczysz, będziesz miał ziobra połamane!...

Gałganiarz zginał się w pas.

— A, tu cię boli, bratku... możebyś ścigał się

ze mną na Dynasach, co?... No, dalej go... jazda, o pół puda śmieci z twego podwórka, bo śmiecie są więcej warte, niźli twój wielki, chamski łeb... Tu cię boli kochaneczku, tu cię boli...

Stróżowi nerwy grały piekielną kakofonją. Atoli czapkę z mosiężną blachą nasunął na oczy i, splunąwszy z pogardą, zawrócił niby do domu.

— Chi!... chi!... chi!... choroba, ale toć dałem mu bobu, bo dałem, będzie chamuś pamiętał do żydowskich trzech króli — śmiał się w kułak.

W duszy zrodziła się pusta, szalona radość ulicznika z poczucia, że komuś spłatał figla i doprowadził go do rozdrażnienia; było to jego namiętnością, zarazem jedyną rozrywką w monotonnem życiu. Worek z kośćmi rzucił pod ścianę, poczochrał się po czuprynie, wywrócił koziołka i, gwiżdżąc, począł chodzić na rękach.

Ale mściwa, zawzięta natura stróża nie mogła puścić bezkarnie takiej zniewagi, takiego szyderstwa; zawrócił z powrotem i drugą stroną ulicy skradał się cichaczem do tego miejsca, gdzie gałganiarz chodził na rękach. Gdy znalazł się tuż blisko... jak tygrys, skoczył na chłopaka, chwycił za kołnierz, a drugą ręką, uzbrojoną w gruby, suchy pas, począł go bić bez litości.

Gdzie uderzył twardym rzemieniem, zaraz występowała czerwono-sina pręga odbitego ciała, w mgnieniu oka, pęczniała, puchła, wzbierała czarną krwią i paląc, jak pali roztopiony ołów, czyniła

wrażenie zgniłej wątroby, nie ludzkiego ciała. A stróż rozgrzewał się biciem i krzykiem chłopaka — jak gdyby się zapamiętał. Oczy świeciły dziko i blaskiem zniszczenia, na karku wystąpiły żyły, jak u stepowego wołu, aż coraz bardziej, coraz więcej zachodzące krwią oczy wychodziły z orbit na wierzch, z gniewu i żądzy, ale zaciskał pięść, w której trzymał ulicznika, chrupał zębami i bił... bił... bił z lubością, zapamiętale, strasznie, bił... bił... bił.

Gałganiarz szamotał się, wyrywał, kręcił, targał się na wszystkie strony, jak targa się zwierzę schwytane żelazem za nogę. Chował głowę, zakrywał twarz, szyję, piersi, kurczył, prężył, wyciągał się, bił powietrze rękoma i trzepał się, jak ptak nadziany na ostrze stali; skakał do góry, podrzucał, próbował wydrzeć się ze stalowego uścisku stróża i krzyczał!... wprost wył długo, przeciągle, błagającym litości wyciem, jak małe jagnię lub zarzynane prosie — daremnie. Potężna, czarna garść trzymała go, z nadludzką mocą unosiła w górę, trzęsła straszliwie i biła nim o betonowy chodnik, jak biją żelazne cepy o kamienne zboże. A batog warczał głucho w powietrzu i z rozmachem spadał na całe wynędzniałe ciało ulicznika, na suchy grzbiet i czarne pokaleczone stopy, aż krew, zmieszana ze łzami, zalewała mu oczy.

A rozjuszony stróż utracił samowiedzę; ogar-

nął go szał, porwał wicher złości — więc bił, i bił, i bił; parskał spienioną śliną, jak parska wściekły wilk ze zmęczenia, jakaś straszliwa niepamięć omotała mu wszystkie zmysły czerwonym płomieniem; mózg huczał i wola syciła się pragnieniem znęcania się, nieubłaganą nienawiścią do wszystkiego, co go otacza — bóg zemsty wstąpił mu w duszę. Zagrała w nim żywiołowa chęć odwetu, gdyż w chłopskiej duszy brzmiały zastraszającym zgrzytem, zachrapały wszystkie bóle, wszystkie krzywdy, wszystkie łzy, nędze, i kopania losu wszystkie, całą gehennę znosił przez cały ciąg żywota — wszystko to powstało w nim i żądało krwawej zapłaty. Zdawało mu się, że ta hydra, że ten purpurowy ciąg, pełen nieszczęść i niedoli, pełen zwichrzonych pragnień i serdecznych ran, pełen głodu, jęku, westchnień i konania, że to przekleństwo jego istnienia przybrało postać gałganiarza i szydzi i natrząsa się z jego najczulszych, najwrażliwszych bólów, z najdroższych ukochań i że łamie sny pogodne i słodkie marzenia nocne, kołysane w głębinie serca, w tajnikach ciemnych ducha. Więc oto ma tę zmorę, ma w swej garści to wstrętne widziadło, tego oprawcę swego podłego losu i przeznaczenia — tak ma... ma, trzyma mocno, z całych sił rogatej natury... niech krzyczy, niech wrzeszczy, niech pełza i niech się wije, on jej nie puści, on nie, nie, nie...

— Zabij!... zabij!... zabij!... — szepcze jakiś

tajny głos w duszy stróża — zabij, jeśli nie chcesz cierpieć, jeśli nie chcesz by twoje dzieci były tak nieszczęśliwe, jak ty byłeś i jesteś... Zabij!... zabij!...

Bezwiednie skupił całą siłę w ramieniu i smagał gałganiarza, smagał i smagał, aż postrzępione od razów łachmany, nasiąkłe krwią ciepłą, wraz z kawałkami ciała, padały na zakurzony bruk ulicy.

A gałganiarz wył z bólu, harczał nieludzkim jękiem w strasznych boleściach, rzucał się bezsilnie, jak wąż oblany wrzącym warem. Ubranie prawie zeń opadło, podarte do nici od rzemienia; cały był pokryty ranami i spływał krwią i pluł krwawą pianą, z męki zbielałemi oczyma wpatrywał się w zapamiętałą postać stróża, a w duszy przelatywała jedyna myśl.

— Zabije mnie, zabije mnie.., zabije... zabije...

Wtem piorunem błysnęła myśl w głowie. Miał w kieszeni scyzoryk do prócia gałganów... wyjął go... otworzył... zatrzymał oddech w piersi, dobył resztek sił... wytężył się... podskoczył do góry, wykręcił się, jak piskorz w kleszczach... i zwrócił się piersią w pierś i twarzą w twarz swego kata... ruch szaleńczy... tępy błysk noża... i strumień krwi wytrysnął z boku stróża.

Stróż jeszcze raz podniósł rękę z rzemieniem... nie miał siły uderzyć... chwila... wypuścił z rąk ulicznika... potoczył się, jak pijany, zatoczył rękoma koło, otworzył usta... chciał coś mówić...

rzygnął krwią i runął pod stopy gałganiarza, który z wygiętym grzbietem, z ręką wzniesioną jeszcze od śmiertelnego ciosu, spływający krwią, stał oniemiały, przerażony i powtarzał cicho:

— Oj rety... rety... rety...

A stróż harczał konaniem, wyrzucał usty spienioną krew czarną i kopał nogami ziemię, jak uderzone pałką zwierzę; szklany wzrok utkwił w ulicznika... szła ku niemu majestatycznie zimna, skostniała nicość śmierci.

* * *

— No, cztosz?... — bąknął filozoficznie policmen — nada pratakoł i w uczastok jewo.

I położył ciężką dłoń na ramieniu mordercy.

czepnął krwią i runął pod stopy gałganiarza, który z wygiętym grabiętem, z ręką wzniesioną jeszcze od śmiertelnego ciosu, spływającą krwią, stał oniemiały, przerażony i powtarzał cicho:

— O, rety, rety-a-rety.

A stróż charczał konaniem, wyrzucał usty spienioną krew czarną i kopał pogami ziemię, jak uderzone pałką zwierzę; szklany wzrok utkwił w uliczniku, a w źrenicach majestatycznie złowna, skamieniała moc śmierci.

— Nie... czasz?... — bełkotał, filozoficznie baśniem — zadu postawił, i w szczęściu jemu...

I położył ciężką dłoń na ramieniu mordercy.

KUBA TOPOREK

Zima tego roku była ogromnie mroźna i wczesna; w połowie listopada nastały wielkie wichry i mrozy, że gonty strzelały na dachach. Śniegi spadły duże, pokrywając białością całą okolicę, która zdawała się jak jedno wielkie jasno-srebrne morze, oblane melancholijnym blaskiem księżyca. Wszędzie, gdzie okiem rzucić, białe jakby kamienne równiny lub mleczne lody; tylko na polach odrzynały się ostro pnie polnych grusz i nagim, czarnym widokiem gniotły duszę i targały na strzępy biedne, oszalałe nerwy ludzkie. Z tych pól szła strasznym krokiem jakaś groza; kładąc się na piersi i mózg widmem szaleństwa i niemej rozpaczy. Ziemia spała twardo pod skorupą śniegu, po którym wlokły się cicho krwawe jęki ludzkie, jak ptaki bez skrzydeł. Dnie były krótkie, ponure i prawie czarne, jak życie nędzarza bez chleba i bez soli; pełzały, jak wstrętne żmije, niosące na parszywym grzbiecie przeklęte łzy wydziedziczonej nędzy.

Z napół zgniłej, zapadłej, słomą krytej chaty, stojącej na samym krańcu wsi, wyszedł olbrzymi chłop. Stanął i patrzył na pola, sine niebo i oddalony las — popatrzył zamglonem okiem, podrapał się brudną ręką w kudłatą głowę, podciągnął portki i wrócił do chałupy.

Chałupa ciemna, szara, niebielona od niepamiętnych czasów. Na krzywych ścianach wiszą wiankiem dookoła, spłowiałe, obrzydliwe malowidła — najpodlejsze bohomazy, zbierane przez całe pokolenia lub kupowane na jarmarku. Wszystkie poświęcane i tem samem mające cudowną moc odpuszczania pospolitych, chłopskich grzechów. Z żółtego pułapu sypią się czarne próchna, jak manna na puszczy synom Izraela. Podłoga, z udeptanej gliny, pełna dziur i wybojów, zimna jak uścisk trupa. Przez małe okna pada jakby zielone światło i czyni jeszcze straszniejszą norę — grób żywych istot. Pod ścianą koślawe werko, na nim czworo nędznych dzieciaków, o twarzach koloru miejskiego, rudego błota. Siedzą okryci cuchnącą pierzyną i zdrowemi zębami żują twarde skórki chleba.

Po chałupie człapie się baba: niska, szczupła, jak deska trumny, z obwisłemi piersiami, jak stara, oślepła suka, sterana w żelaznej służbie pańskiej. Duża niekształtna głowa, owiązana jakimś cuchnącym łachem, z pod którego wysunęły się zlepione kosmyki włosów. Twarz pomarszczona, z głodu

i niedostatku; od wczesnej starości pomięta, sucha skóra, jak stara cholewa, a z wycieńczenia prawie bronzowa; oczy zapadłe, mętne, bez blasku, jakby zamglone, zasypane popiołem, patrzą na świat, jak patrzy chodząca, żywa śmierć.

Gdy chłop wszedł do chałupy, kobieta spojrzała nań zbielałem, baraniem okiem i rzekła bezdźwięcznym, jakby drewnianym głosem.

— No, Kubuś, nie poszedeś to do dwora?...

— A nie! — odparł chłop.

— Czymu to?...

— Kiej, Małgoś, nie śmim, tak mi ta nijako iść — usiadł ciężko na zydlu.

Kubina założyła wyschłe dłonie na zapadłym brzuchu i pogrążyła się w bolesną zadumę.

Z werka rozległo się ciche wołanie.

— Matulu... matulu, zróbcie ta ogień na kominie, bo tak zimno w chałupie.

— Okryńć się lepi pierzynom, bedzie woma cieplі.

— Dyć cały dziń się okrencoma, a i tak zimno i zimno.

— Kubuś, słyszysz to?...

— Dyć słysze, przeciek jestem nie głuch żadyn — odparł Kuba, i schował głowę w potężne dłonie i ścisnął się tak krzepko, że chrupnęły szczęki.

W chałupie było przez kilka chwil zupełnie cicho, jeno na dworze powstał gwałtowny wicher

i począł dąć, wyć głucho i przejmująco; hulał po polach, jak opętany, gwizdał grubo, jak stary bies, wprzęgnięty do pługa rozkazem wiedźmy brzydkiej, jak ropucha. Kłębił, przewracał, kotłował się po drodze, bił w chałupę i trząsł nią jak snopem słomy.

— A to sie, jucha, rozezlił — mruknął Kuba.

— Barzyj bedzie zimno — przytaknęła.

— Kubuś, biegej do dwora, nima inny rady.

— Małgoś, kiej nijak nie śmim. Dziedzic i tak i tak nie bedzie chcioł poborgować.

— Poprobować nic nie wadzi. A jak we dworze nic nie wskurosz, to może sąsiady poretujom nos.

— A boć uni majom wincy od nos. W cały wsi siedzima na trzech albo i na szterech morgach — możno to sie objeść na takim zuchelku chleba, co?... możno to robić zapasy jakie?...

— Toć i my żyli i bidowali, jak Bóg przykozoł, to i uni jakoś ta żyjom.

— To i prawda, żyli i my żylim; żeby nie pomer ociec, nie padła krowa, żebym nie siedzioł w ciupie:... wszystko się zwaliło latosiego roku, to i bida, psiachmać! — i splunął ze złością na środek chałupy — i jak to iść do dziedzica i prosić o ratunek, kiej un za głupiom sosne wpakowoł człeka do kozy. Psiachmać, jakby to Pan Bóg nie dla kuždego las na opol stworzył.

— Las je jego, to go bróni — rzuciła Kubina.

— Przeciek un go nie kupił od Pana Boga, ani się też z nim nie urodził, aby był jego. Las je tak lo niego, jak i lo mnie. Un mo opołu dośyć, to reśte powinien dać tym, co nimajum — rozwodził się Kuba.

— Tak jeno pedosz; a dałbyś to ze swygo co kumu?...

— Jo jestym co inszygo, jo jestym bidny chłop, jo nic nimom, to i nic ni moge dawać drugim.

— Gadanie gadaniem, alek co my bedziem robić?... Rady nima... Mlika do Kielec ni można zaniść, drobiu nijakigo nima... wszystko wyprzedane, co bedziema nieboraki robić?...

— Cichaj, Małgoś, cichaj, bo mnie cosik w piersiach ścisko, jak tak pedosz i lomentujesz.

W chałupie zapanowało głuche milczenie i kamienna rozpacz chamskich dusz; Kuba trzymał głowę w dłoniach i myślał. Przypomniały mu się opowiadania o dawnych, pańszczyźnianych czasach, tępy mózg chłopa począł myśleć. Głód nasuwał refleksje na otoczenie i życie.

— Ta... ta... ta — mruczał pod nosem — dziad i ociec były u szlachcica, pracowały, kiej kónie i kiej kónie dostawały pańskie baty. Co prawda, ni mieli roli, nie siedziały na trzech morgach, alek jednak było jema lepi, kiej nam je dzisiaj... dostali chałupe, dostali ognaryjom, dostali opol,

a teraz, co mosz chłopie?... Jesteś zdrów, sielny, nikej byk, a dzieciokom nimosz co jeść dać; ze zdrowymi łapami możesz zdychać, niby pies kiele płota.

Jakaś czarna mgła poczęła ogarniać chłopa ze wszystkich stron, coś przeszybowało koło niego krwawym płomieniem i zarzegło ogień w ciężkim mózgu, rozniecilo iskrę goryczy w prostej duszy. Chałupa waliła mu się na rozczochrany łeb i gniotła potężne bary ogromem niemocy; zmora życia biła strasznym obuchem bezsilności, jak kowal bije ze wszystkich mocy rozpalone żelazo. Widział przed sobą jedną, wielką, czarną pustkę, w której wyje złowrogo ból i rozpacz, krzyczy w niebogłosy męczeńska bezradność, kona na torturach życia biedna dusza ludzka.

Z najtajniejszej skrytki duchowej wypełzał świadomie protest, jęk wydziedziczenia, zgrzyt szyderczy, zarazem świętokradczy. Krwią serca stawione pytanie wypaliło się w piersiach, i to pytanie wyżłobiło ogromną ranę w istnieniu — ranę, która do końca wegietacyi ropić się i cieknąć będzie trucizną gorzką, jak piołun, paląca, jak kwas siarczany.

— Lo czego my, chłopstwo, czy to we wsi, czy to w mieście, moma takom bide?... Pewnikiem na świecie za dużo jest ludzi, a chłopstwa to już niechybnie jest za dużo?...

Lecz mimowoli, zupełnie nieświadomie, bujna

i ciepła fantazja chłopska stawiła mu przed oczyma duszy obraz dworu bogatego szlachcica, plebanję i księdza proboszcza z poważnie zaokrąglonym brzuszkiem. Przypomniały mu się niskie, chytre słowa dobrodzieja, kiedy go prosił o zmniejszenie zapłaty za pochowek starego ojca. To znowuż ujrzał sutą libacyę balową we dworze, u właściciela okolicznych folwarków; słyszał huczne, głośne, napół pijane wiwaty, wznoszone na cześć gospodarza domu. Widział, jak się duszpasterz z panami bratał i jak często rozmawiali o parobkach, roli i strajkach, a rozmawiali tak mądrze, że on, stojąc przy oknie, słyszał, a jednak nie mógł zrozumieć. Czuł tylko chamskim instynktem, że to chłopom tak dzielnie buty szyją, gdyż w najbliższą niedzielę dobrodziej z ambony głosił przykazania, groził ogniem piekielnym, nigdy niegasnącym potępieniem wiecznem na nieskończone lata, smażeniem się w gorącej smole, parchami biednej duszy — jeżeli chłopstwo będzie słuchać podszeptów szatańskich dzieci, synów ciemności, co sieją nienawiść pomiędzy ludem, każąc przerywać w polach robotę; przez to można pana, dobroczyńcę swego, narazić na straty, przywieść do ruiny, do rozpaczy i ostateczności, i przez to może się złamać i zgubić chrześcijańska dusza.

I teraz oto, w zimnej chacie, wśród płaczu dzieciaków, wśród narzekań baby, dręczony głodem i troską, napół odczuł, a napół zrozumiał, że

na jednej ziemi i w jednej wierze coś ludzi dzieli, rozłącza i rozprzepaszcza, że coś wbiło się pomiędzy nich, nikiej wielgachny klin, i rozsadza ich, i rzuca na siebie, jak dwóch wściekłych psów. Czyni dwa narody, dwa światy, dwa biegunowe krańce ideału, dwie świątynie z odrębnemi bóstwami. Począł rozumieć, że jeden z tych światów gniecie bez litości, bez miłosierdzia i bez pamięci — bez noża w dłoni zabija na zimno i z wyrachowaniem. Ujrzał jasno, jak na dłoni, że po jednej stronie stoją kupą, brudne i głupie chłopy, a po drugiej pieniądze, uczeni panowie i księża na ambonach, jako dobroczyńcy spłakanej braci siermiężnej. I w takiem deliberowaniu mruknął sobie cicho:

— Ta... ta, jak świat światem, pan chłopu nie będzie nigdy bratem.

— Matulu, zróbcie ta ogiń na kóminie, bo noma je tak zimno — pisnęło z łóżka słabym głosem.

— Jezusie Nazareński — szepnęła kobieta, odchodząc prawie od przytomności — Kubuś, słyszysz to, co?...

— Słysze to, Małgoś, słysze — odparł Kuba i łzy ogromne pociekły mu po brzydkiej twarzy.

— Co bedziema robić, Kubuś, co bedziema robić?... — szepnęła zgnębiona.

A Kuba podniósł się, westchnął głęboko, serdecznie, aż w piersiach odpowiedział jęk.

— Ide do dwora!... — wyrzekł stanowczo.

— Idź, biegej, Kubuś, biegej!... — zachęciła go błagalnym spojrzeniem spłowiałych oczów.

Podrapał się w głowę i wyszedł. Do dwora było ze trzy wiorsty; Kuba nie chciał iść drogą, jeno ruszył na przełaj, przez pola, aby ominąć chaty sąsiadów. Szedł ciężko, leniwie, z musu, jakby kto pchał go z tyłu. Mróz był tęgi, suchy, szczypał mu policzki, nikiej szczypcami — nie zważał, nie czuł zimna, zapomniał zupełnie, że mróz i zimno istnieje na świecie. Szedł boso po śniegu twardym i śliskim, jak kryształ. Rozmyślał, jak to ma dziedzicowi mówić, by mu dał na odrobek ze ćwiartkę kartofli, trochę kaszy, grochu; po drzewo poleci do lasa, nocą, obłamie nieco gałęzi, to może się ta przebiduje do z wiesny; robota w polu, a i w Kielecach pewnikiem się ruszy. Szedł, medytował, kalkulował na wszystkie strony, snuł plany na przyszłość i prawie się trocha rozweselił, bo...

— Kuba! z drogi, psi synu! — huknął silny, niski głos z tyłu.

Obejrzał się flegmatycznie i usunął się trochę na bok. Szybko, jak błyskawica, mignęły sanki, lekkie, śliczne angielskie sanki, zaprzężone w czwórkę gniadych ogierów, przykrytych gęstą, niebieską siatką. Na koźle siedział stangret, Wojciech, i zaczerwieniony z wysiłku, trzymał ze wszystkich sił konie, bo szły, jak wściekłe. W sankach zoczył

Kuba młodą dziedziczkę; była piękna, jak z bajki. Wiatr rozwiał jej cudne, złote włosy i buzię zarumienił, jak wschodzącą jutrzenkę; panna śmiała się młodą, wesołą, rozbawioną duszą, a dźwięczny, miły jej głosik drżał w mroźnej przestrzeni, jak srebrny, melodyjny dzwonek sygnaturki.

— Jak to se, juchy, używajom — mruknął bezmyślnie Kuba — bogać im ta źle!...

I szedł dalej, przez pola, z duszą zatrutą, bo srebrny głos panny wsączył mu się w serce i zrodził robaka zazdrości, który począł kąsać mózg i budzić ordynarną refleksję, żreć dotąd, dopóki chamskie nie zbudzi się uczucie pełne nienawiści i chęci odwetu za krzywdy życia. Szedł szparko i twardemi stopami rozgniatał grudki skostniałego śniegu. W oddali zoczył dworskie zabudowania — ścisnęło mu coś gardło i serce zapłakało naturalnym wstydem nędzarza; głowę opuścił na piersi i wlókł się bez myśli, jak głodne i spragnione cielę. Z lękiem w płowych oczach i z drżeniem przekroczył bramę wielkiego podwórza, jak senny i ogłuszony — skierował się w stronę dworu, podszedł i stanął przed pańskim progiem. Oparł się plecami o słup ganku i wodząc głupkowatym wzrokiem po placu; czekał długo, prawie do zmroku, do słońca zachodu, który był prześliczny. Bajeczny zachód słońca na polskiem niebie.

Zachodnia strona nieba gorzała w cudnych barwach, jak tęczowy, rajski ptak, w oświetleniu mi-

ljarda ogromnych, oślepiających gwiazd; możnaby przysiądz, że to płomienna krew bojowników wszechludzkiej idei rozlana jest po stropie i tak rozpala każdego dnia nad polską ziemią niegasnące błyskawice swoich przenajświętszych uczuć. Lekki, sypki wiatr płynął nieco ponad ziemią, jak sunie gołąb biały w słodkie południe wiosny. Kiedy niekiedy, jak w struny harfowe, uderzał w szkielety nagich grusz i głuchym szlochem nucił ponurą kompozycję zdeptanych w życiu istot. Wplatał jakieś smutne, żałosne skargi, szarpiące duszą jęki, siarczyste cierpienia, piołunowe szamotania się duszy, zcieranie się zgrzytów, bezprzykładną męką krainy od wieków skrwawionej w kajdanach niewoli, w kagańcach milczenia, w bólu nieszczęsnej ciemnoty.

Tuż, przy samym dworze, stało kilkanaście mocarnych topoli, niby żołnierze na warcie, i olbrzymiemi konary okrywały cały budynek, niby opadłemi z ciała ramionami przedpotopowych tytanów, którzy od niepamiętnych czasów utracili już moc życia, butę ataków i potęgę stalowych muskułów, jeno grozą nagich gości odpędzają złych duchów w ludzkiej skórze, szakali głodnych ścierwa, wietrzących wszędzie krew, zamach lub zdradne plany na czyjeś głupie, haniebnie głupie życie!

Więc stoją topole i bronią i zasłaniają majestatem śmierci, tchnieniem zniszczenia, strachem

zagłady okropnej straszą rozhukanego w szale zbrodni, w zezwierzęceniu, w rozpasaniu siły, w dzikiego wroga.

Kuba, z religijnem namaszczeniem, czekał na ukazanie się jaśnie pana, jak żydzi na Messjasza. Przed nim ciągnęło się rozległe dworskie podwórze, pokryte śniegiem, stratowanym przez czworo i dwunożne bydło — świętą, prawą własność dziedzica. Na samym środku podwórza był widny żóraw, wkoło niego stały spróchniałe koryta do pojenia zwierząt. Nieco na uboczu, z południowej strony, rozsiadły się zabudowania folwarczne: szopy, stajnie, obory, chlewy; budynki napół zgniłe i zapadające się w ziemię piersiami, jak przygarbieni starcy. Od jasnego tła śniegu odrzynały się boleśnie szaremi plamami, jak wstrętne poszarpane łachmany — oznaki niemocy, brudu, niechlujstwa i rozkładu. Z otwartych drzwi obory, jak ciche westchnienia sieroty spłakanej, sunęła po szarym śniegu anielskiemi kroki smętna, łkająca melodja skrzypców — popłynęła aż do ścian dworu i tam skonała w milczeniu, jako niemy a straszny, przepojony lękiem niedoli, nabrzmiały zastygłemi łzami wyrzut sumienia dnia dzisiejszego. Daleko, na horyzoncie nieba, wiła się turkusowa wstęga sosnowych lasów — dobroczynna rzeka wszech mocnego zapomnienia. Słońce drgało ostatniemi promieniami, które, jak długie warkocze, splecione z rozpalonej miedzi i mosiądzu, spływały na zie-

mię. Tarcza już znikła za daleką górą Karczówki, jeno kiedy niekiedy, jak meteor złoty, falował w przestrzeni zbłąkany, jaśniejszy błysk i marł na śniegu, zduszony przez nadciągający zmrok.

Jak dym rajskich kadzideł, jak wonność balsamu, rozlana była rzewna, melodyjna cisza w naturze; najmniejszy dysonans nie zakłócał błogiej ciszy; ukochanej ciszy wieczornego zmroku, raju pełnego siły i zachwytu, zdroju piękna i mocy, i wypoczynku, wytchnienia zbrukanej duszy. A na zachodzie, jak znicze, paliły się ostatnie zorze; prześliczny ton barw; długi, niezmiernie długi, zmięty ton przygaszonego światła, zmięty, niedbale a estetycznie rzucony, amarantowy, to znów fioletowy, zlekka różowy, zlekka szkarłatny welon, tkany w szafirowe lilje i jakby rubinowo-złote szlaki ogromnych kwiatów. Cudne wstęgi ciemnego błękitu ćmiły się barwą starego bronzu; a od wschodu ciągnął się wieczór księżycowej nocy i bolesną sinością ścierał tęczowe arabeski zórz. Niebieskawa mgła otulała całą okolicę.

Kuba stał przed dworem; nie widział cudów natury mętnemi oczyma — myślał o wyjściu dziedzica.

Czekał i łykał łzy, pospolite łzy głodu, przeklęte łzy zwierzęcia; był jak na szpilkach. Mróz na noc brał wielki, że i pies urwałby się z łańcucha; od północy wiatr dął zastraszająco i prał tak jakoś wściekle, że ziemia zdawała się przed

nim uciekać w bezsilnej panice, w trwożliwym, idjotycznym popłochu pędziła, jak żywa istota, w zabobonnym lęku przed druzgocącą siłą zniszczenia i śmierci, przed piorunowym oddechem huraganu, przed tchnieniem cyklonu. Kuba, przygwożdżony potrzebą, stał i nie zwracał najmniejszej uwagi, że wiatr chłoszcze mu ciało, bije jednym siarczystym płomieniem zimna, parzy, jakby szczelnie zamkniętą formą z rozpalonej blachy, aż szpik przepala się w gnatach i staje się podobny kieleckim marmurom. Stoi z chamską wytrwałością, z zapamiętaniem nędzy, z uporem nieugiętym, jak stal; w piersi ma bezlitosną zmorę, co wyszczerza ostre kły i grozi, jak średniowieczny siepacz inkwizytor narzędziami tortur; ma jęk rozpaczy tępej i bezradnej, niemocy okrutnej a ciemnej, jak dno górskiej przepaści; ma zduszony szloch, ma noc nieprzejrzaną, jak była godzina jego urodzenia, ma mrok gęsty i gorzki tak, jak jego przeszłe i przyszłe życie — ma drogi a bolesny, przeklęty a bezcenny widok spłakanych dzieciaków, pragnących kęsa chleba. Przestępuje z nogi na nogę, jak spracowana szkapa, i opuchłemi wargami szepcze, jakby w odpowiedzi na dokuczliwe zimno.

— W chałupie dziecioki płaczom... nimajom co w gębe wrazić... w chałupie zimno... — i patrzy przed siebie zamglonym wzrokiem i czeka nieruchomie.

Skrzypnęły drzwi, ze dwora wyszedł ciężkim, dużym krokiem karbowy; chłop wielki i silny, jak drugiego nie znaleść i w całej wsi. Zbliżył się do Kuby i zaglądając mu w oczy, nikiej wilkowi, pytał grubym głosem, a z góry, z pańska, jakby i sam dziedzic jaki.

— Bacze, przyglundom się, a to wy, jedryna połka; Kuba Toporek, co to kciołeś tu, kiele dwora i pod samym progiem?... Pewnikiem żiebrać do dziedzica przyszedeś? — no, moiściewy, ktoby się to spodzioł, na co woma przyńdzie. Na trzech morgach siedzi, a hunorny, jucha, jak jaki cysorz, albo i kto jensy!...

Kuba zrazu nie odpowiedział, bo mu się tak zrobiło, jakby go kto grabką w samo serce dziabnął, aż zębami zgrzytnął, a pięści to same mu się zacisnęły i zadrgały tak mocno, aże w ramionach chrupnęły kości. Ino, ino miał karbowego zdzielić w mordę, aż by się, łajdusowi, dziadek z babką piątego dnia przyśnił. Znał przeciek Mateusza dobrze, wiedział, że jest zdrajcą bidnego narodu, że chłopa to utopiłby w łyżce ciepłej wody, bo z panem w jednom trąbkę trąbi na pokrzywdzenie i zatracenie całej wsi, co nieraz z dziedzicem wodziła się po sądach. Alek się pochwycił krzepko i zmógł w sobie złość okrutną, jak żmiję, zgryzł chęć bitki, bo wyrzekł z cicha a potulnie.

— Czegóż to, Mateuszu, tak zarok wyzywa

cie, kiej woma nic nie pedom. Kużdy ma swoje jenteresa i kużdy szuka swygo. Na ten przykłod, wy, karbowy, swygo — a jo, tyż swygo.

— Pewnikiem woma kiśki marsia nieźle grajom, inaczej byśta tu nie przyszli — szydził Mateusz — znom jo wos dobrze. Wim, że jesteście hardy, jak szatan — no, ale pedejcie, co woma jest, a może się woma zaradzi, ty waszy bidzie. Pedejcie, po bożemu, po ludzku — rzucił karbowy nieco przyjaźniejszym tonem.

Kuba stał, jak nie swój, skubał jeno łaty u portek, tępo patrzał w ziemię, to na śnieg, na budynki, albo i na szare niebo; jeno na twarz wystąpiły mu sine żyły, jak powrozy grubachne, coś go dławiło, nikiej cienki stryczek; przeciek nie dziwota, bo to i wstyd i nijako tak odkrywać bidę i nędzę przed sobie równym chłopem, przed odszczepieńcem, trzymającym się pańskiej klamki, nikiej mokrygo ciała piosek — przed lizusem łapów dziedzica i fałszywym człekiem.

— Przyszedem prosić dziedzica — wykrztusił — o jakom ćwiartecke grochu i ziemnioków — i zpodełba patrzał na Mateusza, jak patrzy pies na kota, a boi się rzucić nań i zdusić i schrupać wszystkie kości, wycharchać parszywe ścierwo do dołu, na gnojówkę.

A Mateusz, jucha, nikiej graf jaki, jeden kulos wysunął naprzód, łapę wsunął do portek, drugą ujął się pod bok i patrzał na Kubę, jak na dzia-

doka, i począł pedać głosem, od którego Kubę lichoradka zatrzęsła, nikiej we fybrze, nikiej w boleściach.

— Pedocie to, że przyszliści prosić dziedzica, a wiecie, co to jest prosić?... — i łeb przechylił i patrzał wyzywająco — wiecie, co to jest prosić?... to je, to znaczy ziebrać, to molestować, jo woma to mówie — i buchnął się pięścią w dekę — tak, ziebrać, łape wyciągać, jak ostatni omełtuch, jak bosak, jak dziad, lubo jak jaka sobaka ostatnia. Ale biegiej, jucho, chamie, do pana, chyć za nogi, pokłoń sie pieknie, pocałuj buty, to może i bedzie miał nad tobom, mizerokiem, politowanie. Jeno to ci pedom, bacz dobrze i pielnie, że to będzie jego łaska, darowizna, a dla ciebie wstyd i ochfiara; radze ci społecnie, jak rodnymu bratu, albo i ojcu swymu.

Kuba stał, jak skamieniały, tak go słowa Mateusza ogłuszyły. Zrazu się zatrząsł ze strachu przed prośbą i ochfiarą, później opuścił uszy i myślał, czy to prawda, co karbowy mówił, a wkońcu chłopski rozum krzyknął, że to nie prawda, że fałsz, że to kłamstwo, że Mateusz breszy, jak nie człek krześcijański, jeno jak keretyk; zawzięty gniew buchnął, jak smoła w piekielnym tyglu. Zęby zacisnął i wyrzekł tak jakoś rozpacznie i strasznie, że karbowego przeszły zimne ciarki, a rude kłaki podniosły się na ogromnej, kanciastej głowie, nikiej szczecina na chudem prosięciu.

— Psiokrew! milczta i nie kładźta nosa do cudzygo kosa, bo go woma może kto uciąć. Przyszedem nie do wos, a do dziedzica, nie ziebrać, a pożyczyć na odrobek, na krwawicę. Jo nigdy nie krod i krod nie bede. Jo charuje od świtu do nocy, a pedom, jo krod nie byde, jak wy kradnieta! — podsunął się ku Mateuszowi i łeb pochylił, chcąc go wziąć na siebie, jak rozjuszony byk bierze owczarskiego kundysa.

A na karbowego, jakby kto ogniem rzucił.

— A kto, co, jo krodem?... jo krodem?...

— Może dobrodziej? — odparł Kuba twardo.

— Możesz mi tego dowieść, psi narodzie?...

— Bogać ta nie!

— To biegej do jaśnie pana, biegej i powiedz, że Mateusz kradnie, biegej, może ci uwierzy! — wziena go kolerna pasyja i święte oburzynie na głodomora, co źryć czego nimo, ale za to gębę, nikiej wrota rozwarte od stodoły, od ucha do ucha — ścierwa, zatraceniec. A widząc przed sobą pochylony łeb Kuby, w głupiej niemocy, niewiele myśląc, rymnął go kluczami z całej siły, z wierzchu, choć nieco na odsiepkę — raz... drugi... trzeci i czwarty poprawił jak należy.

Kuba krzynę się zdumiał, nie tyle z bólu, co z podziwu, bo mu czarne płatki, nikiej sadze, latały przede ślipiami; we łbie zrobiło się zimno, jakaś gorącość pociekła po chudej twarzy. Jakaś mdliwość załechtała pod językiem, aże nijako zro-

biło się na sercu. Później, jak łuczywo w ciemności, zamajaczyło w mózgu, że to karbowy, Matus, piekielnik, zdzielił go kluczami, aże mu posoka wytrysła i zalała oczy. A wtem bólu, jak gadziny, odżyły wszystkie urazy, wszystkie zapomniane złości, noszone oddawna na wątrobie, jak ogniłe wrzody; wszystkie wymysły, jakie znosił i on i baba i dzieciaki nieraz, nie dziesięć, mało sto razy; a wszystko przez tego i od tego świńtucha, więc nim zatrzęsło, rozżarło, aż się bebechy wywróciły do góry nogami w kałdunie. Nienawiść zagrała rozpłomieniając zgryzotę, posiadła całą jego istność, moc, siłę i władzę świadomości. Sam nie wiedział, jak i kiedy przyskoczył do karbowego, jak się chwycili za bary, nikiej dwa wilki o wieprza, zbłąkanego w lesie. Łby się zetknęły i uderzyły, jak kamienie, oczy zaświeciły ciemnym blaskiem wysiłku i chęcią zmożenia przeciwnika; wodzili się po całym obszernym ganku za orzydla, szturchali, gryźli się zębami, jak dwa dworskie brytany, spuszczone z uwięzi.

Dziedzic, siedząc w pokoju, usłyszał churgot i rumotanie, porwał się prędko i wyszedł, ciekaw, co się dzieje. Stanął na progu i ujrzał wodzących się chłopów. Począł przypatrywać się bójce; widział często, jak karbowy, w jego imieniu, prał po mordzie parobków, aż twarze klaskały, jak kacze skrzydła o wodę; był pewny, że zuch karbowy

sielny bijak, któremu nikt nie podoła, zmoże Kubę, jak tygrys jelenia.

A chłopi gnietli sobie żebra, wodzili, prali się po łbach; każdy zdobywał się na zawziętość, za dawał jak najsilniejsze i najboleśniejsze razy przeciwnikowi. Wreszcie Toporek zmógł karbowego i zmęczył: dostał mu się garścią do grdyki i ścisnął krzynę, a drugą pięścią, jak obuchem, puknął trocha pomiędzy oczy. Mateusz, setny chłop, jednak pobladł, nikiej mieski chłystek, zrobił się gibki, miękki i wiotki, i jak woda leciał sam przez ręce. Wówczas dziedzic krzyknął:

— Kuba, psiakrew, bo go zabijesz, puść go, jucho, zaraz!

Toporek w jednej chwili stropił się wielce i wypuścił z uścisku Mateusza, który dyszał ciężko i stał ledwie żywy; sam zaś pokłonił się dziedzicowi nisko, do samej ziemi, i obracając koniec paska, bąkał zdyszany, z trudem wciągając powietrze.

— Dziedzicu, jaśnie dziedzicu, przyszedem prosić o hela tela zasiłku na odrobek, bo w chałupie bida, aż piscy; dzieciska płacom, co niech Bóg zachowa i bróni. Jaśnie dziedzicu, retujcie w bidzie — człek harował i harować bedzie, aby oddać robotom, oddać z podziękowaniem, jeno retujcie, jaśnie dziedzicu, dzieciątka. Niech tak nie skomlom z głodu, nikiej psioki — jaśnie dziedzicu... dziedzicu drogi i złoty!...

I pochylał się i obłapiał nogi i żebrał się osta-

tnio, jak ostatni z ostatnich; kochał Małgoś, kochał dzieci, kochał chałupę przywiązaniem psa; nie zważał, nie baczył na chłopski hunor, ani na ambicyją, ani na Mateusza, ani na srogą minę jaśnie pana, jeno szeroki grzbiet zgnięty trzymał, a molestował silnie, żeby się i cygan albo i kamień ulitował nad nieborakiem.

— O wspomożenie, o ratunek dla głodnych dzieci przyszedłeś prosić — mówił ze złością dziedzic — a ludzi mi rozbijasz i tłuczesz, jak zbój w lesie, jak bandyta na gościńcu. Gadaj mi zaraz, za co pobiłeś Mateusza, co? Za coś go krzywdził?...

— A juści, juści, święta prawda, jaśnie dziedzicu, ruszyłem go krzynę, bo mi łeb kluczami pomacał, ale jom ta tak wiele nie winien, bo un chuchro, ścierwa, wiecheć, wyciruch pański, na cudzym chlebie stał się hunorny, jak ogier cugowy; zawdy człowiekiem bidnym pomiato, słówecka dobrygo nie do, uszanowanio nijakigo nimo, ten, jucha dziedzic... dziedzic jakiś!... — zgrzytnął zębami i mimowoli posuwał się zapamiętale ku Mateuszowi.

— A cóż on ci takiego powiedział? — pytał niedbale pan.

— Pedzioł, żem przyszedł ziebrać do dwora, a to nieprowda, jak mi Bóg miły, nieprowda, jo kce jeno poborgować, i odrobie, Panie Boże dopómóż, odrobie szczyrze; znajom me ludzie, zna-

jom me i dziedzic, żem robotny, żem chłop całom gębom, jak należy. Jo ta ochfiary, ani łaski żadny — choćby i od samego nawet dziedzica — to niekce!...

Dziedzic brwi zmarszczył i począł mówić srogo.

— Więc cóż, że ci tak powiedział, przecież ci korona z głowy nie spadła; takiś, bestjo, honorowy?...

— Juści, takim, dziedzicu, poretujcie, jaśnie panie — wykrzyknął Kuba jakby oszalały z rozpaczy.

— Głupiś, mój Kubo, kto honorowy, ten nigdy o nic nikogo nie prosi. Rozumiesz, mój Kubo?

— Rozumiem, dziedzicu, nie prosi, jeno co robi?...

— Pracuje i stara się, jak Bóg przykazał.

— Pracuje, dziedzicu?...

— Tak.

— Dyć, dziedzicu, jo na moich trzech morgach pracowołem, w Kielecach drzewo rombołem, i u dziedzica sielnie, o sielnie pracowołem we żniwa, a przeciek nimoma z kobitom i z dzieciokami co w gęby se powrażać. Czymu to tak, dziedzicu?...

— Głupiś, mój Kubo — rzucił nieco gniewnie dziedzic.

— Głupim dziedzicu, ale poretujcie, panie!

— A będziesz ludzi rozbijał, będziesz się bić z Mateuszem?

Kuba drapał się po głowie, spoglądał zezem w stronę karbowego i nie mógł siebie opanować w wzburzeniu i złości, nie mógł wyrzec słowa, bo go uraza rozpierała, że aż tchu brakowało w piersiach, więc zagryzł wargi, zaciął się i milczał ciągle.

Dziedzic począł się niecierpliwić.

— No, jakże, będziesz ludzi rozbijał?...

— Kiej jo nikómu krzywdy nijakiej nie zrobił.

— Jakto nikomu, a Mateusz? — mówił dziedzic.

— Un, dziedzicu, to co inszygo.

— A będziesz się z nim bił?

— Ni moge wiedzieć, jaśnie panie — a w duszy zaklinał się na wszystkie świętości, że karbowemu nie daruje, że go przydybie gdzie w kącie i zakotrupi, jak Bóg w niebie, tak go zakotrupi. Zamaluje kłonicom w mordę, jeno zipnie, i już będzie po nim, jak amen w pacierzu — już mu się przysłuży, już go popamięto.

— Nuże, Kuba, nic nie mówisz więcej?...

— Poretujcie, jaśnie panie — i znowuż chycił pana za kolana.

— A masz złość do Mateusza?

— Mom, panoczku, o mom!

— Więc mu odpuść i daruj, aby i tobie było odpuszczono.

Chłop się zatrząsł.

— Kiej ni moge, nijak ni moge! — odparł z dziwnym zapamiętaniem w całej postaci.

— No, to ruszaj do djabła, gdyś tak zatwardziały poganin! — wykrzyknął rozgniewany nie na żarty dziedzic.

Kubie zacharczały piersi tłumionem westchnieniem, łzy popłynęły ciurkiem, gorycz, nikiej piołun, uderzyła do gardła i chciała go udusić strasznym kurczem żalu. Coś się w nim oberwało, skonało, zaprzepaściło, zamarło na wieki wieków, jak dusza, nie oglądająca światłości anielskiej twarzy. Jakiś dreszcz zbudził się i zasnął w nim snem piekielnie trwałym. Postał jeszcze chwilkę i, nie kłaniając się dziedzicowi, pocłapał się wolno do chałupy, jak zmokła kura na grzędę. Jakaś mgła pokryła mu duszę i mózg przysłoniła krwawą płachtą bezwładzy duchowej. Nie myślał nic i nie czuł nic. Był jak ta przydrożna grusza, zwalona przez burzę, rozdarta piorunem, oblana strugami deszczu, obryzgana błotem z cuchnącego rowu. Był jako kwiat polny, wdeptany bydlęcia kopytem w rozmiękłą glinę. Był jako ta pracowita pszczoła zimą wyjęta z ula i z urwanemi skrzydły, rzucona na zimny śnieg, albo i przytłoczona bryłami lodu. Wlókł się, jak nieszczęście, jak larwa nocna, jak duch cmentarny, jak widmo śmierci, i jak przekleństwo dzisiejszego pokolenia. Opadła chłopska dusza na dno zapomnienia, w czeluść bezruchu padła, jak kamień, zgalwanizowana tę-

pym bólem znieczulenia, z drętwieniem odruchów; padła z poszarpanym wrzaskiem podle, haniebnie zduszonym przez rzeczywistość życia. Dowlókł się do chałupy i stanął przed progiem — bał się wejść, bo tam było ziemskie piekło wraz z chłopską czarną rozpaczą, tam był głód, jęki jego dzieci, był ból, była męka, co żre dusze, jak jadowita żmija słodkie ciało dziecka, jak legiendowy polip, co serdeczną krew pije i zostawia starców w dwudziestej wiośnie, co spycha indywidualność człowieka na zwierzęcą gehennę i uczy już w kolebce przeklinać milczeniem wszystkie cudy, piękna i bożyszcza wszystkie. Stał przygnieciony życiem, zdruzgotany bezradnością i nie wiedział, co ma z sobą począć na ogromnej ziemi, w którą stronę zwrócić zamglone oczy i opuchłe, okrwawione stopy, gdzie zaprzedać w niewolę swe ciało, a gdzie posłać umęczoną duszę.

Z chałupy wyszła Kubina — spostrzegła przy progu stojącego męża, więc rzekła z upragnieniem:

— Kubuś, przyszedeś, dyć lo Boga, tak długo cie nie było. Byłeś we dworze?... Dziedzic dali, co?...

Niemoc odpowiedzi, naprężenie serc, ścisk w piersiach i straszne, grobowe milczenie.

— No, byłeś, dali co?... — powtórzyła niepewnym głosem.

Kuba zaciśnięte pięści podniósł do nieba i wyrzekł ponuro.

— Juści, dali... bodaj ich ogniste pioruny spaliły. Dali kolke w bok, chorobe na wątrobe!...

Stał, dumał długo, coś ciężkiego w sobie ważył i pięściami przyciskał piersi; w wieczornym zmroku słychać było, że mu coś w nich głucho, przeokropnie wyje, jak człowiek pochowany żywcem, że tam coś się łupie, trzaska i pęka w kawały, jak wulkaniczna góra, że tam kraje się serce i złorzeczy sama sobie biedna, stroskana dusza, pędzona bluźnierczo przez możną potrzebę. Wreszcie, Kuba przemówił niskim, krwawym głosem, nabrzmiałym bólem i zapiekłemi łzami:

— Małgoś... — i nie mógł odrazu wydobyć z siebie strasznych słów.

— Czegój? — zapytała Magda.

— Małgoś, słuchaj, co pedom, i bacz pielnie. Zanieś sukmane i kożuch i buty do żyda, albo do sklepiku, niech ci dadzom trocha życio, bo jo... jo śmagom... śmagom wieś, śmagom dwór, niech go ta pokręci; ide do Kielec, może ta dostane stróżostwo albo i co inszygo. Ty, miej baczynie na dziecioki i... ostańta z Panem Bogiem... Późni krzyne, przyjade po wos... pozdrów dziecioki... jo ni moge iść do chałupy, nimom sił... No, ostańta z Panem Bogiem... ostańta!... ostańta!..

Kubinie, jakby kto nóż w samo serce wraził, albo kołki dębowe na łbie toporem ciesał, taki

uczuła ból, słysząc słowa męża; musiała się oprzeć o ścianę, by nie upaść i nie zdechnąć odrazu. Cosik jom tak gnietło, że jakby cały świat walił się na nią w jednym mgnieniu oka, a ona pod tym ciężarem musi żyć, dusić się, aż do końca swoich marnych dni.

Kuba stał milczący, a ona szeptała cicho:

— To tak... to tak... to tak... Kubuś... śmagosz wieś, śmagosz... śmagosz... śmagggooosz...

A Kuba głowę spuścił na piersi i mówił nie głosem, lecz krwawym zgrzytem, który wychodził jakby z pod ziemi, jakby z grobu.

— Cichaj, Małgoś, cichaj, cichaj... kiej mus — to mus!... Lo chleba! Małgoś, lo chleba... lo chleba — inaczy z głodu, na wsi z głodu pomrzewa, na wsi z głodu pomrzewa! — pocałował ją z siniałemi usty, raz jeszcze zaharczał i poszedł. Już go widać nie było, jeno głos z ciemności dobiegł stroskanych uszów Kubiny.

— A pamiętoj o dzieciach, zrób, co pedziołem i ostańta z Bogiem!...

— Pamiętom... pamiętom... pamiętom — szeptała głucho za odchodzącym.

A Kuba ruszył z miejsca takim krokiem, jakby ziemia paliła mu bose stopy, a ktoś go gonił z toporem w dłoni; ani się obejrzał, bo noc była ciemna i mróz sielny doskwierał do samej kości. Ziąb był taki, że nikiej zębów w gębie utrzymać. Przystanął, zatrzepał ręce o chude, kościste

boki, plunął w garście i szedł dalej w ponurem milczeniu, jeno suchy śnieg skrzypiał nieprzyjemnie pod twardemi nogami; gdy minął ostatnie chałupy, jakaś słabość i niemoc ogromna go opanowała wszechwładnie; coś mu łazić zaczęło po sumieniu, po piersiach i po czułem sercu, jak robak plugawy i obrzydliwy — chciał zmódz, ale nie mógł, w żaden sposób nie mógł. Doszedł w takiej rozterce do krzyża, stojącego na samym końcu wsi, gdzie rozchodziły się drogi, i tu chwycił go niezgłębiony żal, straszny ból rozstania, przeokropny szloch i łkanie głuche, jakby kto żywcem rwał ciało na sztuki, a broczące rany zarzewiem zasypywał; runął plackiem na ziemię, jak na podniesienie, i objął ziemię, tę swoją ukochaną, biedną, polską ziemię objął w drogi, najserdeczniejszy uścisk zmaltretowanej nędzą duszy, a głuchy, ciężki, fizycznie zwierzęcy bełkot wydobywał mu się z potężnych piersi w urywanych słowach, które, jak wątłe, bezsilne, wyrzucone z gniazdka ptaki, tłukły się i konały u stóp spróchniałego krzyża.

— Panie! Jezu Nazareński!... nimoge inaczy! nimoge inaczy... nimoge... lo chleba!... Chryste!... Chryste!... Chryste, lo chleba... — i leżał długo...

Była wielka cisza na całym świecie, jeno gwiazdy świeciły na szafirowym niebie i od czasu do czasu spadając, rozrywały ciemności ognistą

wstęgą, a on leżał i bił głową o ziemię, i skomlił, jak niestworzenie boże, i całował zimny śnieg, zlewał go gorącemi łzami i wył na mrozie w noc ciemną, jak wyje zdychający pies, bez pana i bez dachu.

WET ZA WET

— Jachu!... Jachu!... wstawaj, zatraceńcze jeden, czwarta godzina już wybiła, czas pakować na wózek i jechać na rynek, Jachu!...

Na małem podwórzu nikt się nie ukazał w odpowiedzi na wołanie; tak jak i przedtem pozostała urocza pustka zbudzonego zaledwie dnia i resztki ciszy nocnej i cieni półszarych, kryjących się w zakątkach zabudowań. Zaróżowione słońce złociło wysoko jasny szafir porannego nieba, a na tem ślicznem tle, jak drobne muszki, kiedy niekiedy rączym, zachwycająco zwinnym lotem przelatywały małe jaskółki i znikały za ramą czarnych dachów, obejmujących skrawek pogodnego błękitu. Z sąsiedniego parku przylatywał słodki zapach rozkwitających lip, kasztanów i akacyi i rozlewał się w powietrzu wraz z wesołym świergotaniem ptasząt, w których radosnym koncercie trzymały pierwsze skrzypce wróble szare, zjadacze codziennego chleba.

Z dołu, z okna suteryny, powtórnie dał się słyszeć niski, ochrypły, jakby przepity głos, a tak

chrapliwy, że nie można było poznać, czy z męskiego czy też kobiecego gardła wychodził.

— Jachu!... Jachu, a to śpi, psiajucha, jak zarżnięty!

W chwilę potem z ponurej czeluści sieni, jak z paszczy potwora, wyszła powolnym leniwym krokiem, nietyle stara, ile zniszczona kobieta. Niska, krępa, o brudnej nalanej twarzy; była boso i w zarzuconej naprędce spódnicy, kręcąc opuchłemi palcami siwe od puchu, zlepione włosy, szła w kierunku jednopiętrowych komórek, przylepionych do ślepej ściany sąsiedniej oficyny. Idąc zwolna, pomrukiwała z cicha słowa pacierza, a w przerwie pomiędzy Zdrowaś i Wierzę dodała zirytowana nie na żarty:

— A to, psiakrew, dryblas, śpi i śpi... rób, co chcesz, biedny człeku!

Weszła na stare, skrzypiące schody, które wiodły na ganek. Trzecie lub czwarte drzwi otworzyła i stanęła na progu. W głębi komórki, na kupie rozmaitych rupieci, na startym na sieczkę barłogu leżała ludzka postać, przykryta spłowiałym wstrętnym gałganem.

— Jachu! — wrzasnęła kobieta takim głosem, jak gdyby jej groziło trzęsienie ziemi.

Milczenie przerywane przyduszonem chrapaniem.

— Jachu!

Kawał ludzkiego mięsa poruszył się nieprzyto-

mnie i jeszcze sennie; odwrócił się na drugi bok i odpowiedział grubym pomrukiem, jak wół zduszony za gardziel. To już zniecierpliwiło kobietę; podeszła bliżej, pochyliła się i poczęła trząść chłopakiem, śpiącym snem bogobojnego duszpasterza, który na zapadłej prowincji, gdzie świat deskami zabity, strzyże bez ceremonji pokorne jagnięta swojej parafji.

— Jachu, wstajesz dobrowolnie, albo nie?... czy mam cię kijem do tego poprosić, paniczu?...

Jach usiadł na posłaniu i drapiąc się po plecach, mruczał niewyraźnie z zamkniętemi oczyma. Później szarpnął się niechętnie i z powrotem upadł na posłanie.

— Nie, tego to już za wiele... Sam Pan Bóg by nie wytrzymał!...

Podniosła śpiącego i by łatwiej go zbudzić... uderzyła go wierzchem dłoni w twarz. Jach zerwał się na równe nogi, potoczył się po komórce, jak człowiek w letargu chodzący, a z nosa płynęła ciurkiem krew, plamiąc potargane strzępy bielizny brudnej, jak czarna, świeżo zorana ziemia. Wreszcie otworzył oczy, przytrzymał palcami nos, i w ten sposób próbował zatamować upływ krwi; stanął naprzeciw kobiety i mierząc ją jakimś specyficznie pogardliwym wzrokiem, wyrzekł tak twardym głosem, jak tylko potrafi mówić dziecko ulicy:

— Co, u djabła, Maciejowa bije?... Czego znowuż Maciejowa chce odemnie.

— Powinieneś wstać do roboty, nie wylegiwać się dotąd, aż dziad z dziesiątej wsi przyjdzie. Kto chce jeść — musi pracować; już święty apostoł, Paweł, brat świętego Piotra, powiedział, że kto nie pracuje, jeść nie powinien — rozumiesz, hyclu!

— O, nie wiesz czasem, najwięcej Maciejowa jeść daje... myślałby kto, że i prawda. Znają was ludzie, dobrodzieje wszyscy, ze zdzierstwa, łaskawcy — gębą potrafią szafować, a z duszy by człowiekowi wydarli!

— A w czyjej komórce śpisz, na czyim sienniku? kto ci często daje chleba?... — zaperzyła się kobieta.

— Komórki wam nie ugryzę, zresztą przecież ona nie jest waszą, jeno gospodarską. Zrozumiano?...

— A kto komorne płaci, kto — jak nie ja?... idźno do gospodarza, niech on ci da co darmo, albo jaki grosz opuści, pierwej dostaniesz kolki w boku. Nic na świecie nima darmo — inaczejby świat się do góry nogami przewrócił. Śpiewać darmo, boli gardło.

— Przynajmniej raz Maciejowa prawdę powiedziała — nic darmo nikt nie daje... jedno za drugie. Śpię w komórce, to zato ciągnę wózek na targ, jak stary osioł; dostanę kawałek chleba —

to pierwej duszę się od potu, i spać po nocach nie mogę, tak bolą mnie ręce i nogi i krzyż i głowa i wszystko. Nic darmo nie ma; za robotę dostaję zapłatę, a bicie od każdego, kto jeno silniejszy lub zręczniejszy. Kto jeno niechce, to się nad biedniejszym nie znęca.

— Nie rezonuj, jeno marsz do roboty!... — krzyknęła.

— Jak mi się będzie podobać... — i na pół nago poszedł do studni, by obmyć skrwawioną twarz.

Jach był sierotą, ojciec był murarzem, a matka chodziła po praniach; oboje byli trzeźwi, pracowici, i obywatelsko oszczędni, jednakże, wbrew mądrości, zawartej w przysłowiu, że kto rano wstaje — dostaje od Boga wszelakie dobra i długie życie; byli zupełni nędzarze. Choć wstając wcześnie, pracowali często do późnej nocy, a często i ranka, choć padając z trudu i zmęczenia i głodu i z niedostatku, odmawiając sobie chleba — pomimo tego wszystkiego pozostali ciągle, do śmierci, jedynie tylko nędzarzami. Tak miały się rzeczy dopóki nie wybuchła awantura pseudo-rewolucyjna.

Ojciec Jacha, człowiek gorącego temperamentu, gnany niedolą, smagany niesprawiedliwością losu i przeznaczenia, łuskany nędzą, party współczuciem towarzyszy niedoli — zapisał się do partji robotniczej. Został jednym z najgorliwszych człon-

ków; opłacał składki, chodził na zebrania, nosił sztandary, i, gdy kazano, rzucał bomby, a nawet — zabijał z zimną krwią na rozkaz komitetu. Był żołnierzem, uczniem i apostołem w jednej osobie. Wierzył w zwycięstwo światła, choć go nie rozumiał, w tryumf dobra i królowanie sprawiedliwości. Wyobrażał sobie, że kto jeszcze nie spodlał do szpiku kości w niewoli, kto nie ubóstwia bata, kto łba nie ugiął przed złotym cielcem, nie pędzi życia, jak zwierzę, kto gnić nie począł, nie ma cuchnącej krwi w żyłach — ten dziś, lub jutro, z pianą na ustach zsiniałych stanie w szeregach, skoczy na bruk z mocą rozpaczy, z krzykiem oburzenia, z piorunem zagłady w piekielnie rozpłomienionem oku, z sercem tak pełnem nienawiści, jak pełnem jest jajko, i po trupach własnych dzieci pójdzie na nowe niwy, na łąki zielone, usłane purpurowym kwieciem, na dzień, w którym słońce zbratania nigdy zachodzić nie będzie, ani zaćmiewać błękitów mrok nocy, do rajskich ogrodów, gdzie tryskają źródła, biją fontanny uczucia w każdej piersi, gdzie wspaniały duch ludzkości śpiewa hymn wieczny, cudny, symfonję chwały, psalmy zmartwychpowstania, antyfony wyzwolenia dla wszystkich, co płaczą i duszą się w kajdanach nikczemnej przemocy; znużonym, cierpiącym, zbolałym, zwątpionym aby powstali, jak nieboszczyki, jako zaśnięci rycerze, na bój ostatni, na atak zwycięski i gromko krzy-

knęli całym głosem, aż wszystka zadrży ziemia, niebo się zakolebie od krańca do krańca i jeden pójdzie wulkaniczny pomruk, jeden buchnie grzmot, uderzy w powietrze, zatarga przestrzenią, rozszarpie wnętrznościami świata w królewski jęk, w cudowne wycie boleści, szatańskie szczekanie zemsty, w zatrważający ryk śmiertelnego odwetu.

— Hej! ludy! na życie lub śmierć! na śmierć od stryka i kul!... na życie w złotych blaskach swobody, w orbicie purpury, w promieniach gwiazd, u stóp mając zgasłe globy!...

I murarz poszedł na śmierć od kuli.

W piękny, anielsko-zachwycający dzień pierwszego maja, dostał rozkaz uformowania pochodu z pieśnią i sztandarami. Cieszył się, promieniował dumą, że bolesną litanją rozpaczy niziny społeczeństwa znać dadzą o sobie, że z nor, jak z grobów, powstaną, by dać świadectwo niezmożonej prawdzie, być puszczykiem starego dnia. Że ślepy, ciemny, zahukany motłoch ma głowę podchmurnego olbrzyma, który czoło oblane potem kąpie w pierwszych łunach krwawo wschodzącego słońca zespolenia się dusz w wspólności ideałów, że chrapliwym krztuszeniem się wyśpiewuje grzmotowe akordy do zwiastowania i narodzin tajemniczych nowego istnienia złączonych tłumów; z krwi buchającej oparem, z rozłupanych czaszek, z dymiących trzewi składa najwonniejsze kadzidło na niewidzialny ołtarz, wymarzonemu w cudnym snach

plenu, wyzłoconemu fantazjami bogu. Na kilka dni przedtem zrobiono groszową składkę, nędzarze kupili cenną materję na chorągiew, którą obszyto złotym szychem i szczero srebrnemi kwiatami; hołota chciała zadokumentować, jak kocha swe godło, jak czci swój znak, pod którym umrzeć gotowa, straszną pieczęcią odrąbanych głów stwierdzić szlachectwo przyszłości wszechwładztwa ludu.

I przyszedł ów drogi, nigdy nie zapomniany dzień, jak idzie pocieszenie ku stroskanemu dziecku, jak idzie rubinowa gwiazda po brylantowym gościńcu; zjawił się straszny, a słodki, jak ukojenie, w książęcym dostatku ponurej władzy nad duszami, pochmurnym majestacie, z za którego spozierały otworami czarne mogiły; przypłynął, jak opalowy korab do szafirowego brzegu umarłych.

Zrana, około dziesiątej, murarz z żoną i garścią towarzyszów, gotowych iść za sztandarem do piekła, wyszli na ulicę. Pusto i prawie głucho; słyszy się głośny stuk własnych kroków, zupełnie jak w jaskini lub opuszczonym domu: robi się boleśnie i przykro i niewyraźnie, jakieś drgnienie serca, ściśnienie w piersi, jak na pogrzebie ukochanej osoby; wzrok mimowoli poczyna tracić blask i uśmiech gubią usta. Wszędzie sklepy i bramy pozamykane na siedem ewangielicznych zamków, tylko gdzieniegdzie uchylone zuchwałe okno, w nim młoda panienka z przyzwoitego towarzy-

stwa, ciekawie strzela ze strachu zbielałemi oczyma; to znowuż jakiś stateczny i prawy obywatel, wierny poddany silnej sprawiedliwości, lojalny syn ojczyzny, złorzecząc hałastrze, łypie zasmuconemi źrenicami i gniewa się w prawości świętej na niedostateczną ilość policji, na zbyt małą liczbę fioletowych mundurów. Czasami przechodzi paczka po paczce odświętnie ubranych robotników, przesunie się szybko wychudły, blady student, w wypchniętych i u dołu obszarpanych spodniach, zczerniały inteligent, stara, oślepła żydówka, młody, wygolony potomek Mojżesza, bezzębna kościarka, obdarty chłopak, sprzedający nadzwyczajne dodatki — oto te i im podobne kanalije z pod ciemnej chmury.

A niebo było czyściutkie i kochane; spokojne, jasne, jak zastygła w bezruchu lazurowa woda we włoskich jeziorach. Jeno rozpięte, rzęsiście promienne oblicze słońca zlewało białość niewinną, słodycz wonną i radość i umiłowanie — rozkosz nad rozkoszami, jak w zaczarowanym śnie; powietrze lekkie, subtelne i drogie, jak spojrzenie rozmarzonej kobiety, śpiewało jakąś melodję dziewiczą, drgało falami ciepła, grało namiętnością aniołów, wielbiących serafinów i grało... gra...ło.. gra...ło... ach, jakże bosko grało!...

Murarz z żoną i jeszcze pięciu towarzyszami przystanął, gdyż dojrzał w oddali zbliżającego się ku nim wolnym krokiem sztubaka.

— Dzieńdobry, towarzysze — wyrzekł przybyły — za pięć minut rozwinąć sztandary.

— Dobrze, towarzyszu... może macie trochę nabojów... mamy za mało — poprosił murarz.

Podał mu pięć magazynów zapasowych.

— Mam dziesięć... macie połowę.

Po chwili zapytał:

— Ilu u was ludzi uzbrojonych?...

— Z mego okręgu... czterdziestu — odparł murarz.

— Dobrze, ale pamiętajcie pierwsi nie strzelać i na miły Bóg, nie dopuścić do popłochu. Jeżeli znajdzie się prowokator — złapać i po cichu, bez hałasu, bez wrzasku, w spokoju urżnąć głowę i położyć w rynsztoku, lub jeszcze lepiej, wsunąć pod mostek.

— Dobrze, towarzyszu.

— Zatem, do widzenia, bądźcie zdrowi... szczęść boże i do zobaczenia!

— Do zobaczenia!

— Daj panie boże!...

— Serwus, serwus, towarzyszu!... — odpowiadały głosy.

— Serwus! — raz jeszcze odkrzyknął sztubak i ruszył dalej. Szedł od grupy do grupy, od garści do garści, przystawał, ściskał dłonie, kłaniał się zniszczoną czapką i rzucał z uśmiechem krótkie i stanowcze słowa dowódcy.

— Za pięć minut!

— Za pięć minut!

— Dobrze!...

— Gotowe! — odpowiadano ze wszystkich stron.

I rozkaz przebiegał coraz dalej i dalej, i wzniecał zapał i ogień gromu, szedł, jak idzie piorun przez chmury nocne, zanim spadnie na ziemię, uderzy, zapali i zniszczy.

Murarz spojrzał na zegarek.

— Już czas! — wyszeptał do obecnych — Maryś, daj sztandar!

Wyjęła z pod fartucha zwinięty na drzewcu krwawy znak... Podano dwie laski, mające na końcach gwint, wkręcono je razem pionowo; cała chorągiew była gotowa. Zeszli na środek ulicy i stanęli kupką — wnet poczęli szybko nadciągać robociarze gromadkami; jedna za drugą.

Rubinowo-złoty ptak błysnął w słońcu, jak złowrogi orzeł rozpostarł skrzydła olbrzymie.

A za nim, jak na komendę, drugi, trzeci, czwarty, dwudziesty.

Białe z czarnemi gwiazdami i krwawym szlakiem, czarne z emblematami śmierci i purpurowo złote. Odkryły się głowy; tłum począł nadciągać bez przestanku, wzrastał, powiększał się, zawsze milczący, zawsze jednako surowy i majestatyczny, jak gdyby istotnie śmierć unosiła się nad głowami zebranych, jak gdyby się same pootwierały groby na przyjęcie umarłych, lub na oddanie już

dawno spróchniałych kości, by prochy sprawowały sąd nad żywymi. Wkrótce tłum wzrósł do kilkunastu tysięcy i napływał nieustannie nowemi falami, jak do morza płyną świeże wody, zalewał ulice od brzegu do brzegu, od muru do muru żywą masą. Zapanował ścisk okropny; trudno było się obrócić, schwycić piersiami powietrze lub poruszyć swobodnie ręce; ramię dotykało ramienia, serce tłukło przy sercu, pierś uciskała pierś. Kobiety wynędzniałe, chude, suche, jak szczapy spróchniałego drzewa, okryte siwizną, z zapadniętemi w siny dół oczyma, ubrane w najpodiejszy kreton i płótno wysortowanego gatunku. Dziewczyny młode, prawie dzieci, o pogaszonych źrenicach, jak zuzle, i wymokłej cerze, jak nędzne śledzie, moczone w zgniłej wodzie całemi miesiącami. Byli i starcy o siwych włosach lub wyłysiałych czaszkach; żółto brudne, obrzydliwe, walające się po śmietnikach kości — nieużytki wyssane z wszystkich energji życiowych. Mężczyźni w sile wieku, w kwiecie lat, a już zgrzybiali, niedołęgi, wyniszczone pracą postacie z zapadłemi piersiami, jak wieko starej, rozbitej trumny; automaty przechowujące okruszynę życia w szatańsko wygiętych grzbietach. Wyrostki i dzieci przed przyjściem na świat skazane już na przedwczesną agonję i suchoty, podlotki przeznaczone systemem gospodarczym do wcale nie tajemniczych przybytków nowego babilonu, zakały przyzwoitego człowieka,

domów rozpusty, gdzie rublem płacą za zdeptanie duszy i ciała, gdzie napiwkami policzkują srebrną gołębicę miłości. Skupiali się razem, bez odrazy i wstrętu, bez nienawiści wzajemnej, zespalali się, tworząc jedno ogromnie wielkie ciało nędznego olbrzyma. Na przestrzeni kilkudziesięciu metrów głowy i ramiona sprawiały wrażenie strasznej fali, mieszczącej pod powierzchnią powłoką uśpione potwory.

Z góry płynęły oślepiające, jasne promienie majowego światła, kąpało subtelną niewinnością słońce potężne sztandary, kołyszące się leniwie na cichem, spokojnem powietrzu, niby senne orły zawisłe nad ziemią. Blaski srebrzystego oświetlenia łamały się na ciemnej purpurze chorągwi i jeszcze ciemniejszemi odcieniami krwi padały na szarą falę głów zebranych. Z południa powiał lekki i wonny wiatr, załopotał końcami rozwiniętych znaków buntu. Tłum był nieruchomy, poważny, groźny, jak straszny i sprawiedliwy sędzia ludzkich win, występków, oszustw i hańb i zbrodni; skupiony w sobie, zasłuchany w łagodny powiew wiatru, który przynosił skądś modlitwę i pocieszenie wytrwania, cudny kwiat ulżenia bólu i łez, anielski miód błogosławieństwa, więc motłoch stał i modlił się w głębinach swojej nieoświeconej duszy, spowiadał się z pragnień uroczystych, wywnętrzał sam przed swojem nieuchwytnem, dziwnem *ja* najgorętsze róże tęsknoty, najpłomienniejsze kule

ogniste umęczonych napadów, cierniowe kolce szlochania biednej niemocy, krwawo rozkwitłe pąki jęków ludzi opuszczonych, wydanych na łup dzikich zwierząt, tępe strzały zamiarów, niemogących narodzić się w słodki czyn, w liljowe kwiecie... Stań się... — w błękitne spełnienie oczekiwanych samotnie nadziei. Czarne, bronzowe, okopcone wycieńczeniem głodowem twarze płonęły, jak pochodnie, oczy rozpalone oczekiwaniem, roziskrzone emocją, płuca rozszerzone szybkim oddychaniem, wzdęte piersi naprężeniem, piersi w których kołacze się serce, jak gdyby miało wyskoczyć i potoczyć się w rynsztok, jak postrzelony ptak w kałużę, w bagno.

Nagle słońce zajaśniało ogniściej, wiatr głośno zaszumiał pobliskiemi drzewy; mimowolny gwar poszedł po tłumie, jak idzie szum wichru po dojrzałym stepie; zelektryzowało tłum dreszczem ofiary, wstrząsnęło atakiem uniesienia; zadrgało stotysięczne cielsko, i — jak grzmot piorunów, zastraszającym rykiem huknęła pieśń, jeno głuchym echem odpowiedziały mury domów, jeno szyby zajęczały trwogą na całej ulicy, jeno kamienie ugięły się pod nogami motłochu brudnego.

Niech ginie stary, podły świat!...

Zakołysały, zakolebały się rubinowe ptaki i pochód ruszył, jak idzie procesja nowych chrystusów, twórców nowego wyznania wiary.

Na samym czole pochodu biegł mały żydziak; niósł w koszyczku kilka śledzi. Był bez czapki, marynarki, podarte majtki zwieszały się w strzępach, zaszmelcowana kamizelka, spięta gwoździami; przez całe odzienie urągało światu brudne, zżarte wszami ciało, szydziło z całej cywilizacji ziemistym wyglądem. Był ślepy na jedno oko, z drugiego płynęła od dzieciństwa żółta, cuchnąca ropa; na głowie przeświecały zlasowane strupy parchów. Biegł naprzód, potykał się o kamienie, przewracał, ranił sine wargi, a podnosząc się z trudem, rzucał do góry spłowiałą, aksamitną krymkę, krzyczał okrwawionemi usty, wytężał dziecinną gardziel, aż arterje nabrzmiewały na całej szyi.

Niech się zawali, stary cholerny świat!...

Tuż za nim szły na pół pijane ludzkie łachmany; prawie nagie prostytutki. Było ich dwie: jedna wybrakowana, bezzębna, niewiadomo jak stara, wytarzana, jak grochowy wiecheć, utytlana w błocie i końskim gnoju. Szła bez chustki i stanika, w pokoślawionych kapciach; rude, spłowiałe, lepkie kołtuny spadały na suchy grzbiet od lat całych nieczesanym warkoczem. Obwisłe piersi, podobne do zeschłego pęcherza, klapały o suchą, jak deska, klatkę piersiową. Przy niej dziewczę sterane rozpustą, wyduszone chuciami obywateli, zżarte syfilisem, szło w kratkowanej kiecce i bordo

staniku, we wstrętnym kapeluszu, ozdobionym gęsiemi piórami; oko miała podbite pięścią Alfonsa, na opuchłych policzkach ślady żołnierskiego buta. Na kawałku patyka uwiązała strzęp purpurowej poszewki i grożąc tym symbolem głodu, przekleństwa, poniżenia wydziedziczonych ze wszystkiego miljonów ludzi, ryczała ochrypłym, wyuzdanym głosem, nasiąkłym taką goryczą, takim jadem trucizny, że wszystka cnota obywateli, dobrych patryjotów mogłaby się udusić jedyną tylko kroplą.

Niech ginie stary, podły świat!...

I pieśń huczała i szło bezdno nieuctwa, przepaść ciemnoty, otchłań chłostania, piekło łez i męczarni, szedł tłum, jak idzie wyrzut sumienia i udręczenie, oskarżenie wzdęte konających przedostatniem charczeniem, wyrok, niosący potępienie staremu światu, zgrzyt plujący śliną nienawiści w pucołowatą twarz, w bezczelne oblicze bezwstydnej prawdy posiadaczy, zadawał kłam, stwierdzał bezrząd mieszczańskiej sprawiedliwości. Sto tysięcy zaschłych gardzieli wyrzucało z dziką siłą wrogą potęgę, oceany katuszy, wiekowej martymologji, wyostrzone kolce bólów i skarg. Sto tysięcy piersi wyło pragnieniem zdeptania w proch ziemi, dającej im tylko kopanie, znoje i pot i tyranię, chciało wysadzić w potworne powietrze przybytek ucisku, pałac znikczemniałych w zbytkach. Sto tysięcy mózgów

ogarnęło szaleństwo zwątpienia, tortury rozpaczy, skurcze duszenia się własną bezradnością. Dzwonił pod namiotem nieba mrożący szpik w kościach hymn, jak gdyby huczało spienione, wichrem i gromami smagane morze rozhukane, jak gdyby wulkan otworzył czeluście i żygał w niebiosa, w obłoki krzykiem protestu. Pieśń rozsadzała ulicę, gniotła powietrze, dusiła przestrzeń, aż budynki trzeszczały w posadach; biła w chmury, unosiła się pod sklepienia światów, buchała, grzmociła rozsrebrzony błękit, jakby krocie armat waliło śmiertelnym bojem w granice Europy, w osie globu, a pioruny wypowiedziały posłuszeństwo naturze!

Tak szedł, tak śpiewał tłum!

To burzył się wdeptany w błoto, porwany w społeczne kleszcze, wzięty w stalowe kluby, zduszonym narodem otoczony biedny człowiek proletarjatu. Ogień hymnu, żar pieśni podniecał jego siły, rozpruł rany niezgojone, rozszarpał blizny ciągle bolące; każdy kładł w buntownicze dźwięki osobiste sprawy, bolączki indywidualnej niedoli i podłem życiem skarżył się krwawym sztandarom, błagał o opiekę, skamlał o ratunek i żebrał zmiłowania.

— Dlaczego mam parchy i jestem ślepy i ropa mi ciecze?... Dlaczego wszy piją mi krew zepsutą i śmierdzę gorzej, jak te śledzie?... — skarżył się żydziak melodją pieśni.

— Czemu sprzedaję ciało swoje na hańbę i potępienie wieczne? — śpiewały prostytutki.

— Czemu mamy suchoty, nie mając dosyć chleba?... — śpiewały dziesiątki studentów.

— Czemu konamy w ciemnocie zgnilizny?...— wołały całe tłumy.

I wił się po całym obszarze żal niepojęty zmaltretowanej jednostki, rodził się miljard pytań i ciskał miljardem wyrzutów i oskarżeń na wszystkie strony obszernego świata — a wszystko złączone w gigantycznym grzmocie:

Niech ginie stary, podły świat!...
My nowe życie stworzym sami
I nowy zaprowadzim ład!...

Szedł tłum ulicą, jak idzie górski potok po rozpadlinach, groźny i święty gniewem, napełniający przestrachem zahuczane dusze, jak grzmoty i ryki błyskawic w szczerem polu małemu pacholęciu. Wreszcie doszedł do zbiegu dwóch ulic, pragnąc zboczyć — zagrodził mu mur spieszonych dragonów z palcami na cynglach karabinów; umilkła pieśń na ustach i pochód skamieniał. Stanęły naprzeciw siebie dwie potęgi, mierzyły się biciem własnych serc dwie mocarne siły; jedna zgodnie wyćwiczona, pancerna żelazną dyscypliną karabinów, na głos porucznika posyłająca kule — druga... O, obrzydła ironjo okrutnego losu ludzi rozpiętych na krzyżu męczeńsłwa niemocy i stosie bezradności. Druga bezradna, ślepa, głupia, bez

wodza, mająca jeno pieśń i łzy do zapasów, jeno potrafiąca umierać. Spoglądali na siebie ludzie sobie nieznani, a jednak wrogowie nieubłagani i zacięci do upadłego — wspólni bracia nędzarze nienawidzili się instynktownie, dzieci jednakiego nieszczęścia pałali chęcią krwi i wzajemnego, oszustnego zadośćuczynienia za pełzające pędzenie ponurych dni.

Wtem niski, surowy, nieubłagany głos rozległ się w cudownem powietrzu.

— Razajditieś!... Razajditieś, praszu imieniom zakona!... — i metalicznie złoty dźwięk trąbki sygnałowej.

Tłum stał oniemiały, bezprzytomny, śmiertelnie głuchy, jak słup wkopany w ziemię. Nie śmiał się poruszyć w letargu, westchnąć w odrętwieniu, mrugnąć powiekami w tępocie przerażenia; jeno twarze oblane purpurą po spocone czoła i łby obsypane kurzem, jeno szalonym tępem skaczące serca; przez długą, groźną chwilę panowała grobowa cisza i przygnębienie, jakie sprawiają kościotrupy; można było słyszeć przelatującą muchę, niby nieznośnie bzykającego bąka nad uchem szwajcarskiego pielgrzyma, zawieszonem pomiędzy przepaściami. Takie chwile mogą jeno być w ewangielicznych podaniach przedhistorycznych legiend o zatraceniu świata i pogrążeniu w otchłaniach wszelkiego tworu ukochanej natury, gdyż innych, równie okropnych naprężeniem niema i być

nigdy nie może. Czegoś straszniejszego mózg nie wymyśli, pierś nie odczuje i gieniusz nie stworzy. Wtedy zamiast błękitu jest krwawa płachta, zamiast ciepła słonecznego — jest roztopiony ołów; a powietrze — to dym duszący, jak powróz na gardzieli schwytanego psa bez gospodarza i budy.

Nagle z tłumu padło pierwszych kilka strzałów, odgłos niby odkorkowanych butelek szampańskiego wina i... dwóch żołnierzy padło twarzą na bruk...

Wówczas sygnał wojenny i jedno jedyne krótkie słowo:

— Pli!...

Suchy, stalowy chrzęst kurków, trzask zamków karabinowych.

Przez tłum przeszedł wąż śmierci, żmija zniszczenia zatargała wnętrznościami pochodu, który się zmięszał, skłębił, wygiął, złamał i jęknął stokrotnie mrożącym jękiem; to znowuż zbił się w kupę, szukając ucieczki, ratunku przed łapami ostatniej godziny. Spiętrzał się, tłoczył, upadał, deptał siebie samego niesfornie, tulił się do ścian, bruków, latarni, okien piwniczych — słowem w każdej najmniejszej dziurze widział dobroczynne łono ocalenia, tarczę opatrzności przed wiecznym mrokiem zimna, przed gniciem cielska w cieniach grobu, przed mogilną zgnilizną. Z pośród tego piekielnego zamięszania, wrzasku, krzyku, jęków, charczenia konających, przekleństw duszonych tłokiem, błagań deptanych żywcem, tego chaosu,

w którym ludziom gnieciono żebra i czaszki, wyciskano łokciami oczy; z pośród tej haniebnej, podłej ucieczki — jeno kiedy niekiedy odpowiadano pojedyńczemi strzałami, niby protestem przeciw tchórzostwu o bydlęce życie.

A spokojny, zimny, równy, bosko miarowy trzask karabinów nie przestawał zgrzytać.

Murarz, ojciec Jacha, mając u stóp zdeptanego trupa żony, oparł się łokciem o żelazny słupek jakiejś bramy i dzierżąc jedną garścią ołowiem poraniony sztandar, drugą, z zaciśniętemi szczęki, z ponurem spojrzeniem, posyłał kulę jedną po drugiej do żołnierzy; gdy wystrzelał jeden magazyn, tedy cały browning rzucał w tym samym kierunku, a natychmiast wydobywał z za pasa nowe narzędzie śmierci, i z rajskim spokojem strzelał dalej. Dojrzał oficera... oparł rękę na drzewcu sztandaru, zmierzył, wypalił:

Paf!...

Oficer, ugodzony w same usta, padł trupem.

W tej samej chwili jakiś ogromny dragon, torując drogę szablą, dotarł do murarza i jednym zamachem rozpłatał mu czaszkę do ramion, aż okrwawiony mózg prysnął żołnierzowi na twarz i piersi. A jeszcze potem, cała długa, nieskończenie długa godzina miarowych, olimpijsko spokojnych zgrzytów i wstrętne charczenie, rzężenie niedobitych ciał, przeplatane nędznym wyciem modlitwy poranionych.

W takim to dniu Jachu utracił ojca i matkę, których trupy rzucono w niepoświęcony grób, bo nie było nikogo, by zajął się pogrzebem. Ktoby się troszczył o marne stworzenia, pospolite istoty; były dwa robaki — zdeptano je, zgaszono, jak świecę i zupełnie jakby nigdy nie chodziły po cudownej ziemi, nie oddawały krwawicy na korzyść ludzkości. Został się sam tylko Jachu... taka sobie zwykła, pospolita historja, konieczność nie warta, by z niej robić tragedję; zupełne naturalne następstwa zapadłego faktu. Za dług mieszkaniowy patrjotyczny obywatel sprzedał rupieci murarza, jedyne dziedzictwo Jacha, który pozostał na bruku, bez chleba, dachu, opieki i ciepła rodzinnego — dola, jakich tysiące w każdem wielkiem mieście. Tułał się, jak oślepły pies, jadał zgniłe owoce, zbłocony, wygrzebany na śmietniku chleb, odbierał psom wywleczone ze wszystkich kątów kości, ogryzał je i tak się żywił. Czasami ukradł jakiś gałgan, za który żyd dawał mu bułkę lub kawałek chały. Tak trwało kilka miesięcy, aż póki chłopak nie zachorował. Będąc chorym, położył się w jednej z komórek i leżał kilka dni, jak bez duszy. Nikt o nim nie wiedział, nie przyszedł z kroplą wody, by ugasić spieczony język i pragnienie, chłopak się modlił ze wszystkich sił duszy dziecięcej i serca sierocego, lecz to nic nie skutkowało; wzywał ojca, matkę, znajomych żywych i umarłych — odpowiadało mu tylko echo

jego własnym skomlącym się jękiem. Przez kilkanaście dni łazarzowych i nocy przeokropnych, na podstawie swego doświadczenia zrozumiał, że niema żadnych sił nadprzyrodzonych, mogących wspierać człeka w czarnych jego dniach, w momentach opuszczenia fizycznych sił — zrozumiał, że jednostka wydana na łup okrutnych losów, może miljon razy skonać, zgnić, rozsypać się w proch, a żaden duch nie zjawi się na pomoc i otarcie łez męczeńskich. Wreszcie po długich cierpieniach — wyzdrowiał i stał się prawie dojrzałym człowiekiem; nie miał już złud chłopięcych i marzeń dziecka; wiedział, że chcąc żyć — trzeba samemu sobie wystarczyć. Życie opuszczonego wypaliło na nim swe hartowne piętno. Patrzał na świat możliwie najzimniej i stworzył sobie specyficznie własną logikę sądów i ujmowania rzeczy. Doszedł do pojęcia pracy drogą następnego rozumowania: «chcę jeść!..« Aby się najeść — potrzeba mieć chleb albo co innego; aby mieć chleb, potrzebne są pieniądze, aby go kupić; aby je mieć — trzeba pracować. A ponieważ będąc zbyt małym i słabym, nie mógł dostać znikąd pracy, zatem pewnego dnia zawarł z Maciejową mniej więcej taką umowę.

— Maciejowa niema dzieci, niema nikogo do pomocy, a sama wózek musi ciągnąć. Oto więc ja proponuję tak: za ciągnięcie na rynek codziennie wózka, będę mógł spać w Maciejowej ko-

mórce, a jak co innego zrobię, to mi Maciejowa da co zjeść... dobrze?...

— Dobrze, ale ty jesteś za mądry, za same ciągnienie wózka chcesz spać, to jest mieć mieszkanie, a ja za komórkę płacę gospodarzowi dwa ruble miesięcznie, nie, mój kochany, to za drogo. Ty jesteś mądry, ale ja też nie taka głupia.

— Zaraz policzymy. Ile Maciejowa płaci za ciągnienie wózka?...

— Nic nie płacę, bo sama ciągnę.

— A jakby Maciejowej kto kazał ciągnąć, to ile Maciejowa by chciała?...

— Głupi jesteś, mój mądralo.

— To wcale nie jest powiedzenie. Zresztą, jak nie, to nie, komu innemu będę robił, skoro Maciejowa nie chce.

— Owszem, ja chcę, jeno ty ciągniesz ze mnie skórę. Przyniesiesz codziennie dwa kubły wody do tego.

— Nie głupim robić komu za darmo. Jeżeli się Maciejowej podoba, to dobrze... a nie — to drugie dobrze. Może Maciejowa sama sobie ciągnąć.

Po pewnym czasie przekupka przystała i chłopak zapewnił sobie dach i jakie takie pożywienie. Obecnie, zbudzony ze snu uderzeniem w pysk, czuł się niezmiernie pokrzywdzony; obmywał sobie twarz ze krwi i nie przestawał mruczeć.

— Psiakrew, ale ma łapę ciężką, jak kamienie... Jak to głupio jest na świecie urządzone; wysługuj się drugiemu, pracuj ile możesz, rób co każą, to oni jeszcze myślą, że łaskę ci robią, że z łaski płacą za robotę i że z łaski biją człowieka. Po co to się nie ma pazurów, by drapać tego, kto wyrządza niesprawiedliwość, dlaczego ludzie nie są jednakowo mocni, jeno silniejszy słabszego bije w mordę, aż miło. Człowiek jak jest słaby, nie mocny — to kto tylko nie chce, to go nie wygrzmoci na wszystkie strony i sposoby. Żebym ja był mocny — dałbym babie w pysk, aż by się nogami nakryła; potrzebny jestem rano, niech mnie budzi, jak sam nie mogę wstać, ale bić nie wolno... Uch, czekaj, babo, czekajcie wszyscy, co robicie krzywdy, niechno ja dorosnę, niechno będę duży — już ja wam się odwdzięczę, za wszystko zapłacę, wszystko popamiętam każdemu, uch, choroba, wszystko popamiętam!

— Jachu!... — przerwała monolog Maciejowa — kończ-że tam swoje prześliczne mycie. Przecież do biura, ani na zaloty nie pójdziesz.

— Jeszcze mi krew nie ustała lecieć — odparł ponuro i czerpał wodę garstką, obmywał twarz i wciągał zimny płyn nosem, aż się ksztusił i kaszlał.

Dzień stał się zupełny; wesołe, jasne słońce wtoczyło się dość wysoko na horyzont i spoglądało rozpromienionym wzrokiem na orzeźwione

rosą błękitnawe powietrze ranka. Prześliczny, kochany lazur nieba, jak twarz bez troski i posępnego zmartwienia, uśmiechał się do ziemi, jak śmieje się rozlana w naturze radość na widok zbliżającego się szczęścia nieskalanej duszy, jedynej chwili wonnego pieśniami słodkiego wniebowzięcia, ekstazy połączenia z nieśmiertelnem uczuciem wszechrzeczy. Słyszało się tylko coraz rozgłośniejszy pacierz ranny stworzenia, coraz pełniej, harmonijniej śpiewające ptaki w sąsiednim parku; pierś wdychała unoszącą się balsamiczną woń akacji i subtelny aromat kwitnących kasztanów. Szczęście i przyroda wyszlachetnia ludzkie serce i czyni je rozmarzonem dzieckiem. W tym świeżym ranku było coś nieuchwytnego, coś mistycznego; wzrok mimowoli biegł ku liljowym firmamentom, jak srebrny ptak tonął w bezbrzeżnej toni przestrzeni i szukał kogoś, zwoływał uroczyście kogoś, by składać kadzidło dzięków i cześć błogosławieństwa za noc spędzoną w spokoju, za ucztę wypoczynku, za umiłowany poranek, za jasność wiekuistą słońca, prostotę dziewiczą niebiosów, niebo bez skarg; za woń drzew kwietnych i roślin w pąkach, za rosę srebrnośpiewną ziemi, za świergotanie, radosne rozhowory ptaków; za cały nigdy nieprzerwany blask i wspaniałość królewską życia. Ginęły źrenice w spokojnym błękicie, jak ginie kamień rzucony w bezdenną pierś oceanu.

Nad domami, od czasu do czasu, można było widzieć gromadkę białych gołębi, wiosłujących srebrnemi wiosłami po świetlistem morzu; gdy zwracały błyszczące przody przeciw promieniom, tedy łamało się światło i w przestrzeni migały brylanty, grały kolory bezcennych barw, jak gra tęcza nad polskim, melancholijnym borem. Czując wszystkiemi tajnikami ducha to majestatyczne piękno — błogość, jak irys mistyczny wykwita w piersi, powstaje ślepe, oniemiałe upojenie całej istoty, rozradza się miłość i pieszczota niezbrukana, obmywająca z ziemskiego pyłu myśl; krzepi ją, umacnia, uczy żyć, pragnąć, miłować potęgą olbrzymów, nienawidzieć i przeklinać ze wszystkiej głębi nie przekupczonej jaźni.

Jach około studni ukończył mycie, obtarł się brudną kapotą i poszedł do suteryny, skąd Maciejowa, w przerwie pomiędzy zdrowaśkami, wołała nań najrozmaitszemi epitetami i przekleństwem. Dała mu czternaście groszy, by przyniósł pół funta kiszki; wychodząc z ciemnej sieni, potknął się.

— Cholera jasna!... — krzyknął.

Ze starej, zdartej deski wbiła mu się drzazga w podeszwę na pół cala głęboko. Oparł się plecami o ścianę i przymykając z ogromnego bólu zbielałe oczy, blady, jak ściana, syczał przez szalenie zaciśnięte zęby, jak syczy kropla wody, rzucona na rozpaloną blachę.

— Trzeba wyjąć, bo nie będę mógł chodzić — wyszeptał po chwili, gdy oślepienie minęło.

Usiadł na progu, nogę podniósł możliwie wysoko, przyjrzał się rozoranej skórze i ciału, nacisnął w jednem miejscu, zasyczał, zgrzytnął zębami i chwycił palcami wystające drzewo... szarpnął, ale puścił, bo poczuł mdłości... dopiero później zebrał całą odwagę i pociągnął gwałtownie — wyszła, ale mu czarne gwiazdy zasłoniły oczy i same łzy pociekły. Odpoczął nieco, wyssał krew, i kulejąc, poszedł do masarni.

— Dzień dobry, panie rzeźnik — wyrzekł do tęgiego masarza w śnieżnej białości kaftanie i takimże fartuchu.

— No, jak się chowasz, zuchu?... Co u ciebie słychać?...

— Żyję nienajgorzej... jak ten, co nic niema, a zatem nie może być ograbionym.

— Powinieneś być filozofem.

— Tak pan radzi?... A co to jest filozofja?...

— To, widzisz, taka nauka, co uczy dobrze kłamać i z tego kłamstwa robi prawdę i naodwrót; uczy ludzi oszukiwać, ale tak, żeby nie być złapanym.

— To pan ucząc się skrobać świnie, uczył się pan filozofji, bo wszyscy ludzie skarżą się, że pan oszukuje ich na wadze, a oni nie mogą pana złapać, jak pan przyciska rękę wagą. Teraz rozumiem, czemu pan taki cwaniak. Proszę pół funta

kiszki, jeno aby nie była sposobem filozoficznym ważona, bo to odbije się na moim grzbiecie, a ja nie filozof, więc nie mogę uniknąć bicia i ciężaru rąk Maciejowej.

— Kiszek jeszcze w sklepie niema, zaraz chłopak przyniesie, usiądź sobie tymczasem.

— Pięknie dziękuję, nie mam czasu, postoję.

— Spieszy ci się to, co?...

— Natiurjalnie, jędza Maciejowa będzie mruczeć, jak objedzony kozioł.

— No to poczekaj i popilnuj sklepu, pójdę do warsztatu — poostrzył nóż na stalce i wyszedł.

Jachu pozostał sam, przez jakiś czas stał spokojny i bezmyślny, jeno głupkowatem spojrzeniem wodził po sklepie. Naraz oko padło na świeże serdelki; źrenice zapłonęły i usta zakwitły bladym uśmiechem rozkoszy. Śliny napłynęły do ust, coś go ścisnęło wewnątrz — poczuł głód; niepohamowany, ostry głód wycieńczonego kilkudniowym postem wilka. Miał takie pragnienie jedzenia, chęć nasycenia się świeżem mięsem, nie kosztowanem od niepamiętnych czasów, że zapomniał już, jaki ono miało smak; a miłe, drogie, kochane serdelki wabiły go z nieprzepartą mocą. Czuł poprostu jakieś napięcie w nim siły fizycznej, prącej go do rumianych kiełbasek; ciągle pusty żołądek począł brutalnie dopominać się swoich praw, zwierzę krzyczało ślepym głosem ko-

nieczności o paszę. Przecież od trzech lat, od czasu zastrzelenia ojca i matki, nie zdarzył się jeden błogosławiony dzień, w którymby mu nie kurczyło wnętrzności, nie ściągało żołądka, jak krawiec fałdy na nitkę, nie mdliło pożądanie pokarmu. Jedzenie!... Jedzenie!.. Jedzenie, o słodkie wspomnienie kawałka chleba, o świętości wszystkiego nieba i nieskończonej ziemi, o sny i marzenia, o upojenie na sam dźwięk tego imienia — jedynie można być szczęśliwym, gdy się nie jest krajanym przez głód, jak pokaleczonym tępym nożem. Dla Jacha było błękitną złudą raju nieukojonej tęsknoty, by chociaż raz, od tak dawna najeść się do syta, jak należy, przyzwoicie, jak to czynią codziennie setki ludzi, byłby szczęśliwy nad pojęcia, ponad wyobrażenia zwykłych śmiertelników, byłby upojonym ponad wszystko nieprzeczuwane, co nie może być objęte drgnieniami rozszerzonej duszy, wyzłocone dziecinnemi baśniami. Gdy podczas lata, po zachodzie słońca, lub zmroku, schodzili się zamorusani ulicznicy, obdarte i rozbestwione dzieci powiśla, tedy po kąpieli siadano, by opowiadać w dobranem kółku przygody dnia. W opowiadaniach chłopaków byli rycerze i głupcy, tchórze i królowie, bohaterzy i idjoci, nieszczęśliwi i mędrcy, szubrawcy i niedołędzy, a największą nagrodą za niebosiężne czyny, był suto i ślicznie zastawiony przysmakami stół; przysmaki przyrządzone tajemniczą siłą podziemnych gieniu-

szów dla wybrańców losu, fortuny i błogosławionego przypadku. Zgłodniali obdartusi ściągali sobie postronkami brzuchy i z roziskrzonem okiem wpijali się imaginacją w luksusowe uczty, opowiadane przytłumionym głosem nad z cicha szemrzącą Wisłą. Wszystko to obecnie stanęło przed duszą Jacha w subtelnych barwach; żadne łamanie się światła nie zdoła nigdy wytworzyć takich anielskich odcieni tęczowych, jakie stwarza i pod suwa człowiekowi zwyczajny głód, pokazując mu czarną skórkę chleba. Jedynie ten, który po kilka dni z rzędu nie miał nic, prócz zimnej wody w ustach, potrafi odczuć i zrozumieć żywiołową potęgę uczucia czczości. To nieznośne, bolesne uczucie, jak gdyby pijawka lub robak przypiął się do wątroby i wysysał krew, podczas gdy wszystkie muskuły utracając gibkość, mdleją z osłabienia. Kto nie miał dachu nad głową, kto noce spędzał na płytach chodnika, płoszony przez stróżów lub stójkowych, kto musiał przez całe godziny w słotę lub mrozy chodzić szybko po ulicach — ten zna, co to jest głód i co to jest społeczeństwo, co prawo własności i wiekami wyrobione poczucie etyki; ten poznał, że najokrutniejszy ze wszystkich zwierząt — to cywilizowany, dzisiejszy człowiek. Australijski lub południowo afrykański murzyn, na najniższym szczeblu rozwoju, nie czyni krzywdy i nie gnębi swego współobywatela dlatego, że cierpienie tamtego wywo-

łuje w nim wyrzuty sumienia, zdolne uśmiercić najpotężniejszego wojownika. W spółczesnych jednostkach i gromadach społecznych sumieniem jest opinja, a zgryzoty i wyrzuty — to obawa, by nie zostać wytkniętym palcem lub wskazanym źrenicą przez więcej sprytnych graczy życia. Pojęcie wartości, tężyzny moralnej jakiejś jednostki dziś jest prawdziwe jedynie u dzikiego ludożercy, tak pogardzonego przez europejczyków. Polega ono na tem, by czuć swoją godność przez samego siebie, bez względu na to, jakie są mniemania ogółu, choćby się przeciwstawić całemu światu i wszelkim uznawanym wartościom; albowiem kto szuka uznania, poklasku u drugich — tem samem stwierdza swoje moralne zero, swoją pustkę i bezwartościowe nic. Słońce nie potrzebuje świecy, piorun wystrzału, choćby armatniego, a orzeł skrzydeł nędznej kwoki, by utonąć w chmurach!...

Jachem miotały najrozmaitsze uczucia, a właściciel masarni nie wracał, jak na złość, jak na przekleństwo chłopaka, pragnącego jeść. To jedyne uczucie zapanowało wyłącznie i niepodzielnie nad całem jestestwem, opanowało całą duszę, kierowało wolą w jednym kierunku — nasycić się, ach, nasycić się. O smaczne, o pulchne, o dobre, świeże serdelki!... Daremnie począł sobie przypominać, kiedy równie coś smacznego jadł... Naiwna myśl biegła i biegła i w rezultacie gubiła się

w dniach dawno zapadłych, w przeszłej otchłani, nie mogła doszukać się takiej godziny, tak niezapomnianej chwili miłego ciepła w członkach. Od trzech lat, od wiecznie długich trzech lat ssał z głodu wargi blade i zagryzając do krwi język, wdychał zapach, wydobywający się z piwniczych okien hotelowej kuchni. Przypomniał sobie, że wczoraj rano wyciągnął ze śmietniska kilka napół ugotowanych kartofli, obmył pod wodociągiem, i krztusząc się ze wstrętu, zjadł... i oto, od tego pożywienia nic jeszcze nie włożył do ust. Tak długo, tak długo... tak długo czuć słabość zamglenia oczów, zawrót na przodzie, a uderzenia pałką w tyle głowy.

Przybliżył się do kontuaru... poruszył ręką.

Załumotało biedne serce, jak w piersi zmęczonego ptaka, coś się rozparło pod żebrami i szło do klatki piersiowej powoli, powoli i niezmiernie boleśnie, jak gdyby na pal wbijano bez okruszyny miłosierdzia; skurcz zdusił gardziel, nie pozwalając oddychać. Jak u człowieka, umierającego na szubienicy, robią gwałtownie boki, a twarz staje się niemal siną, jak u tego, co dusi się jabłkiem inkwizycji; jakiś przeklęty, rakarski duch wbił żelazną kulę w przewód pokarmowy i jeszcze się szydersko śmieje. Ziemiste policzki nabrzmiały i powlokły się zielonością, a oczy rozszerzone płomieniem patrzą w serdelki. Jach niejednokrotnie kradł, by jako tako nasycić się i nie umrzeć

z głodu, kradł najczęściej bułki i owoce żydówce z koszyka, lecz każda kradzież przychodziła mu z największym wysiłkiem woli i to, gdy głód tak przypierał, iż nie można było wytrzymać.

Zanim rękę wyciągnął, budził się w nim jakiś nieświadomy pierwiastek, uczący tysiącami lat człowieka szanować cudzą pracę i trud i znoje; coś niby wstyd i niby bojaźń przed sofizmatycznie zbudowanem prawem własności i egoistycznie pojmowaną użytecznością każdej rzeczy, powstawało w nim za każdym razem, wzrastał lękliwy szept, pytający sposobem tak cichym i jakoś dziwnym, jak gdyby kłuto szpilkami w każdym nerwie, skurczonym z bólu.

— Dlaczego kradniesz?... Dlaczego nie poprosisz?...

A głód odpowiadał zaledwie dosłyszalnie.

— Proszący dostaje raz, drugi, a następnie, zostaje wyrzuconym za drzwi bez najmniejszej ceremonji!...

— Dlaczego kradniesz?... — pytał głos uparcie.

— Bo chcę żyć! — odpowiadał głód hardo — bronię się przed śmiercią, a każdy ma przyrodzone prawo obrony.

— Kradzież nie przestaje być niszczeniem dobra ogółu!...

— Niech ono mi da sposób pomnażania tego dobra, to nie będę go niszczył... Dwa są bieguny życia — dorobek lub niszczenie... pośredniej skali

niema. Ludzie stoją niszczeniem, a podpierają się pośredniem okradaniem słabszych!...

Ilekroć był zmuszonym do kradzieży, myślał tylko o produktach spożywczych, kradzież dla pieniędzy nie przychodziła mu nigdy na myśl, był głodny, więc brał to, co potrzebne jest do utrzymania swego gatunku. Bez analitycznych dociekań brał pokarm stamtąd, skąd go najłatwiej można było dostać. Jedynie instynkt wiecznej, człowieczej prawdy burzył się w nim i protestował przeciw konieczności, przeciw sposobowi przywłaszczania sobie tego, co powinno być pożytkiem dla każdego, kto został powołanym do życia. Jest zawsze i wszędzie i po wszystkie wieki, aż do nieskończonych czasów, jedno święte, obowiązujące każdego prawo — prawo pracy, życia i śmierci Ono musi zwyciężyć, zdruzgotać sztucznie wytworzone zapory i zajaśnieć w oślepiającym blasku nad wszystką ziemią, na każdem miejscu, gdzie stanie ludzka stopa, gdzie pada rosa, a słońce ją promieniami zamienia w brylanty.

A masarz nie powracał, Jach stał oparty, z wyciągniętą ręką, i płonął chęcią zaspokojenia wzbudzonej w organizmie zmory, nic nie pamiętał, o niczem nie myślał, czuł jeno swój głód i widział serdelki — pozatem świat i ludzie zapadli się, zginęli gdzieś w czeluściach nieistności, zostali wymazani czarną ręką zapomnienia z jego świadomej pamięci, jak dla umarłego. Potem gwałtownie.

boleśniejsze ssanie za wątrobę, bezwiedne poruszenie ręką i kilka serdelków spoczywa już w palcach zakrzywionych, jak szpony... automatyczny ruch do ust i szczęki poczynają błogą pracę żucia.

W drzwiach stanął masarz... bystrem spojrzeniem dojrzał kradzież... jednym skokiem był już przy chłopaku; błyskawicznym ruchem wydarł mu serdelki, drugą zaś ręką, zwiniętą w kułak, grzmotnął go w same usta z taką siłą, że wybił mu zęby i rozciął wargi; później porwał za kołnierz i wyrzucił na ulicę.

Jach będąc za drzwiami, czując ciepło na brodzie i w ustach kawałki zębów, pomięszane z niepołkniętem mięsem, dopiero oprzytomniał i zdał sobie sprawę z ubiegłej chwili. Był tak zgłodniały, że w chwili uderzenia nie czuł najmniejszego bólu, osłupienie moralne i fizyczne stłumiło wszystko na razie.

— Oj, rety!... przecież on mi wszystkie zęby wybił do cna!... — błysnęła myśl w głowie.

Żal na to wspomnienie ścisnął serce, jak obcęgami, a ból okropny wycisnął dwie strugi łez, które spływając po twarzy zmięszały się z krwią. Podniósł rękę do ust i począł ostrożnie wyjmować ułamki zębów, oblepionych mięsem i krwią. Za każdym razem urażał rozcięte wargi i pokaleczone dziąsła, i jęcząc, dusił się straszną goryczą ludzi wydanych na pastwę przemocy.

— Jachu, psiawiaro! — huknęła z tyłu Maciejowa — gdzie kiszka?...

Odwrócił się i chciał coś odpowiedzieć, lecz za poruszeniem warg, zasyczał gadzinowym pomrukiem i wykrzywiając straszliwie twarz, spojrzał na nią bezgranicznym bólem i okrwawionym palcem wskazał w drzwiach stojącego rzeźnika, który nie czekając zapytania, pośpieszył z objaśnieniem.

— Ukradł mi serdelki, więc odebrałem i dałem mu w pysk na pamiątkę, że kraść nie wolno!...

Jachu podniósł palec do góry na znak, że zjadł jeden serdelek.

— Słychane to rzeczy, żeby tak katować sierotę za głupi serdelek!... Toć to nie trzeba mieć Boga w sercu ani za grosz!... Lachudra jakiś!... — wyrzekła oburzona.

— Wszystko jedno, jeden nie jeden, a kraść nie powinien, bo to nie wolno; niech zgnije, a ruszyć nie wolno cudzego. Może miałem się z nim pieścić dlatego, że sierota, albo do Maciejowej iść na skargę, co?... Niema głupich, każden skrzeczy o swoje rzeczy!...

Maciejowa nic nie odrzekła, pokiwała jeno głową z ubolewaniem i przybliżywszy się do chłopca, gładziła mu włosy w milczeniu. Na dnie duszy gderliwej przekupki zbudziło się miłosierdzie i uczucie kobiecości, dotychczas przywalone pospolitą troską o byt egoistyczny. Pod wpływem

litości odżyły w niej wspomnienia o własnych dzieciach, spoczywających na cmentarzu pod spłakanemi brzozy i zieloną darnią. Ona je miała, nosiła je pod wątrobą i złożyła dla nich wszystko na ołtarzu poświęcenia, i ślepie wydarłaby temu żywcem, ktoby im krzywdę jaką wyrządził, krajałaby pasy, polewając octem. O, matuchno boża, panienko najświętsza, niezbadane są losy człowieka; a przecież ona mogłaby umrzeć, ostawić sieroty, odejść kochanych robaków i tak samo, jak oto nad tym sierotą, ludziska otrząsaliby swoje długie łapy. I wezbrało serce współczuciem dla niedoli dziecięcej, stopniała obojętność, ustępując miejsca uczuciu dobrego człowieka, rozgorzała w nieuczonej, prostej piersi miłość macierzyńska; więc pochyliła się nad Jachem, tuliła go do łona, gładziła po policzkach, koiła mu ból przedwczesny i roniąc niekiedy duże łzy, szeptała:

— Cichaj, Jasiu, chaj, chaj, cichaj, Jasiu, cichaj!...

A chłopak, czując dłoń ciepłą na głowie i bratnią duszę, zsunął się jej do kolan, objął jej nogi w uścisk sierocy, skrył twarz w brudnych sukienkach i zawołał:

— Dlaczego ja niemam matki, dlaczego ja niemam ojca, dlaczego mnie każdy bije???...

I wstrząsnęła nim boleść istoty bezdomnej, zagrał żal do życia i zaryczał takim szlochem, takim nabrzmiałym jękiem, taką falą nędzy i skargi,

aż mu w piersiach targaty się płuca na strzępy. A przekupka trzęsła się i płakała z nim razem nad jego cichem osamotnieniem.

— Cichaj... cichaj... cichaj, Jasiu — uspakajała — cichaj, jeszcze wyrosną zęby... wyrosną, i wszystko się zagoi... zgoi się wszystko, zgoi...

Naraz chłopak zerwał się, jak sparzony ogniem, wyprostował skurczony grzbiet, a oczy rzuciły błyskawice okropnego gniewu i zemsty; jak wściekły, skoczył do drzwi masarni, pchnął je gwałtownie i stając na progu, wybełkotał pokaleczonemi usty.

— Żeby tam nie wiem co, zabiję cię!... — i pogroził małą pięścią rzeźnikowi.

Od tego dnia dola Jacha poprawiła się znacznie; poczynało wschodzić słońce przyjaźni ludzkiej w jego pochmurnym przeznaczeniu. Jakkolwiek brak mu było najzwyczajniejszych warunków, niezbędnych do życia, jednakże nie potrzebował już więcej uciekać się do kradzieży pokarmów, ani żadnej rzeczy, która jego jest — jak mówi mądrość przykazań mojżeszowych. Nie czuł już tak twardej doli, wyrzuconej poza nawias jednostki, a znajdując się pomiędzy gromadą chrześcijan, nie sypiał w komórce, nie wyciągał z rynsztoka odpadków pożywienia; słowem zaznał względów wszechpotężnej pani, której na imię — protekcja. O, ty, błazeńsko-szydercza blago świata, zrobiono z ciebie hostję obowiązku dla pospoli-

tych, mazgajowatych durniów i wygodny parawan mieszczaństwa. O, ty, pobożna i zbożna »praco społeczna«, tobą łatają hańbę swych dusz, zgniliznę przysypują kwiatami miłosierdzia i wielbić każą w tym bluźnierczym czynie błękitną lilję uczucia człowieka.

W przekupce egoizm macierzyński wziął górę nad egoizmem zwierzęcia, przygarnęła chłopca całkowicie do siebie, poczęła się nim zajmować, jak człowiekiem, a nie porzuconem pod parkanem szczenięciem. Kupiła mu ubranko za dwanaście złotych, nie biła do krwi, nie budziła do pracy przed świtem, udzielała najlepszych kąsków, a nawet, gdy dzień targowy dobrze poszedł, przynosiła groszowe makagigi i tym podobne łakocie. Jach okazał się godnym zaufania i za przywiązanie płacił przywiązaniem, za troskę troską i za miłość miłością; o ile jej dawniej nienawidził i życzył wszystkiego złego z całej duszy, to teraz pokochał ją i służył wiernością psa; gdy zmęczona wracała z miasta, patrzał z niepokojem na nią i chodził na palcach, wykonywał polecenia z punktualnością, dobrze chodzącego zegarka, uprzedzał zamiary zanim one zostały wypowiedziane — słowem, stał się wprost nie do zastąpienia, nieodzownym w mechanizmie życia Maciejowej, był jej prawą ręką, a niekiedy i głową.

Jednocześnie cały dom chwytał się za głowę, tak był zdziwiony nagłemi i potężnemi zmianami,

jakie zaszły w charakterze ulicznika, nie można było poznać byłego Jacha, cała natura przeobraziła się w nim w najwyższym stopniu, jakby jakiś nowy, dobroczynny duch wstąpił mu w piersi i płomiennem tchnieniem zrodził zupełnie odmienną od poprzedniej duszę, stworzył nowe serce, nowy mózg i sposób myślenia. Nowa osobowość powstała w nim, jak powstają po deszczu nowe grzyby. Dawniej swawolił, wywracał koziołki, płatał figle, śmiał się, dowcipkował na każdym kroku, wyszydzał wszystko i wszystkich tym specyficznym, oryginalnym dowcipem warszawskich łobuziaków; wszystko wysmagał gorzkiemi żartami, wszędzie wygrzmocił kolegów, dawał się we znaki każdemu, począwszy od stróża, a kończąc na panu komisarzu, na którego rozkaz niejednokrotnie w cyrkule odbierał przyzwoite rózgi — nic nie pomagało. Obecnie, Walenty, cerber podwórzowy, często przechodząc koło niego dowcipkował:

— Widzisz, psi narodzie, ale cię rzeźnik usadził!...

— Tak myślicie?...— pytał z pogardą Jach — ja go lepiej usadzę!...

— Co ty mu, pędraku, zrobisz!...

— To już nie wasz paskudny interes.

I jakaś ponura powaga i ciągłe zamyślenie kamienne wiało mu z nachmurzonej twarzy, a błękitne oczy utraciły łagodny uśmiech dziecka i spoglądały z taką konsekwentną surowością, że na-

kazywały dla siebie całkowity szacunek. Ruchy stały się nieco ociężałe, a cała postać nabrała dziwnie nieokreślonego majestatu; pewność z jaką wykonywał najbłahszą, czy najpoważniejszą rzecz i jakieś strasznie zimne zdecydowanie uderzało każdego, raziło oczy, jak oślepiający blask światła, i mimowoli onieśmielało całe jego otoczenie. Odsunął od siebie dawnych kolegów, stronił od nich i nigdy uśmiech nie zawitał na bladej twarzy. Skoro ukończył czynności, związane z procederem przekupki i gdy uporządkował izbę, wychodził wolnym krokiem na ulicę, siadał vis-a-vis sklepu rzeźnika, nogi spuszczał w rynsztok, brodę podpierał na dłoniach i nie mrużąc oczów, godzinami całemi wpatrywał się w masarza, podobny do człowieka, zamienionego w nieruchomą glinę.

Tak upłynęło kilka tygodni, masarz nie zwracał najmniejszej uwagi na zachowanie się Jacha, lecz coś wewnętrznego poczęło go intrygować, niby nieświadomy wyrzut niegdyś popełnionego niesprawiedliwie faktu, niby odruchowy dyssonans przytłoczonej życiem, lepszej odrobiny ludzkiej duszy. Coś jakby lęk, jak niepokój i troska nieznana podniosła trujące żądło i poczynała kłuć niejasno zrozumianym bólem, jakaś nieśmiałość i obawa odbierały mu pewność wobec samego siebie. Odczuł instynktem samozachowawczym, że gdzieś w oddali ciemnej i mglistej stąpa coś nieuchwytnego żadnemi władzami ducha, nie mogące

być objęte przeczucie piołunowego nieszczęścia, siarczystego braku spokoju. Miał faktycznie realnie pojęte uczucie powolnym krokiem zbliżającej się groźby, zjawisko nieubłagane, sunące cal po calu, widmo nieugiętej zimnej śmierci, jak marmurowy miecz na sarkofagach królów mścicieli. Pewnego dnia, mimochodem zbliżył się do oszklonych drzwi... zadrżał. Spotkał się z oczami Jacha; przez pewien czas stał oniemiały i przygwożdżony do podłogi, zatrzymał oddech w płucach, gdyż nie miał odwagi wciągać powietrza, jakiś szept, niby z pod ziemi, przyniósł okropne, krwawe słowa:

— On ciebie zabije!...

Masarzowi krew zamroziła się w żyłach, chciał krzyknąć, lecz nie mógł wydobyć najsłabszego głosu, poprostu ciężar ziemi zsypał mu się na piersi i dusił... dusił...

A Jach powstał powoli i ciężkim krokiem odszedł w przeciwną stronę; za jego zniknięciem rzeźnik odzyskał przytomność. Uwierzył, że z ręki chłopaka będzie wypuszczony zatruty grot śmierci. Od tej chwili, gdzie tylko się obrócił, czuł na sobie ciężkie, jak ołów, spojrzenie ulicznika. Spojrzenie to sprawiało niespokojne bicie serca i suszę w gardle, podobną do tej, jaką uczuwa człowiek, siłą woli tłumiący w sobie wewnętrzną potęgę strachu i kurczowe zdenerwowanie. Pragnął wyłamać się z tego tajemniczego wpływu demoni

czno-złowrogiej sobie siły — daremnie!... Stalowe i jakby zielonkowate źrenice, w których znajdowała się cała boska moc duszy, prześladowały go zawsze z jednaką, równą, mocarną, zamkniętą w sobie okropnością. Otoczyła go sino-czarna wroga chmura, a okrążające dymne kłęby zniszczenia groziły wyrzuceniem głuchego pioruna, groty zatracenia, o niewiadomej godzinie i chwili, w niespodziewanej sekundzie dnia i nocy, ranka i wieczora, przedświtu i zmroku. Wlokło się życie złowieszcze, podłe, niepewne i niedobre, jak szare, cuchnące łachmany.

Raz popołudniu, gdy Jach siedział na swoim posterunku, a masarz w sklepie dygotał zębami z rozpaczy i nie mogąc znaleść sobie miejsca, ani uspokojenia, zdecydował się na krok stanowczy, zapalił zimnemi palcami papierosa, stanął na progu i pytał Jacha zdławionym głosem.

— Dlaczego ty tutaj tak ciągle siedzisz?...

— Bo chcę!... — odpowiedział twardo i nieprzebłagalnie.

— A dlaczego tak mi się ciągle przyglądasz?... — serce mu zabiło takim naprężeniem, jakby miał usłyszeć wyrok najsprawiedliwszych sędziów.

— Bo czekam na chwilę, kiedy mam cię zabić!... — brzmiała wolna, lodowa, stanowcza odpowiedź.

Masarz w pierwszej chwili zaniemówił z przestrachu i zatrząsł się, jak w febrze, uczynił ruch do ucieczki, następnie gigantycznym wysiłkiem zgniótł w sobie obawę i śmiejąc się śmiechem delikwenta, próbował zamienić wszystko w pospolity żart.

— Ja zawsze każdemu mówiłem, że z ciebie niezły żartowniś; potrafisz, jucho, sypać kawały, jak dziad okruchy z torby.

— Ty wiesz o tem dobrze, że ja teraz nigdy z nikim nie żartuję!... To co ci powiedziałem, jest taka prawda, jak mnie tu żywego widzisz.

— Co jest prawdą?... — pytał masarz, a serce zamarło z trwogi.

— Że ciebie za...bi...ję!... — wysylabizował.

— Za co... za-co?... — wyszeptały blade wargi i kolana usunęły się pod nim.

— Gdyś wybił mi szesnaście zębów za to tylko, że zjadłem twój serdelek — poczułem, że muszę cię zabić. I choćbyś uciekł na koniec świata, pójdę za tobą, i choćbyś się schował pod ziemię — odnajdę ciebie, i choćby świat się zawalił i spalił — ja zabić cię muszę. Wiem — choć jesteś pięć razy silniejszy ode mnie, to jednak, zabiję ciebie za rozcięte wargi i dziąsła, za ból i za zęby moje!...

— Komu ty mówisz ty, szczeniaku jeden?...— ryknął rzeźnik i pięść, jak maczugę, wzniósł nad głową chłopaka.

Jachu ani drgnął na swem siedzeniu, żaden muskuł nie okazał najlżejszego zaniepokojenia, jeno ponurym wzrokiem uderzył z taką siłą wzrok rozogniony napastnika, że ten stanął nieruchomy, jak wtłoczony w ziemię, począł drżeć z burzy rozmaitych uczuć, jak oszalałe z upału letniego zwierzę.

— Żebym czuł, że w tej chwili muszę cię zabić, choć nie wiem w jaki sposób — ale zabiłbym cię... rozumiesz, zabiłbym cię... Możesz być pewnym, skoro ono przyjdzie, to cię nie minie... możesz się wystrzegać albo nie, wszystko mi jedno!... — wyrzekł mając utkwione spojrzenie w sinej twarzy masarza; powstał flegmatycznie i nie zwracając uwagi na swego przeciwnika, ruszył naprzeciwko idącej do domu przekupce.

Upływały całe dnie i tygodnie, a Jach ciągle był jednaki, nie zmienił ani o włos raz powziętego trybu życia. Weszło to w przyzwyczajenie, z niem w żyły i w krew — stał się poprostu maszyną. Automatycznie spełniał wszystkie czynności, automatycznie obchodził się z ludźmi, automatycznie siadał nad rynsztokiem i czekał jakiegoś sygnału, jakiegoś znaku, szeptu wewnętrznego, że godzina porachowania nadeszła, że czas zapłacić za krzywdę, oddać ból za ból, niemiłosierdziem za niemiłosierdzie. Masarz unikał go, jak zając unika spotkania się z chartem, jak noc unika siłą rzeczy słońca. Gdy był w sklepie, nie śmiał, nie

miał odwagi wyjrzeć na ulicę, zbliżyć się do drzwi lub okna, jeno niekiedy, spotykając się w przejściu, spoglądali na siebie tak długo, aż rzeźnik był pobitym, zwyciężonym na głowę przez jakąś siłę fatalną, idącą z oczów przepaścistych, jak górska rozpadlina podczas zimowej, ciemnej nocy. Zżymał, buntował się, przeklinał słabość i tchórzostwo, przysięgał mieć siłę wytrwania przy następnem spotkaniu — napróżno, za każdym razem ustępował przed ulicznikiem, jak podły kundys przed owczarskim batem. Czuł jakby jakiś tuman kurzu zasypał mu gardło i dusił powoli, strasznie, bez zmiłowania, jak nocna zmora, jak wyrzut zbrodniczy i przeokropna śmierć podczas bolesnego snu. To znowuż chwilami napadał go taki wewnętrzny niepokój, strach, popłoch, że chciał rzucić wszystko i uciekać, gdzie poprowadzą zalęknione oczy, na końce globu, gdzie nie dojrzałoby go złote oko wieczornych gwiazd, ni promień południowego światła; zaryć się w jakiej czarnej pieczarze, piekielnie mrocznej jaskini, zamieszkiwanej przez najrozmaitszych biesów i potworne wiedzmy obrzydzenia, niknące z oczów wszystkiemu tworowi ziemi, i tam paść na kolczastą murawę, i bólem fizycznym zawrzeszczeć przeszłe swoje życie, wyrwać wraz z sercem wszystkie wyjące trwogi, wymazać krwią z karty pamięci nieco przygarbioną postać chłopca, jego zczerniałą twarz z rozciętemi wargami, świszczący

głos, a nadewszyątko te zimne, zimne oczy. Coś tak odrażającego zawisło nad nim w powietrzu i kreśliło ponury krzyż nad głową śmiertelnemi barwy, że nie mógł opędzić się temu męczeńskiemu uczuciu, przylgnęło doń, zrosło się, jak przyzwyczajenie, było drugą jego istotnością; gdzie się obrócił, pełzał za nim cień katowski i wlókł krwawą szatę, cuchnącą zgnilizną grobu. Odbiegło go wszystko, nie mógł sypiać i nocami wił się na łóżku i płacząc, zgrzytał zębami; stracił apetyt i wychudł, jak szczapa, zniknął humor, przepadło pragnienie, chęć, zapał, ochota do wszystkiego, słaniał się jeno po ziemi, jak niedobitek, jak robak, czekający na litościwą stopę, która skróci męczarnie. Jedyne w nim uczucie — to strach!... Strach nie mogący zostać ujętym w jakiekolwiek słowa, w mniej więcej znane pojęcia, w sformułowane, konkretnie uzasadnione obawy. W takich warunkach dalsze istnienie stało mu się wstrętnem, jak nadpsuty trup, leżący niepogrzebany, czemś tak okropnem, jak uczucie dziecka, pozostawionego w ciemnym pokoju, westchnieniem człowieka, czekającego na wyrok polowego sądu; wtedy każdy oddech nie przecinał, a pruł, a darł, płuca, jak ołowiany topór, a spotykane wzrokiem przedmioty kłuły, wprost źrenice. Wówczas świadomość bytu, pamięć dni ubiegłych, odrębność psychologiczno indywidualna była niemiłosierną klątwą długą i niezniszczalną, jak czas i przestrzeń!...

Kilka razy błysnęła słodka myśl samobójstwa, jako anielskie wyswobodzenie przed torturami, nie mogącemi mieć imienia, albowiem ludzki język jest haniebnie biedny, by ująć wszelkie odcienia smaganej duszy. Wyj, skomlij nędzo ducha, szczekaj i kąsaj się naturo człowieka, a może ból zrodzi subtelniejszy język, mający ukojenie ciepła i jeśli zajdzie potrzeba — moc piorunową!...

Lecz gdy zjawiła się skrystalizowana postać śmierci, brak odwagi i tchórzostwo mieszczańskiej jednostki wyłaziło na wierzch, jak gad na słońce, wzdrygało się do głębi, jak przydrożna kałuża pod podmuchem burzliwego wichru. Raz już założył powróz na szyję... w ostatniej chwili obraz piekła, widzianego na jakimś bohomazie, stanął mu przed oczyma i odpędził wolę, więc machnął ręką i słaniał się dalej po świecie.

Pewnego dnia Jach przyszedł później, niż zwykle, na swoje stanowisko, tuż obok sklepu i, wbrew swemu przyzwyczajeniu, stanął z rękoma na piersiach i czekał na wyjście masarza, był spokojny i zimny, jak nigdy dotąd, zachmurzone czoło, zwarte zawzięcie usta mówiły o postanowieniu, o niezłomności mającego nastąpić faktu. Podczas bezsennie spędzonej nocy usłyszał wyraźny i tajemniczy głos w piersi.

— Dziś zabijesz go!...

— Dobrze!... — odpowiedziały cicho usta.

I nic, nic nie wzburzyło się, nie zatargało, nie huknęło protestem w zamkniętej duszy ulicznika; wypłynęło to z pod proga świadomości, jak strumień z pod skały. Przyszło jak potrzeba, konieczność i mus i prawo, przed którem nic nie może być zachowanem i ocalonem; wykonanie czynu dojrzało, jak owoc na drzewie w jesieni, jak zboże na suchym pniu w lipcu; przez ciąg kilku miesięcy chłopak czekał na znak swojej duszy i był przekonany, że on przyjdzie, jak przychodzi do celu dobrze wymierzona kula; przyszło i rzekło, bez żadnych niepokojów, bicia serca, wzdrygań i tym podobnych skrupułów.

— Już nadszedł czas, więc jestem!...

I stało się; słowo musi być zamienionem w dokonanie czynu. Żadna siła nie pomoże, nie jest zdolna temu, co zostało postanowione na dnie czyjejś duszy, przeszkodzić lub przeciwdziałać, albowiem niema hamulca krępującego szczerą wolę i niezłomne pragnienie. Serdeczna chęć — to druzgocący wszystkie zapory huragan; żadna potęga fizyczna nie może się mierzyć, porwać za bary ze stalowym zamiarem dokonania jakiegoś przedsięwzięcia — wszystko jedno jaka jest jego wartość, gdyż pojęcie wartości jest szalenie elastycznem, zależy to od warunków czysto zewnętrznej lub osobistej natury. Najsłabszy człowiek, skoro czegoś pragnie i chce naprawdę, może być potężniejszym od Samsona, od najsilniejszego olbrzyma,

żyjącego kiedykolwiek tu na ziemi. Ten jest Tytanem mocarzy, który posiada wolę, jest tego świadom i potrafi biegle nią władać i jeszcze konsekwentniej iść w raz obranym kierunku; spojrzenie jest chmurą, a zamiar mieczem! Gdyby ludzkość mogła wyhodować takich ludzi, chociażby kilkanaście miljonów — życie przeobraziłoby się do niepoznania w przeciągu jednego pokolenia. Człowiek jest tak czemś wszechpotężnym, że najbujniejsza fantazja nie jest w możności wymarzyć iks potężniejszy; ma on nieśmiertelną siłę wszechtwórczą!... Skąd jesteś rodem, z czegoś powstała, kto cię powołał do życia i jakie twe imię właściwe, ty cudna i niszcząca, ty boska i przeklęta siło, mieszcząca się w wątłej piersi naszej?...

Chłopak stał długi czas i czekał, aż rzeźnik ukaże się na ulicy, nie czuł w nim nieprzyjaciela lub wroga — strach pomyśleć, był mu niezmiernie obojętny, jak każdy inny człowiek, przechodzący w tej chwili ulicą, czuł tylko nieuniknioną konieczność — zabicia go. Był jakby ręką wykonywującą tajemne polecenie zgładzenia przestępno szkodliwego istnienia, co sieje wokoło siebie bóle i łzy, rozpacz i niewiarę i zakłóca spokój szczęścia; zgaszenia dymiącego ogniska, by nie zatruwało balsamicznej atmosfery wonnego świeżością lasu.

Wreszcie masarz wyszedł lękliwym krokiem, a ujrzawszy chłopaka, zbladł śmiertelnie i stanął,

jak przykuty. Jach podszedł do niego i rzekł ostrym, jak miecz, tonem:

— Słuchaj, gdy byłem głodny i wziąłem ci serdelek — tyś wybił mi zęby i zrobił kaleką na całe życie, gdy mi krew ciekła, tyś śmiał się, gdym z ust wyjmował połamane zęby, tyś mówił, że nie trzeba szukać skargi, jeno bronić swojej własności... Zapłakało mi serce płaczem rozpaczy, że przed nikim się skarżyć na ciebie nie mogę, i że nikt nie powróci mi zębów, a przecież to była moja najświętsza własność, bo ja ją od natury dostałem, a tyś mnie jej pozbawił na zawsze... Wówczas usłyszałem głos w mózgu, że krzywda powinna być ukaraną zgodnie z sercem pokrzywdzonego i nie wydałem pół oddechu skargi na ciebie. Nazywałeś mnie filozofem — teraz rozumiem, co to jest filozofja; siedząc przed twym sklepem, nauczyłem się jej tak, jak ptak uczy się fruwać bez niczyjej pomocy. Więc oto ci mówię: moja krzywda podyktowała mi, żebym cię zabił... Czekałem długo, bardzo długo czekałem cierpliwie, dopóki przez moją duszę nie zostałem do tego uprawniony... muszę cię zabić... rozumiesz, muszę cię zabić i to dziś jeszcze... Jeżeli broniłeś jednego serdelka — broń że teraz swego życia, ponieważ za zęby wezmę twoje życie, dopiero będziemy skwitowani — własność za własność!... Przysunął się do przerażonego masarza i popchnął go do ściany, powtarzając:

— Broń-że swego życia, tak jak broniłeś kawałek mięsa, pochodzącego z wołu!...

Dopiero teraz rzeźnik zbudził się z trwogi i odrętwienia, począł mrugać oczyma, jak człowiek, zbudzony z głębokiego snu. Jedno spojrzenie na groźną twarz ulicznika przekonało go, iż się nie myli, nie śni, że słyszy i widzi to wszystko na jasnej jawie, że się nie łudzi złem pojmowaniem zjawisk, nie zwarjowały wszystkie zmysły i nie bredzą w okropnej, szaleńczej gorączce. Jednocześnie uczuł piekielny strach przed faktem przejścia z bytu do niebytu a ogromną chęć bytowania. Życie było bajecznie kolorowem; instynkt bezpieczeństwa poruszył na alarm wszystkie władze i kazał się bronić do ostatniego tchu, ostatniego uderzenia pulsu; zapomniał o przeżytych mękach z powodu Jacha — włos stanął dębem. I tak jak dawniej życie było mu krwawym ciężarem, tak teraz było one mu największą słodyczą, dźwięczącą łagodnemi tony w spragnionem uchu, postanowił je bronić przed każdym i za każdą cenę, bodaj przed bogiem, gdyby się zjawił i chciał je zabrać. Życie, to klejnot groźny, drogi i dobry zarazem, każden je broni przed najmniejszym cieniem zamachu, przed podmuchem najlżejszym zniszczenia; człowiek raz tylko żyje i pragnie żyć wiecznie, nieprzerwanie, w jakiejkolwiek bądź formie. W godzinie utracenia, w chwili zaguby wszystko nabiera potrójnej wartości, a każda żywa

istność jest zdolną do najbardziej bluźnierczych bezeceństw, gdy wchodzi w grę to dziwne słowo życie, ten sfinks nad sfinkse, zagadka, do której nikt przenigdy nie odnajdzie klucza.

— Czemu się nie bronisz?... — wyrzekł Jach i chwycił masarza za klapę kaftana.

Rzeźnik porwał chłopaka za kołnierz i odrzucił na kilka kroków od siebie, lecz ten powstał szybko, pochylił głowę naprzód i runął na masarza, jak błyskawica; podskoczyl, objął mu gardło obiema rękoma, jak w kleszcze, i całym ciężarem ciała zawisnął w powietrzu.

I rozpoczęła się walka o życie!...

Masarzowi zabrakło powietrza i widmo kościotrupa rozśmiało się całem potwornie szerokiem gardłem, wytężył wszystkie siły, próbując otrząsnąć z siebie ulicznika, jak niedźwiedź zgraję obsiadłych psów, to znowuż odpychał go ze wszystkich mocy, odrywał od siebie straszną pijawkę, żmiję, co objęła gardło i ściska i pije życie, aż do wydania tchu. Bił go pięściami po głowie, walił, jak maczugą, zadawał razy zdolne powalić stepowego byka — nic nie pomagało. Chłopak jak gdyby utracił wszystko, co człowieka odróżnia od nieżywego tworu; nie widział, nie słyszał, nie czuł nic; był jako martwa maszyna, tylko palcami ściskał coraz silniej gardło rzeźnika. Był spełnieniem zapadłego wyroku, nieubłaganem fatum następ-

stwem raz popełnionej niesprawiedliwości wobec bliźniego.

Po kilkunastu chwilach szalonego zmagania się, zapasów i męki, rzeźnik począł się słaniać, jak dziecko po długiej chorobie, oczy wysadziło mu na wierzch i twarz była sina, a w ustach mdły smak, podobny do tego, jaki uczuwa zachloroformowany. Później szum w uszach, zawrót w głowie i zapadanie się w zimną przepaść, w lodowe paszcze antarktycznych otchłani — później jeszcze zatrata świadomości psychologicznej... kilka gwałtownych drgnień, i masarz upadł na ziemię, jak drzewo, przygniatając swym ciężarem chłopaka.

Chłopak usiadł nad rynsztokiem, podparł brodę rękami i wpatrując się w stygnące zwłoki, powtarzał bezwiednie usłyszane czyjeś zdanie:

— Wet za wet!... wet za wet!... wet za wet!...

stkom, tej dopełnionej niesprawiedliwości wobec Mikołajewicza.

Po kilkunastu chwilach szalonego zmagania się, zapasów i męki, ciężko poczuł się słabszy, jak dziecko po długiej chorobie, oczy wysadziło mu na wierzch i twarz była sina, a w ustach rudy smak, podobny do tego, jaki uczuwa zachloroformowany. Później szum w uszach, zawrót w głowie, zapadanie się w zimną przepaść, w lodowe pustynie antarktycznych otchłani — później jeszcze zatarcia świadomości psychologicznej... kilka gwałtownych drgnień, i masarz upadł na ziemię, jak drzewo, przygniatając swym ciężarem chłopaka.

Chłopak usiadł nad rywalem, podparł brodę rękami i wpatrując się w stygnące zwłoki, powtarzał bezwiednie usłyszane czyjeś zdanie:

— Wet za wet!... wet za wet!... wet za wet!...

SAMOTNI

Władek siedział przy swoim ciągle zarzuconym stole i kończył pisać; gdy podnosił głowę, a zarazem i rękę, by umoczyć stalkę, mimowoli wzrok padał na ścianę i spotykał porozwieszane amatorskie fotografje—wtedy na ustach wykwitał rozanielony uśmiech zachwytu i błogiej ekstazy wniebowzięcia i wargi szeptały:

— Helcia... Helcia... Helcia... Helunia moja, zdroju mój słodki, gwiazdko błyszcząca, lilijko biała, gołąbku jasny, ptaszyno cudnośpiewna, kocham, kocham cię, och, jak cię kocham dziecino!...

I znowuż głowę pochylał i pisał spiesznie, a pokój cały zdawał się być wypełniony wonią jakąś upojną dalekich lasów sosnowych i skoszonego siana i kwiatów mdlejących, i światłością nieznaną. Od fotografji szedł dla Władka spokój cichy i ukochany, jak ciepły wieczór jesieni polskiej; spływały wdzięk miły i rozmarzenie miłości, siły rodzącej, co kamień w puch zamienia. Spływały dobroć i subtelne zrozumienie drgających

w naturze głosów tajemnych, zagadek twórczych i pytań palących, rzuconych hojnie dłonią przemożnego życia. I było mu tak dobrze, tak dobrze, tak niezgłębienie bosko na duszy.

— Czy można?... — zapytał głos jakiś nieśmiały i jakby mdlejący zarazem i lekkie pukanie do drzwi.

— Proszę!.. — odpowiedział Władek i podniósł głowę.

Do pokoju weszła jakimś trwożnym krokiem młoda, przystojna dziewczyna. Na białych policzkach gorzały rumieńce, a ciemne piwne oczy patrzały smutnie z senną zadumą, nieświadomą samej siebie.

— Proszę pana — rzekła tłumionym głosem — listonosz przyniósł list do pana.

Władek, biorąc list od niej, zoczył, że gruba, czerwona ręka zadrżała zlekka, podniósł wzrok, dojrzał ślady łez na ładnej, choć pospolitej twarzy dziewczyny, więc zapytał ze współczuciem:

— Czegóż to Józia płakała?...

— Nie, proszę pana, nie, nie płakałem wcale.

— A dlaczego oczy takie czerwone?... Jeszcze łzy są w nich!... — badał Władek, nie mógł znosić widoku czyichkolwiek łez, coś go zaraz gwałtownym skurczem dusiło za gardło i chciało mu się krzyknąć boleśnie.

— Nic... nic... ja nie płakałam... jak chrzan trę, to mi zawsze łzy lecą z oczów... ale nie płaka-

łam. Mam już takie słabe oczy — i bezwiednie westchnęła.

Władek widział, że dziewczyna nie mówi mu prawdy, że coś ukrywa przed nim zazdrośnie. Nie był ciekawy przez zwykłą mieszczańską ciekawość starej baby, lecz zwykle rozumował, że jeżeli ktoś płacze, a starannie ukrywa swoje łzy, ten naprawdę płacze łzami serca, które ból wyciska i gorycz wsącza w dusze i pali krzykiem rozrywającym piersi, przygniecione strapieniem, i wali w głowę ciężkim młotem zgryzoty umysłu, nie będącego w stanie zaradzić złemu.

— Kiedy ja jestem pewny, że Józia płakała — rzekł dobrotliwie. — Dlaczego Józia ukrywa przedemną i nie chce mi powiedzieć prawdy?.. Płakała Józia, prawda?...

— Tak... proszę pana — łzy popłynęły jej z oczów.

— Co się stało takiego?... Czegóż to płakać zaraz?...

— Bo... bo... stara wymówiła mi miejsce...

— Za co?...

— Powiada, że ja nic nie robię, jeno książki czytam po całych wieczorach, jak jaka hrabina. Pięć pokojów do sprzątania, na czworo ludzi gotować, to jeszcze nie robię. A pranie także ja sama załatwiam.

— I dlatego Józia płacze? o miejsce, o służbę?...

— Nie, proszę pana, nie o miejsce, choć teraz święty Jan za kilka dni i państwo się porozjeżdżało i trudno miejsce dostać; przytem tyle pracy za marne pięć rubli na miesiąc. Żal mi tej służby dlatego, że chciałam nauczyć się pisać i rachować od pana, tak jak nauczyłam się czytać. Co ja teraz zrobię, gdzie i jak będę mogła się nauczyć?... O służbę nie martwię się, łaski mi nie robią — dają jeść i zapłatę, to ja pracuję po całych dniach; ani niedzieli, ani święta, na każde zawołanie, jak pies waruj. Oni myślą, że sługa to nie człowiek, nie może książki albo gazety poczytać. Ale o ludzie, o narodzie, że ślepy i głupi i mało pracuje — to potrafią gadać — a jak przyjdzie co do czego, to mówią, że hrabia — faryzeusze jedni!... Żeby wszyscy byli tacy, jak pan — ba, to by było inaczej z nami!...

— No, jeszcze nic takiego niema, może da się to wszystko naprawić — jakoś to będzie — pocieszył Władek dziewczynę.

— Mój panie, niech pan to zrobi, żebym ja się mogła zostać, człowiek nie chciałby być takim ślepym, jak tabaka w rogu, bo to i wstyd i nijako żyć!...

— Dobrze, dobrze... porozmawiam z panią o tem... jakoś to się załatwi.

Józia wyszła, a Władek rozciął starannie list. Była to odpowiedź od jego siostry, mieszkającej pod Łodzią, na zapytanie, czy może przyjechać

na wakacje do niej, wraz z pewną młodą dziewczyną, z którą on ma zamiar w niedalekiej przyszłości wziąć ślub. Aczkolwiek pod Łodzią jest nie bardzo dobre powietrze, lecz bądź co bądź, lepsze niż w Warszawie, podczas kanikuły, lepsze niż w czterech ścianach szczupłego pokoju.

I oto przyszła odpowiedź pomyślna. Siostra była bardzo rada, ponieważ Władek od czterech lat nie był u nich, od czasu gdy rzucił uniwersytet w Dorpacie, gdzie studjował teologję. Tembardziej, że do miłości siostrzanej przyłączyła się ciekawość czysto kobieca. Brat od trzech z górą lat wspominał w swoich listach o pewnej młodej dziewczynie z ogromnym szacunkiem, pod którym płonął męzki entuzjazm dla kobiety, dla anioła, co przybrał cielesne kształty i jak kwiat cudny, pachnący przed złotym świtem, czarował umysł jasnością i pogodną melodją pojmowania wszystkich spraw życia; białem spojrzeniem, obejmującem wszelkie brudy człowieka, błoto ludzkości i ponury, czarny, biegły pęd spaczonych natur ku kałuży zabójczego występku, przybierającego pozłociste suknie niedoścignionych poświęceń w samoumęczeniu!

Władek przeczytał list raz i drugi i popadł w głęboką zadumę, malującą wyrazistemi barwy bieg przeszłego życia, rozmaitych chaotystycznych wydarzeń, nieświadomych czynności, które pod nektarem rozśpiewanych chwil, co ostały na dnie serca,

oświecone płomykiem swego szczęścia i jako pokarm boży, sycą tęsknicę purpurową i pustkę gorzkiej teraźniejszości. Cichy, gryzący ból flażenia się, szarugi losu niedobrego. Oto jego historja, dzieje ziarnka piasku w skalistych pokładach gór, sięgających wierzchołkami ciemnych łachmanów chmurnych, zasłaniających różowy błękit kochanego lazuru, kropli w wielkiem zbiorniku wód.

Ojciec jego był pastorem w rozmaitych miejscowościach Królestwa, byłby miał powodzenie u władzy i u zamożniejszych sfer ludności, gdyby nie był... zwarjowaną głową, odstępcą z krwi i kości, nie uznającym mocy panowania jednej jednostki nad drugą. Gdyby nie przytaczał ustępów z ksiąg świętych, że posiadanie jest pospolitym skutkiem wyzysku, rabunkiem cudzej pracy i kradzieżą, na której prawo, skoncentrowany wynik siły brutalnej, położyło pieczęć legalnej świętości!... Nauczał przy każdej sposobności i na każdem miejscu, że ludzie powinni się miłować z tej przyczyny, iż są sobie równi w podobieństwie kształtów i budowy, że ich łączył od niepamiętnych czasów, mroków życia gatunku ludzkiego, wspólny, wyciskający pot rubinowy i łzy męki, wysiłek w dążeniu ku doskonałości, ku poprawieniu smutnej doli bezradnego zwierzęcia. Mówił, że jeśli kto płacze — to trzeba mu łzy osuszyć swojem szczęściem, radującem oczy rozbawione, kto spragniony lub głodny — trzeba go bodaj własnym ciałem wzmo-

cnić i krwią ugasić buchające żary. Albowiem nikt nie ma prawa spać spokojnie, gdy wokół niego grube ściany domów tłumią zgrzyt zrozpaczonego człowieka, nikt nie ma prawa jeść do syta, skoro drudzy śliny łykają z głodu, a z wycieńczenia padają na bruk uliczny przed pałacem bogacza, przed piekarnią pełną chleba. Straszny wyrzut, wrzodami pokryty, larwa zwyrodniała, stęk uzasadnionego przekleństwa włóczy się niewidzialnym krokiem za każdym, kto śmie posiadać brutalną czelność jeść bułkę białą — gdy jemu podobni, przygnieceni złomami nędzy, pochwyceni w ostre szpony niedostatku, nie mają nawet cuchnących ochłapów, zażywają karbol, ług lub rzucają się pod tramwaj dla skrócenia niemożliwych dni istnienia, lat ciągłego pisku w okropnym katowaniu, w ciasności wiecznej, w zbłąkanym kole, z którego niema wyjścia na drogę wolną od straszliwych zmor boleści.

Pastor nauczał, że ludzie nie powinni być braćmi w Chrystusie, lecz w cierpieniu, zakonem dążącym w wytchnieniu wszystkich opuszczonych przez życie, a maltretowanych bez miłosierdzia ciężką stopą możniejszego. Naród ma być rodziną zespoloną, aby dokonać zamachu na wszelką krzywdę bliźniego, unicestwić złączeniem parcie twardego ramienia ciemiężcy, ma się skuć chęcią spełnienia wszechdobroczynnego czynu, z którego, jako z nasienia, z płonki subtelnej, wystrzelą cię-

żarne kłosy, pyłem zaledwie dostrzegalnym napełnią powietrze i będą manną bohaterskiego wytrwania w powoli rodzącym się fakcie przeistoczeń!... Kto żyw i w piersi hoduje, w mózgu stygmat panowania nad nieświadomością, a podpiera się mocą siły, tron budującej na trupach, szkieletach obgniłych z mięsa — ten jest zakałą i hańbą nigdy nie startą świata całego, ziemi nieskażonej, bryły tajemniczej, rzeźbionej ciągami nieodgadnionych wieków. Człowiek pleśń i stęchliznę morderczą wytwarzać musi — jeśli światła nie sieje i woni krzepiącej dusze z siebie nie wydaje. Człowiek — to owoc służący pożytkowi lub pastwie cuchnącej zgnilizny — a zgnilizną jest to wszystko, co w zmęczonym rozmachu nie dąży ku podniesieniu rodu człowieczego. Niechaj niczyje nie sinieją wargi, nie bledną usta z męczarni głodowych, a światło wykwitać pocznie pod każdą szerokością globu, jak kwiaty na niezamieszkałych wyspach, jako skromne, misterne szarotki na stokach i rozpadlinach Alp.

Tak nauczał pastor, nienawidzony zarówno przez ludność polską, jako niemiec, a przez ludność niemiecką, jako nieszczery niemiec, dziecko nieprawe teutońskiej kultury, brzemiennej płodem hakaty.

Wkrótce władza żandarmska zwróciła opatrznościową uwagę na »występną działalność« duchownego i... by uchronić poczciwy ludek od zepsu-

cia — pastor znikł pewnej nocy z oczów rodziny. Po dwóch latach zamieszkiwania cytadeli — sposobem administracyjnym począł podróżować. W drodze na Kamczatkę umarł z przeziębienia — tak skończył doczesną pielgrzymkę renegat niemieckości, wróg polaków, tajemny zaprzaniec stanu kapłańskiego, przestępca państwowości i burzyciel fundamentów społecznych.

Władkowi łzy same pociekły po zbladłej twarzy na wspomnienie tej nocy okropnej, godziny rozstania na zawsze, chwili łamania kołem ducha osieroconego. Pastor się ubrał w podstarzałą suknię i rzekł spokojnym głosem do oniemiałej z wielkiej zgryzoty rodziny. Głos był czysty, na pozór bez troski, czuć w nim było pogrzebowe łkanie dzwonu rozpłakanego, pożegnanie, co kurczem dławi strapione serce i poi aloesem.

— Bądźcie mi zdrowi!... Już was nigdy nie zobaczę...

A gdy żona ryknęła szlochem — pastor zgniótł w sobie krzyk, gwałtem rwący się na usta, ugryzł się w język, aż krew wytrysła, i dodał mężnie:

— Niewiasto! zapłacz nad sobą i nad potomstwem twojem biednem — tako rzekł Chrystus, a jam jest sługą jego na ziemi smutnej dla maluczkich i słabych, druzgotanych udręczeniem.

Jedynie Władka pobłogosławił łzą ojcowską i dał anielskie kwiecie pomocy na mozolną wędrówkę przez kolczaste wertepy życia, przez grudy

szarpiące surowe mięso obnażonych stóp przechodnia.

— Władku! pamiętaj, byś nie był przyczyną westchnień bolących żadnego stworzenia, byś był człowiekiem, co pije z morza powszechnego strapienia. Cierpienie twoją komunją być winno!...

I wyszedł spiesznie, osaczony przez żandarmów, jak zwierz dziki i szkodliwy. A każdy jego oddalający się krok wyciskał ślad, znamię zatracenia w skrwawionych wnętrznościach rodziny, pozostawiał wieczny żal i poczucie znęcania się nad bezbronnymi, jak ptaki leśne, dokonania zbrodni na człowieku czystym, jako listek róży mistycznej, nieskalanej ziemskim pyłem.

Rodacy-niemcy wyparli się pastora i jego rodziny, stronili od niej, jak od tworu roznoszącego zarazę — społeczeństwo polskie nie znało jej, a ci co znali — uciekali od »szwabów«.

Władek wówczas miał lat piętnaście i był w czwartej klasie. Siostra starsza zdała egzaminy państwowe i od roku zajmowała skromne stanowisko nauczycielki domowej. Wkrótce poznała przypadkiem młodego syna bogatego kolonisty; wyszła za mąż, miała dzieci, które wychowywała w najtwardszym hakatyzmie i nienawiści imienia polskiego, albowiem w tym kraju niewolników, ojciec jej za nauki przeczyste, jak łzy niewinnie skaranego — musiał umierać, jak zbrodniarz, w wagonie więźniowskim. Pogarda i nienawiść tak zrosły

się z jej kobiecą duszą, że nie pozwoliła nikomu w swojej obecności polskim mówić językiem i sama przestała go używać; w dzieciach zaszczepiła płonkę wstrętu i obrzydzenia do głupich i tchórzliwych polaków, lubiących ciemiężyć lub być ciemiężonymi. W jej pojęciu imię polaka — znaczyło dobrowolnego raba, który jadem służalstwa obryzgał, shańbił posłuszeństwem dla siły, oddziedziczony nieskalanie jasny klejnot swobody, dzisiejszy polak był psem niegodnym lizać ślady tych, co z trupów swoich budowali most przez Berezynę, albo pod Garibaldim oddawali głowy. Co najgorszego może być pod słońcem — życzyła polakom, bo polaka można kańczugiem osmagać, a on wyprostuje pokorny, łajdacko bojaźliwy grzbiet i uśmiechnie się do tyrana, i but ucałuje dręczyciela i rubla złoży na wieniec przy stawianiu pomników swoich katów i wrogów śmiertelnych. Niema więcej tych polaków, co śmierć przekładali nad jarzmo niewoli!...

Taka była dusza siostry Władka, a Władek?...

Był pilny, pracowity, systematyczny, jak prawowierny niemiec; przy pomocy szwagra ukończył chlubnie gimnazjum i... znienawidził szkołę rosyjską, jej zarząd i wszelką ciemnotę. Postanowił zostać pastorem i wstępować w ślady ojca, umęczonego na krzyżu prześladowań. Wystarał się o stypendjum i wstąpił na wydział teologiczny

w Dorpacie. Tu, w pierwszych miesiącach studjów, rozpoczęła się cicha męka zwątpienia.

Władek był naturą prosto-linijną i głęboką, nie znosił najmniejszych załamywań i skrętów w niczem, nie mógł się z tem pogodzić, aby coś pozostało niejasnem i nieuzasadnionem w jego pracowitym mózgu. Każdy fakt, myśl każdą musiał zgłębić do dna — nie znał najnieznaczniejszych kompromisów ni w stosunku do siebie, ni do niczego. Po przyswojeniu sobie języka hebrajskiego przyszła egzegeza, czyli objaśnienia całej biblji i po wstępie Starego Testamentu — warunki, w jakich powstawało tak zwane Pismo Święte. Tu nastąpiło pierwsze pytanie krytycznego umysłu... Dlaczego kościół twierdzi i wierzyć każe powszechnie w autorstwo »Pięcioksięgu Mojżesza« i niemal za dogmat uznaje, iż ten Mojżesz był jedynym twórcą wyżej wzmiankowanej pracy, podczas gdy badania naukowe stwierdziły zgoła co innego?... Jeżeli są cztery różne źródła tej pracy, powstałej z rozlicznych zlepków, w rozmaitych odstępach czasu, to czemu kościół temu nie zaprzeczy?... A jeśli tak jest — to czemu toleruje nieprawdę, i w nią ufać wiernym każe?...

To był pierwszy zgrzyt, krwawe starcie pomiędzy sercem, wiarą i otuchą, a duszą łaknącą świętej prawdy poznania; od tej godziny przyszło konanie na okrutnym łożu madejowem zawiłych pytań, nurtowało wszystkie komórki, wszystkie za-

kątki świadomości i nieświadomości bolesnem, głuchem borykaniem się z płomienistą falą zaprzeczenia — z gorzko-cierpkim owocem niewiary. Zaczęła się w nim zacięta walka o wiarę... o Boga.

Serce broniło się, a mózg atakował. Władek zagłębił się we wszystkie księgi »Starego i Nowego Testamentu«, pożerał wszystkie pisma ojców kościoła, polecone przez najwybitniejszych profesorów teologji — napróżno. Znajdował obfity pokarm dla łatwowierności, dla naiwnej rzeszy bezkrytycznie myślących tłumów, a w najlepszym razie, mistyczno-spekulacyjne rozmyślania filozoficzne nad istotą Boga, jako rzeczy samej w sobie, a nic, nic dla rozumu. Bij sztyletem w samo serce, wytocz krew z żył, pęknij z rozpaczliwych pytań, obejmujących kolczastymi pierścieniami rozpaloną głowę, otulaj się westchnieniami zabójczej niemocy, chroń się przed żądłami żmij syczących szyderstwem — nic, nic nie znajdziesz. I Władek rozpinał się na zatrutych ostrzach dociekań, gnębił samego siebie żądzą prawdziwego poznania — nie znał litości!... przestał jadać do syta, podczas zimy niedostatecznie się ubierał, sypiał bardzo mało, dwie lub trzy godziny na dobę; w nocy przejmował się czytaniem najrozmaitszych ksiąg lub klęczał około okna, wpatrzony w szafirowy strop i drżącemi wargi szeptał gorące zaklęcia modlitewne:

— O Boże... Boże... Boże, czemuś ty głuchy,

jak kamień, niemy, jak wieko trumny nieboszczyków, czemu Ty milczysz, jeżeli słyszysz jęki miljonów? jeżeliś wszechpotężny — to czemu palcem nie ruszysz na wykazanie mego błędu a twojej potęgi?... Czemu twe oko, mające być jaśniejszem od słońc tysiąca, nie roznieci ogniska pośrodku nieba lub ziemi, by stwierdzić niezbicie istnienie swoje?... Jeżeliś ty jest prawda i sprawiedliwość nadziemska i kwiecie jasnowidzenia nosisz w łonie — to jakże ścierpieć możesz, by kłamstwo, brud, ohyda i mroki nieuctwa broniły ciebie, źródło czystości, domie złoty, w którym zostało zrodzone pojęcie nadniewinności?... O, Chryste, Chryste, różo uczucia ludzkości spłakanej, na czynie osobliwego bohaterstwa, czemuż masz serce lodowe w przebitej piersi?... Jeżeliś wszechwiedzący — wiesz, żem ja nie podlec, żem ja nie szatan bluźnierstwa, nie ślina nikczemnej zniewagi, nie gad plugawy, rzucający się na chwałę twoją — jam człowiek, którego miałeś ukochać nad życie swoje boskie! Przecież powiedziałeś, że dla uratowania jednego człowieka biedz na kraj ziemi należy, że królestwo twoje rozśpiewa się hymnem wesela, zakwitną radości wszystkich aniołów, zabłysną lazurowe ognie wonnego szczęścia z poprawy jednego grzesznika — jam dziecko twoje na ciemnych bezdrożach, między skalnemi szczeliny, wtłoczony w powijak z cierni i w krwi serdecznej skąpany. Tyś przekonał Tomasza niewier-

nego — czemu miljardy Tomaszów przekonać nie pragniesz?... Przecież — stwierdzenie ujmy ci nie przyniesie!... Jeżeliś myśl i prostota, to ciebie nie obraża myśl łaknąca!... Jeżeliś ojcem współczucia, rodzicem cierpienia, to ulituj się nad jagnięciem zranionem, i zstąp i daj znak widomy i pokrzep i wzmocnij i utwierdź, albowiem upadam i mdleję i konam i z osłabienia powstać nie mogę i nieznane morze ogarnia mnie z sobą przemocą. Zstąp i daj mi znak, a ja pójdę pomiędzy pogany, w siedliska świata myślącego, we wszystkich uniwersytetach zasiądę, w pracowniach uczonych stanę, w teorję wrosnę korzeniem wiecznym, mi ljon języczne usta mieć będę i zanucę Ci śpiew pochwalny, glorję tak niemilknącą, że jeszcze w krociowem pokoleniu dreszcze rozpalać będzie!... Ja stworzę ci świątynię na tak trwałej opoce, o jakiej marny rybak nie marzył nigdy. Daj mi znak, a ja Ci tron nauką zbuduję, gdzie każda cegła będzie namacalnym dowodem, a wiązanie każde myślą badań ostrych, jak miecz olbrzyma!...

Władek modlił się cierpieniem, co jak skorpion osiadło mu na piersiach, i ogarniało wszystkie władze w posiadanie i wysysało krew życia świeżą, dobroczynną rosę ufności, błagał jękiem sieroty opuszczonej w ponurym lesie, wzywał pragnieniem uczonego, co nowe prawdy przeczuwa jeszcze niejasno i niedość wyraziście. Łamał ręce, darł

włosy z głowy, krzyczał zagadką swego przeznaczenia, bił czołem o ostry kant framugi okna i patrzył spojrzeniem zgnębionego żebraka w ugwiażdżone niebo, z którego szedł tylko chłód zimowej nocy i mroźne tężenie rozpacznej niewiary i cicha, głęboka, nieprzerwana obojętność, tępa głupota nicości.

Takie szamotanie, smaganie się duszy trwało przez trzy lata — profesorowie przepowiadali gienialną przyszłość Władkowi, gdyż był chodzącą encyklopedją teologji — był chlubą fakultetu. Na początku czwartego kursu, gdy rozpoczęto wykłady »Rozwoju Dogmatów« i »Systemu Teologji« Władek był już... ateuszem, zdecydowanym zwolennikiem prawdy Darwinowskiej; wierzył jedynie w cudownie piękny rozwój materjalistyczny świata i człowieka i dziejów. A jako natura na wskroś prawa — plunął na karjerę pastorską, i — wystąpił z uniwersytetu; zapytany o powód — dodał:

— Nie mogę ludzi oszukiwać, bo nie wolno kłamstwa uczyć — trzeba nieść światło, a nie opętanie wiary. Niech się szubrawcy uczą, »Praktycznej Teologji« — czyli »Duszpasterstwa« — ja, profesorze, nie mogę łupić głupiego ludu.

W tydzień potem był już w Zurychu na wydziale historyczno filozoficznym, tu wyzbył się wszelkich mrzonek teologicznych i z kamienną wytrwałością począł pracować. Dnie i tygodnie

upływały z piorunującą szybkością, sam dziwił się, że czas może tak chyżo płynąć, jak strzała wypuszczona z łuku. Zaledwie był poniedziałek, wtorek, był sześć razy na wszechnicy, parę godzin się przespał i już... niedziela. Czemu to czasu nie można zatrzymać lub pchnąć dowolnie, stosownie nie do chęci lub upodobań, lecz dla pożytku chlebodajnego, korzyści owoconośnej — dla pewniejszego zdobycia zamierzonych celów. Władek był dziwną organizacją psychiczną, jaką nie często się spotyka. Posiadał zadziwiającą siłę woli, nieprzełamany bieg swojej pobudki skierowanej w jedną stronę. Lubił, wprost kochał samotność i ciszę, kolegów nie miał, nie bywał nigdzie, nawet w teatrze. Pomiędzy ludźmi czuł się jakiś nieswój, zgorzkniały i jakby zawstydzony — działali mu w niewytłumaczenie przykry sposób na nerwy swoim jakby bezmyślnym, nieplanowym trybem życia; lekkomyślną niefrasobliwością bytowania. Rozumiał, że ludzie spotykani w takiej zastraszającej liczbie codziennie — to nie są ludzie prawdziwi, to jakaś pospolita, haniebna parodja ludzi, jakieś osobliwe półmałpy gadające, wypuszczone przedwcześnie z pracowni, gdzie stają się ludzie pełni i dostojni, jak kwiaty rozkwitłe w zaczarowanym ogrodzie, jak miłe skowronki, co nucą, gdy chłop czarną orze rolę. Instynktownie odczuwał całą tandetę dusz współczesnych, płytkość i pospolitość serc polakierowanych obłudą i pru-

derją. Miał wrażenie przy zbliżeniu, że każdemu w ich w wąskich piersiach neurastenników ropucha kłamstwa, gad złości uwił z brudu gniazdo i siedzi wygodnie w dobrze odżywianym siedlisku. Więc wolał się nie zbliżać do nich, by nie psuć swej harmonji wewnętrznej.

Siedział bezustannie, jak przyśrubowany do lichego krzesła i czytał, czytał i zbierał materjały.

Nareszcie przy końcu szóstego semestru swego pobytu w Zurychu napisał obszerniejszą rozprawę z dziedziny antropologji Europy Zachodniej. Po zaciekłej obronie w kole profesorów, Władek uzyskał doktorat filozofji — miał lat dwadzieścia pięć.

I teraz siedząc przy stole, przebiegał myślą wszystkie etapy swego życia, począwszy od owej zastraszająco okrutnej nocy, w której mu ojca uprowadzono, aż do tej gorzkiej chwili, gdy wyszedł z kancelarji uniwersytetu i trzymał w ręku jeszcze mokry doktorat, i bezwiednie zamyślony stał nad rynsztokiem i nie wiedział co z sobą począć, w jakim iść kierunku, w jakim kraju szukać chleba i wody. I byłby stał długo do nocy i do świtania, gdyby nie koleżanka z wykładów. Przystąpiła do niego cicho, zatrzymała się i rzekła figlarnie:

— Cóż to kochany doktór filozofji liczy ziarnka piasku, by napisać drugą rozprawę dla uzyskania katedry?...

Zbudzenie z chwilowego uśpienia i blady, bezbarwny uśmiech na sinawych ustach.

— Co?... co?... przepraszam, ale nie zrozumiałem, o co koleżance chodzi?... — i począł szybko mrugać oczyma.

— Najpierwej, kolego, nie stójmy nad rynsztokiem; chodźmy powłóczyć się trochę po ulicach — bo to nie przyzwoicie... jakby powiedziała przeciętna warszawianka.

A gdy ruszyli, przysunęła się bliżej do niego i po pewnej chwili szczególnego milczenia, zapytała z ukrytym niepokojem w metalicznie dźwięcznym głosie:

— Cóż kolega myśli począć dalej?... Gdzie osiąść na stałe?...

— Nie wiem — krótka, bezradna odpowiedź.

— To źle! Człowiek nigdy nie powinien nie wiedzieć, zwłaszcza mężczyzna!...

— Może być, ale w życiu są czasami takie godziny zamroczenia duchowego, że człowiek zatraca wszystko, utopi w szarej mgle wszystkie swoje myśli, uczucia, dążenia i kierunki i jest, jak niewidome dziecię. Sam nie wiem, gdzie mam osiąść na stałe, czy we Francji, czy w Niemczech, czy tu w Szwajcarji pozostać, czy do Polski jechać?... Znam cztery języki nowożytne i trzy martwe no i... jestem doktorem filozofji, więc ostatecznie można wszędzie dać sobie jakoś radę!.. Gdybym miał rodziców — pojechałbym do nich...

a tak... siostra już wyszła za mąż... jestem sam... trudno się zdecydować!...

— Do jakiej narodowości się pan zalicza?... — zapytała niepewnie.

— Z punktu widzenia teoretycznego — to nie uznaję żadnej narodowości... To przesąd, jak i każdy inny. Kwestja dwustu, trzystu lat, a będzie bezwstydem zapytać się do jakiej narodowości kto należy, tak samo, jak idjotyzmem pytać się dziś, naprzykład, kto mnie zrodził!... Ojciec mój był niemcem, więc i ja jestem z pochodzenia niemcem. W domu używano z jednaką biegłością tak polskiego, jak i niemieckiego — zatem, jak pani widzi, dość trudno mi określić kim jestem. W naturze mojej zmięszały się oba charakterystyczne pierwiastki zasadnicze obu ras, t. j. wytrwałość, systematyczność i pracowitość niemca z czysto polskim podkładem bezradności i brakiem na dłuższy dystans jasno określonego celu — czyli sakramentalne »jakoś to będzie!...« przylepiło się do duszy.

— Wobec tego, radziłabym panu osiąść tam, gdzie jest najwięcej do działania. To zupełnie się godzi z teorjami pana — no i... z mojemi również. Narody i społeczeństwa winno się traktować, jak przyrodnik traktuje gatunki w zoologji. To jedyny sposób stać się sprawiedliwie użytecznym i, przez antropotechnikę, wytworzyć możliwie doskonałą rasę.

— Pani ma dzielny mózg, ale... przepraszam za impertynencję, logika czysto kobieca... Polska i... antropotechnika!... To parzenie żółwia z gołębicą. Polska — to gatunek trzeciorzędny, a jeśli żyć tak dalej będzie, to prędzej zamrze na uwiąd starczy, niżeli nauczy czytać każdego trzeciego polaka, czytać na papierze i w złotej księdze życia!.. Polska — to klika karjerowiczów i pochlebców za łyżkę soczewicy, to straż ciemnoty ludu swego i gwardja przyboczna zacofania, któremu więzień watykański hetmani. Czy pani zna tych olbrzymów, co mówią — Polska — to my?!... Tak pani, Polska — to oni, to państwo duchów, gdzie berło dzierży podobłoczny pan Sienkiewicz i uczy swoją Polskę, jak ma robić miljony na głodzie rosyjskiego chłopa.

Polska — to smutna rzecz!...

Pani! naród, który upadł, a nie skupił się w sobie, jak tygrys do skoku, co nie spojrzał w siebie okiem gorącem, jak rozpalone żelazo, co nie zapragnął być czystym, jak promień srebrnego słońca, naród, który nie objął się wzajemnie w ramiona, jak para kochanków na śmierć idąca — taki naród musi umrzeć, albowiem takie jest prawo życia i — kwita!...

— Niestety!... Niestety... mówi pan prawdę gorzką, jako piołun i czarną, jak cykorja...

Przystanęła z głową opuszczoną, pełna smutku i przygnębienia i trupia bladość lica powlokła.

Potem żar krwi strzelił rumieńcem do twarzy; postać się wyprostowała i poczęła rosnąć wzwyż, ramiona z bronzu odlane, pierś podniesiona, oko rzuca błyskawice, ostre, jak brzytwy, płonące, jak pochodnia — od kobiety idzie majestat uroczysty, jak chwila skonania.

— Pan się myli, panie doktorze filozofji, pan nie zna całej polskości, polskość to tajemniczy sfinks, to skarb jeszcze nieodkryty. Czy pan potrafi zrozumieć, że są dwie Polski?... dwa narody w jednym wezwaniu zachowane, jako dwie perły w jednej muszli zamknięte? Jest Polska stara, bezwstydna i, na szczęście, konająca — ta Polska prócz imienia, nie ma nic wspólnego z tą cudną, jak sen bajecznych archaniołów, z tą subtelną, jak barwy na skrzydłach polnych motyli, z tą czułą, jak struny harfy eolskiej, z tą Polską Nowotną, co zaledwie w powijaku kwili. W tej Polsce są oczy z pracy i łez oślepłe nad podźwignięciem z prochu imienia polskiego. Są serca umęczone, jak chrabąszcz na ostrej szpilce, są mózgi za miljony myślące, dusze podobne do liljowo niewinnych obłoczków w zaraniu porannego dzionka, orły ludzkości, unoszące zapadłemi piersiami fundamenty sławy w błoto wgniecionej, słońca, co tulą, świecą i grzeją, by w tych słodkich ciepła promieniach, łona dziewic niepokalanych nawet dreszczem pożądania, rodziły żniwiarzy Polski kochającej najnieszczęśliwsze pisklę swoje, tej przy-

szłej Polski, promiennej dobrocią i ukochaniem ukrzyżowanych na błogosławionych torturach samopoświęcenia, dla dzieci zgłodniałych chleba radości zbratania, dla tych ust grobowych, nie znających nigdy przejasnego śmiechu równości, ani łez plemiennego współczucia. W tej Polsce nowej niema smutku upokorzeń brata od brata — jest jeden krwawy szloch i jedno uderzenie rozradowanych serc stęsknionych, zakrwawiony świt i równy bieg ku południowi kwitnącemu. Przysięgam panu, przez trud i pracę, miłość i ból dusz w Polsce teraz deptanych — Ona rozepnie sztandary!...

W owej sekundzie była taka piękna i jakoś niedościgniona, prorocza, bijąca blaskami ducha nowego, taka podniosła i wielka, że Władek uczuł w głębi swojej, że jest jej niewolnikiem aż do ostatniego spojrzenia, że uczyni wszystko, co ona rozkazać raczy, byleby mógł patrzeć na nią zamglonym z podziwu wzrokiem i obcować wraz z jej duszą przy boskim stole rozpamiętywań. A ona po chwili dodała:

— Na przyszłość proszę pamiętać, że są anioły polskie i przed nimi trzeba czołem uderzyć, jak paź zakochany w oczach swojej królowej.

Tak się rozstali tego pamiętnego dnia.

Hela właśnie ukończyła przyrodę i przyjechała do Warszawy. Dostała po kilku dniach lekcje języka francuskiego; zarabiała trzydzieści pięć rubli na miesiąc i to jej zupełnie wystarczało; resztę

wolnego czasu oddała na usługi ciemnoty miejskich parjasów. Wieczorami nauczała dorosłych robotników, wykładała pewien całokształt poglądów na życie i otoczenie. Na krańcach miasta zorganizowała kilka szkółek dla dzieci i tam spędzała przedpołudnia — tak wiodła życie. Niejednokrotnie proponowano jej bardzo korzystne miejsca nauczycielki rządowej — odrzucała z zasady.

Władek od owego dnia żył jedynie wonnym płomieniem żarliwej miłości dla Heli. Uczucie powstało w nim szybko i nagle, jak ogień od uderzenia piorunu, nie tłumił tego ogniska, obejmującego mu duszę, jak miły i kochany powiew wiatru nad brzegiem śródziemnego morza — lecz owszem, poddawał się z błogiem opuszczeniem tej rozlewnej, słodkiej, cichej fali, szemrzącej melodyjnie i dźwięcznie w głębokościach jaźni. Przyszedł do niego niewidzialny duch opiekuńczy i w rubinowym kielichu, jak w róży kwiecie, podał wargom, spiekłym od samotności i dreszczów gorączki, balsamiczny napój, trunek istot wybranych w dolinie zgrzytów i niemych kurczów serca. Przyniósł w puharze sok życiodajny, ożywczą rosę, zbieraną na drobnych listkach fijołków przez wszechtwórczą władzę tajemną, co spaja na wieki wieków i wiąże dwie dusze bezcennymi łańcuchy, uwitymi z delikatnych niezapominajek, gdzieniegdzie przetykanych srebrzystemi perły. Przyszedł ze skrzydły śnieżnemi, jak tęczowa wizja zgorączkowanego

poety marzyciela; i w muszli przecudnie rzeźbionej podał upojny balsam miłości; podał wino wiecznie młodych gron, co rosną potężnie po wszystkich pustyniach biegnącego żaru umęczenia.

Władek kochał Helę całym swoim istnieniem, całą chęcią życia.

O cudna i droga miłości, ty lśniąca świętemi barwy fąlo ukojenia, blasku jaśniejszy, niż twarz niepokalanie czystych marzeń zakonnicy, modlącej się westchnieniami do widzianego w głębi serca anioła. O ty dźwignio osobliwej mocy, cząstko relikwji, która nigdy na ziemi nie znajdzie sobie godnego pomieszczenia, świątyni wzniesionej dłońmi najlepszej części ludzkości, sanktuarjum zdobne w światłodajne kamienie drogie, wydobyte z serc ludzi doskonalszych, czystszych, niż gołębie zakochane. O, siło boska, siło niewidzialna, a tak przepotężna!... Biedna, bardzo biedna pierś, w której nigdy twa iskra nieśmiertelności, gwiazda zbawienia w opuszczeniu, nie wystrzeli z dostojnym sykiem, trzaskiem radosnego ognia. O jakże ubogim, jak nieskończenie nędznym byłby język każdego plemienia, gdyby, o ziele tajemnicze, różowa ptaszyno przedświtu, miłości droga, nie miał ciebie w swoim słowniku bogatym?... Co byłby wart mózg człowieczy, gdyby nie rozumiał ciebie, o niezapominajko wykwitająca w duszy szlachetnej?... Jesteś, o miłości, jak śpiew ogrodu, w którym wybrani do uczty nieziemskiej społem zasia-

dają, jesteś zdrojem na upalnych bezdrożach, cysterną w każdym czasie napełnioną po brylantowe brzegi płynem żywota. Nasienie osobliwego kwiatu, kto raz poczuł twój zapach archaniełski — ten ma mgliste tęsknoty ku przeobrażeniu się w jedną modlitwę na cześć i chwałę i pozdrowienie twoje, o purpurowa różo, wyrosła na szczycie korony uczuć naszych. O śliczna miłości, jesteś, jak melodja, nucona w zachwycie głosami serafinów, gdy słońce na widnokręgu rankiem majowym powstaje i płynie na złotych żaglach przez poszarpane fale zmroku! Jesteś, jak arja słowików ukrytych w cichej gęstwinie gaju młodego, a przyjście twoje, tak przecudowne, jak zachód jesieni polskiej! Głos twój rozśpiewany, jako szept lasu świeżego w czerwcowej północy, gdy życie strudzone wokoło snem smacznym spoczywa. O tajny obłoku biały, skąpany w świetle rażącem oczy śmiertelne, płyną do ciebie, jak klucz żórawi, muzyczne dźwięki i spojrzenia jasne źrenic błogosławionych, płyną nieprzerwanie, ukryte przed wzrokiem ciekawych, sny wieczorne ludzi osłabłych, boś jest szczęście nad szczęściem, jako symfonja grana mistrzowską dłonią pocieszycieli wyczekującej ludzkości, boś jest ziarnem czynu i odkupieniem i niebem jedynem i szałem upojenia i tryumfem bez granic! Witaj nam, witaj — zorzo niezgaszona, pokarmie boży i potęgi matko niezniszczalna!...

Zanim się pojawisz przeczysta, jak gołębica z gałązką oliwną, zanim zakwitniesz, jak mistyczny kwiat lotosu, to duch, osłabły w ciemnościach i lęku, brodzi, jak człowiek z kraju wygnany po obcej wodzie na wątłej łodzi i niepokojem zasila swoją mękę, drżenie wstrząsa ciałem i tępy ból bezradnego pytania uderza silną pięścią w czoło uznojone. Dzień za dniem ubiega, jak liście rzucone na bystry prąd wezbranej rzeki, a końca i celu podróży nie widać z zasłon przyszłości; przygnębienie porywa w straszne uściski zwątpienia i żalu gryzącego, za czemś, co się łka w szlochach zduszonych pancernym wysiłkiem, zbrojnym obawą wstydu. Lecz skoro przyjdziesz na gody niewysłowione, na śluby uroczyste, ty upojna i pożądana, ty dobra i słodka błogości miłosna, ekstazo wniebowstąpienia — zapomniane jęki i łzy, troski i strapienia krwawe, niknie bezład i pustka w sercu omdlałem. Staje obraz malowany wyobraźnią i pociąga kolorami, co przylgną do mózgu nierozłączalnie, oczarują wzruszeniem najpierwszej chwili i pierwszym dreszczem spoją pamięć i zmysł odczucia. Miłości, miłości, błyskawicą otoczony orle tytanicznych rzutów, umiłowany, czuły stanie dusz pogrążonych w sobie, jak gwiazdy w przestrzeni; kosztując owocu twego umrzeć można za harmonijnie brzmiące imię twoje; niema narzędzia, instrumentu tak subtelnego, niema struny tak śpiewnej, by chociaż

w przybliżeniu oddać odcienie hymnu, rozlegającego się w piersi, w otoczeniu i w świecie całym. Tak długo, ach tak bardzo długo czekać trzeba, nim ujrzy światło dzienne istota skończona i pełnemi dźwięki zaintonuje pozdrowienie twoje, co przejdzie dookoła globu i oczaruje wszystkich. Tak długo czekać trzeba, byś Ty, miłości, skarbie najwyższy, szczycie niedościgły, została poznaną we wszystkim majestacie i wspaniałości swojej. Myśl nie ogarnie, rozum nie pojmie ogromu rozkoszy, jaka w kochaniu się mieści!...

Trzeba jedynie czuć te kryształowe kaskady, przypływy ciepłe i rozbłękitnione wytryski wzmożonego uczucia; w niem zawiera się przedsmak radości bez krawędzi i wszelkich pociech bezbrzeżnych.

Miłości, kwiecie wypieszczony, wzroku daleko widzący, niema nic piękniejszego nad twoje drgnienie serdeczne, nad poruszenia twych płomieni, nad twe przebłyski lazurowe. Wszystko, co kiedykolwiek istniało w czasie i istnieć będzie — przeminie, jak mgła rozwiana, jak noc przed dniem, a niepożytość twoja pozostanie zawsze i wszędzie i święcić będzie coraz wspanialsze królowanie w przestrzeni myśli, wyzwolonej z pęt narzuconych nielitościwie przez wrogów, zabójców podniebnolotnego ptaka. Miłości moja, przybytku, w którym złożyłem każdą myśl lepszą, każdą chęć ogólną, zaufanie wiary i rozgrzeszenie z nad-

miaru nieziszczonych nadziei, rozszerzenie skali szlachetnego instynktu, jesteś jako krynica, lecząca wady i nieudolności! O miłości ukochana, wijatyku gładzący wszystkie grzechy, ciało i krew odkupienia z pospolitej, miernej szarzyzny zjadaczy codziennego chleba, zadatku do oddychania pełną piersią uciech dostępnych śmiertelnikom. Na czyjem czole raczysz położyć swoją dłoń prawdziwą — ten odróżnionym pozostanie na długie lata w umysłach potomnych, albowiem jesteś siłą tak przeogromną, że tchnienie twoje stwarza nowe prawdy, ukryte w głębokich pokładach lenistwa ludzi, nie chcących iść z uśmiechem na podstępny szaniec, na którym tak często grozi upadek i zniechęcenie!...

Bądźże mi uczczona, miłości, sułtanko najcenniejszych uczuć, bądź mi uczczona każdym światła promyczkiem, powiewem wiatru, pluskiem strumyków, łzawą melodją deszczu podczas nocy wiosennej. Wszystko, co pod jakąkolwiek formą znajduje się we wszechświecie, niech jako pokorne służki ci będą, niech na twe skinienie stanie w ciszy i oczekiwaniu na twoje arcy hojne dary. Kto pod dobrotliwem natchnieniem miłości sieje — zbiera urodzajne kłosy ulżenia doli jęczącym, boś ty, miłości, morze miłosierdzia, ofiarą całopalną, z której wyrasta wdzięczność i zaufanie. Dobroć twoja i wielmożność niewyczerpana, jak powietrze, jak błyski gwiazd migoczących na szafiro-

wym firmamencie, jak trwanie nieskończoności, jak niewygasłe pokolenia ludzi i wszelkich gatunków żyjących, jak wieczne tworzenie, jak ciągłe powstawanie światów!...

O ty monarsza! o ty przenajświętsza miłości moja! żeś przyszła do mnie tak niespodziewanie, cicho i tak wdzięcznie, jak cień jakiś drogi, jak widziadło urocze, jak zjawisko złote z bajki wschodniej, jako wonność balsamu — kocham, kocham ciebie więcej niźli zdrowie, niźli serca bicie, niźli oczy własne. O ty, niepojęta, niebieska posłanko, ukoicielko mojej tęsknoty, amforo z trunkiem słodszym, niż sen zmęczonego pracą, żeś przybyła do mnie taka pogodna i świeża, jak wiosną leśne ustronie — modlę się do ciebie. Ustawiłem ciebie na piedestale, ubranym marzeniami w noce bezsenne, i biję czołem i kajam się w prochu i pyle — o miłości droga. Święta, po trzykroć święta jest miłość mocarna, żywicielka duszy, różdżka magiczna, co kąkol i pokrzywy w bukiety zamienia! Gdybym nie istniał, czyniłbym wyrzuty naturze za to tylko, żem miłości nie zakosztował, jak dziecię pokarmu matki rodzonej!...

O, Helo!.. Helo! bądź pochwalona pomiędzy niewiastami, zwierciadło dobroci i ukochania; bądź pochwalona tym pierwszym momentem, kiedy pierwszy twór powstał na ziemi, bądź pochwalona ową pierwszą jasnością, wysłaną przez słońce, by rozedrzeć mroki globu naszego! Bądź pochwaloną

w ową godzinę, gdy człowiek zatknie sztandar zwycięski na wyżynach swobody i radosnym głosem obwieści żywiołom początek zbratania; tym cudnym tryumfem nad ciemnotą — bądź pochwalona duszo umiłowana — po trzykroć bądź pochwalona!...

Zbudził się ze swych błękitnych marzeń o szczęściu, przybiegł znowuż do dzisiejszej rzeczywistości. Spojrzał na zegarek — była godzina czwarta. Odłożył pisanie na bok i począł zabierać się do wyjścia. Przyrzekł Heli przeczytać przedostatni rozdział swego Wstępu do Socjologji, w którym rozwijał zupełnie nowe poglądy, zwalczając niezbitą argumentacją dotychczasowe teorje, panujące w naukach społecznych. Największą rozkoszą były dla niego wspólne czytania i rozmowy pełne dyskusji z ukochaną Helą. Gdyby został członkiem którejkolwiek akademji zagranicznej nie byłby z tego tak dumnym, jak z kilku słów pochwały, wyrzeczonej różowemi usty drogiej kobiety.

Zarzucił na siebie letnie palto i biorąc świeżo wydaną książkę Majewskiego »Naukę o cywilizacji«, mimowolnie rzucił wzrokiem na duży portret Heli.

— Helu... Heluniu droga... duchu mój bratni... prawdo wieczna, bądź pozdrowiona stokrotko mała — wyszeptały uśmiechnięte usta błogim uczuciem szczęśliwości dziwnej.

Wyszedł ze swego pokoju — spotkał panią

Bojarską, powracającą z miasta. Była uśmiechnięta i rozpromieniona szczególnym jakimś ożywieniem. W długich, białych, z kokieterją utrzymywanych palcach trzymała małą wiązankę białych irysów. Wysoka, śmigła, jak sosna, o ciemnych włosach i owalnej twarzy, sprawiała przyjemne wrażenie. Widząc wychodzącego Władka, pytała:

— Jakto, panie Władysławie, pan wychodzi?... zaraz będzie obiad. Widzi pan, kupiłam śliczne irysy; będzie tak przyjemnie jeść obiad.

Władek spojrzał na zegarek.

— Przepraszam panią, ale dziś nie będę na obiedzie, mam pewną sprawę do załatwienia. Powinienem już dawno wyjść — przyrzekłem przyjść o trzeciej, teraz już po czwartej... spóźnię się!...

— Szkoda, będzie taki dobry obiad... Ale właściwie, to ja pana przepraszam za opóźnienie... Ach, Boże, to tak z temi sługami — nic zrobić nie umieją!...

— A, prawda, byłbym zapomniał. Otóż to ja chciałem pomówić z panią kilka słów z powodu naszej Józefy...

— No, co tam takiego?... może panu zbiła coś potrzebnego. Niema pan pojęcia, jaka to do niczego dziewczyna. Wymówiłam jej miejsce. Skaranie boskie z tą służbą!...

— To źle szanowna pani zrobiła, pozwoli pani sobie powiedzieć, bo Józefa jest pracowita, inteligientna dziewczyna. Wcale tego nie widzę, by była

do niczego. Jeżeli się spóźnia z obiadem — to nie jej wina, ma za wiele roboty. Maszyna przeciążona pracą i to stanie na miejscu. Trzeba ostatecznie raz zrozumieć, że człowiek jest słabem zwierzęciem pociągowem.

— Ależ, proszę pana — odparła pani Bojarska niemile dotknięta — ona tak znowuż nie pracuje, skoro, po całych wieczorach książki czyta, które jej pan daje.

— A pani by chciała, żeby nie czytała?... Za pozwoleniem, cóż ma więc robić?...

— Pracowita służąca zawsze coś do roboty w domu znajdzie, a ona książkami zabija czas.

— O, *mille fois pardon, madame,* ale stanowczo biorę jej obronę. Ona romansideł ni marnych rymów nie czyta — lecz to, co ją oświecić i nauczyć może. Wieczory powinny do niej należeć, by mogła wypocząć i czemś umysł nakarmić, jeżeli nie czuje potrzeby do innej rozrywki.

— Doktrynerstwo u pana na każdym kroku — rzekła pani Bojarska — zajmować się tak służącą. Uczyć czytać, pisać, rachować, dawać »Ideały społeczne« Prusa do czytania i tym podobne rzeczy. Czy pan wie, że oświata, wiedza, kultura, wolność *et caetera*, zawraca w głowie takiej dziewczynie?... Wie pan, co mi dziś powiedziała?... Co mi taka wiejska dziewczyna śmiała powiedzieć?... Wszyscy ludzie są sobie równi nietylko w słowach pacierza, ale i w prawach wobec siebie, bo nikt się

z oznakami wielmożności nie urodził — oto, taka oświecona, taki skutek czytania Żeromskiego.

— Może mam jej kupić... »Przeraźliwe Echo Trąby Ostatecznej«, lub »Cuda Boże w świętych duszach czyśćcowych«?... Żart na stronę. Czy pani uznaje to, co niejednokrotnie pani z taką empfazą wygłaszała o pracy z ludem, przy ludzie, nad ludem, pod ludem »z polską szlachtą, polski lud«, Polska odradzająca się z chłopa i licz aż do tysiąca?...

— To jedno z drugim niema nic wspólnego.

— Przepraszam panią, lecz albo ja, albo pani źle rozumuje. Jeżeli wierzy się w to, co się głosi i uznaje za konieczność, to się wprowadza w czyn, w rzeczywistość, w samo życie. Nie wolno omieszkiwać najmniejszej sposobności, najbłahszej okazji, jeno gdzie się da, zawsze i wszędzie przy każdem stąpnieniu pracuje się ze wszystkich sił — inaczej biada, okrutna biada — proszę pani.

— Przecież ja nie mogę być nauczycielką sługi mojej, nie mogę z nią razem usiąść i rozmawiać, jak z przyjaciółką!...

— O gorzka tragikomedjo, ciągle ta polska buta i wyniosłość! Nie można być przyjaciółką i nauczycielką sługi... ha!... ha!... ha!... Czy pani wie, że kto nie jest nauczycielem — to siłą rzeczy, musi gasić światło. Nie chce pani być jej przyjaciółką — to jest pani wrogiem, bo obojętności w życiu niema. Na nic sny poetów, na nic

miraże złote ich pragnień, bo wy wolicie ciemiężyć, niż kochać. A jeśli co robicie — to robicie z obawy o wasze grzbiety, szanowni rodacy o pełnym brzuchu i białych rączkach i czole niefrasobliwem. Strzeżcie się! — życia nikt nie zatrzyma. Strzeżcie się, frazesowicze, by ten lud, ten motłoch nie pluł na was pogardą i nienawiści przekleństwem. Dni ciemnoty są policzone. Prawdziwego bólu nic nie ukoi i tem samem nie oszuka. Tam, w dole, nie śpią i rąk nie załamują z westchnieniem!

— Ale przepraszam pana — odparła pani Bojarska oburzona do głębi — dziękuję, nie potrzebuję otrzymywać lekcji patrjotyzmu, zwłaszcza od niemca, sama wiem, co należy robić polskiej kobiecie...

— O, pani! pojęcie polskiej kobiety jest zbyt rozległe. Nie wolno mięszać wszystkich ptaków, nazywać jednem imieniem na tej podstawie, że wszystkie mają upierzenie. Wiem o tem wybornie, że istnieją polskie kobiety, przed któremi sam Bóg, gdyby był, musiałby czołem uderzyć — ale, niestety, pani do nich nie należy!...

— Pan jest impertynent i gbur, jak wszyscy hakatyści!

— *Mea culpa!* nie umiem histerji prawić komplimentów.

Pani Bojarska spojrzała na Władka piorunują-

cym spojrzeniem od stóp do głów i drżącemi usty rzuciła pogardliwie:

— Pyszałek! — trzasnęła drzwiami od swego pokoju.

Władek wzruszył z politowaniem ramionami i wyszedł. Idąc po schodach pytał się w duszy samego siebie.

— Co ci ludzie sobie myślą?... jak oni mogą żyć?... Co ich czeka?... Oby oni tej cudnej duszy swego ludu nie zarazili swoją bezmyślną dumą!...

Na podwórzu spotkał go stróż domu, niski, krępy, przysadkowaty człeczyna o dużej, nieproporcjonalnej głowie, twarzy żółtej, ozdobionej parą chytrze biegających oczów. Gdy Władka spostrzegł, już zdaleka zdjął czapkę i kłaniał się potulnie i patrzał, jak obity pies, w oczy. Władka porwała głucha pasja na tego sługusa, odwrócił głowę i spluwając przez zęby, pomyślał:

— Podła kreatura, piętnaście razy dziennie zdejmuje czapę dlatego, że za otworzenie bramy dostaje dwadzieścia groszy. Oto owoce waszej pracy nad ludem, szanowna polko, pani Bojarska!...

Wyszedł na ulicę. Powietrze było ożywcze, świeże aż pachniało dziwną rozkoszą, jak zwykle latem po rzęsistym deszczu. Oddychając swobodnie znalazł się w Alejach Jerozolimskich. W przestrzeni królowała jasność i złota pogoda, na ziemi jakieś kochane dobro spoglądało wesoło w twa-

rze spieszących się przechodniów i radowało cichym blaskiem przymglone oczy; figlarna, niby płocha swoboda towarzyszyła ludziom niebacznym i roztargnionym, wdzięczne miłowanie szło naprzeciw każdemu i niemą błogością przemawiało doń, jak mówi swoim spokojem pogodne południe. Jest jakaś siła niezbadana, a uroczysta, jak solenne nabożeństwo cierpienia skrytego, powaga przystępna i łagodna w tej tężyznie, rzeźkości, unoszącej się w obszarach okalających świat. Mózg zapomina na pewien czas o wszystkiem, gdy spotyka się z przyrodą po burzy, serce śpiewa drogie melodje zachwytu, a płuca napawają się balsamem kojącym, jak maść cudowna, wonią delikatniejszą, niż olejki arabskie. Drzewka uliczne, biedne, bezbronne samotniki, narażone o każdej chwili na krzywdy bolesne z rąk nieświadomych uliczników, stały jakoś inne, wyprostowane i śmigłe, jakby w poczuciu swego tajemniczego dostojeństwa, stałą cechę natury. Liście, nieco przywiędłe od dymów i kurzu, nabrały prawdziwej, miłej dla oka zieloności i lekko się poruszając, wydawały ledwie dosłyszalny szept słodki, jak dalekie... dalekie brzęczenie cytry. W górze i na dole było ciepłe i przyjemne rozmarzenie zdrowia i wypoczętej mocy. Władek instynktownie podniósł wzrok wzwyż — aż stanął oniemiały z podziwu, takie niebo było cudowne, ach takie cudowne. Żaden gieniusz nie potrafi tak fantastycznie rozrzucić

i poszarpać, a tak z przedziwną harmonją, ozdobić swych chmur i obłoków na pejzażach, jak czyni to lekki wietrzyk i ciepło letniego słońca. O czarodziejskie piękno polskiego nieba; gdyby nic nie zostało na tym skrawku ziemi, jeno gruzy z pomników, a nad niemi te stropy, wtedy... jeszczeby tęsknota żarła piersi za temi stronami, jeszczeby wyła dusza nostalgją, ciało pragnęłoby ledz w tej glebie i mieć za namiot polskie firmamenty!

Przystanął, oparł się ramieniem o drzewko, ręce założył na piersi, i rozszerzonemi oczyma wpił się w niebo... sycił ducha ucztą, jakiej żadna siła ludzka zgotować nie może.

Przed godziną padał ulewny deszcz i jeszcze teraz czuć było wilgoć w powietrzu subtelnem. Jak sięgnąć zachwyconem okiem, tło nieba opalowe, na wschodzie bliskim, jakby tuż nad samą Wisłą, ciągnęły się długim wieńcem jasno-szafirowe ptaki... wolno... wolno, jak orszak tryumfalny, mając na przodzie lazurowego przewodnika o głowie przybranej śnieżnej białości koroną i ogromnych na milę skrzydłach perłowego koloru, podpięte fioletowym podbiciem, a pod temi bajecznymi ptaki płynęła błękitna cicha woda. Północ, jak wielka chorągiew rozwinięta, srebrna, wspaniała, a dla przepychu okryta przejrzystym tiulem o niebieskawym odcieniu. Południe zalane owalnemi smugi, spięte jedna na drugiej, szczepione

koronkowymi boki, szły majestatycznie w zapadłą nieskończoność, jak idą równe fale ku temu miejscu, gdzie bezkreś nieba tuli w objęciu z lekka drżące morze. Władek przeniósł powoli źrenice na zachód — tu nie mógł powstrzymać okrzyku:

— O niebo!... niebo... jakieś ty śliczne, jakie kochane!... — i łzy radości zaszkliły się w oczach.

Rzeczywistość przechodziła wszelkie granice snów arabeskowych. Cały zachód zawalony zwałami obłoków, rzuconych ogromnymi kłębami jednych na drugie, tworzących zastraszające swoją wielkością góry zwarte, o pozębionych szczytach, gdzieniegdzie ostrych jak cyple, to znowuż półokrągło karbowanych. Złomy tych gór tworzyły urwiska, szczeliny spadziste, strome, mogące zawrót głowy sprowadzić, jak upojne wino; to znowuż skręcone w nabrzmiałych przegubach, jakby skrępowane wąskimi pasami, wrzynającymi się głęboko w pulchne ciało. Wygięte, w środku wklęsłe, po bokach wystające silnie naprzód, zbite w chmury, w stosy o barwie, jaką ma dym, gdy pastuchy suche gałęzie sosny i łodygi zielsk na polu zapalą. Matowe, bezrzęsne słońce z trudem przedzierało się przez sam środek obłoków i prażyło je światłem, aż zrobiło wyrwę, niby olbrzymią kulą armatnią, i patrzało przez strzępy na ziemię.

O barwy! o barwy, leczące duszę z apatji i znużenia.

Gdzie słońce słało jasność — obłoczki były

czystsze od śniegu na stokach Garnisankaru; przezroczystsze niż najklarowniejszy kryształ. Nieco w oddaleniu od wyrwy, różowe cienie rozłożyły się szerokimi liśćmi i jako krwiste żyły ożywiały obłoczki, niżej siność ponura niepodzielnie panowała, a na dalszym planie rozciągnięta brudna płachta szpeciła horyzont.

O duszo stęskniona, duszo znękana, spojrzyj na polskie niebo po deszczu lub burzy, o wschodzie lub zachodzie — a znajdziesz błogosławieństwo ukojenia!...

Władka ogarnęło przedziwnie spokojne i dobroczynne uczucie niemego szczęścia. Ach, gdyby tak stać się skrzydlatym ptakiem i módz pofrunąć tam do tych piękności, tych ołtarzy zachwycenia; siąść na jednym z anielskich zrębów i z całych mocy zanucić pieśń niebywałą, ażby ziemia wszystka odpowiedziała niewinnym uśmiechem podzięki, spojrzeniem zadowolenia i cichym poklaskiem ogólnie pożądanej zgody, i jako pomnik wiecznego zbratania się, zrodziłaby wymarzony kwiat, od którego woni konałyby złości i zbrodnicze zamiary.

— Ach, jakie cudy!... ach, jakie piękne!... — szeptał w uniesieniu Władek i dreszcz przyjacielski przebiegał w nim od nóg do głowy i z powrotem.

— Nie wiedziałem, że pan taki zapalony poeta!... — wyrzekł jakiś szorstkawy głos tuż około niego.

Władek zadrżał i nie wiedział, co ma właściwie z sobą robić, czuł się zawstydzony na gorącym uczynku podziwiania nieba. Spuścił oczy na dół i bąknął niewyraźnie:

— Ja tylko patrzałem przed siebie, bezmyślnie — zupełnie bezmyślnie... Przecież wiem wybornie, że po obłokach bezkarnie bujać nie można.

— Nie wiedziałam, że pan taki poeta i nie wiedziałam, że pan tak, jak każdy poeta, kłamać, jakoby z nut, umie — rzekła napoły rozbawiona jego zakłopotaniem — przecież stoję około pana od pół godziny i wraz z panem, w jego miłem towarzystwie, sprawiającem mi zaszczyt wielki, piję piękno przyrody, ten nektar dusz nieziemskich, ten napój balsamiczny i to cudo śpiewające!... — parsknęła głośnym, serdecznym śmiechem młodości — powtarzam za panem w pokornem namaszczeniu, w wielkiej ekstazie: »Ach, jakie cudy!... ach, jakie piękne!...«

— Pani jest niemożliwa z tą swoją satyryczną złośliwością — odparł Władek i zaczął iść — niech pani patrzy na to niebo i niech pani żałuje, że nie czuje dreszczów i wzruszeń estetycznych. To jest najsłodsza poezja... przynajmniej w pewnych chwilach i dla pewnych jednostek — dodał po chwili.

— Mój panie, zanim zaczniemy się kłócić o niebo i poezję, proszę mi powiedzieć dokąd zdążamy obecną drogą, bo z panem trzeba mó-

wić ściśle, inaczej pan, by się odwdzięczyć za szyderstwo, gotów zrobić koziołka i odmiennie zrozumieć moje słowa, wykazując tem, że nie umię z panem mówić. Jak to pan często dowcipnie czyni — znam cię, ziółko filozoficzne, żeś skłonne do sofizmatów.

— Obecnie idę do pań. Nie wie pani przypadkiem, czy panna Helena jest w domu?... A co do pani dowcipu — to żałuję bardzo, że nie jestem redaktorem »Muchy«, zarazbym panią zaangażował do pracy.

— Dziękuję uniżenie za łaskawą opinję o mojej niegodnej osobie, ale nigdybym nie pisała w jednym »Tygodniku« lub wogóle w jakimś piśmidełku z panem — zrozumiano?... Hela, zdaje się, że będzie w domu. Wie pan, powiem mu ciekawą nowinę, tyczącą się mojej persony dostojnej... Widzę, że pan pozostaje nieczuły i objawia mało zainteresowania — zatem, gniewam się i nic nie mówię. Jest pan nieznośny!...

— Ależ, nie, nie — zaprzeczył żywo — przeciwnie, rad będę bardzo za wtajemniczenie mnie w swoje sprawy. Przecież pani wie, stanowimy trójcę godnych osobników: to jest Hela, pani, no i... ja!...

— Niech pan sobie wyobrazi, moja rodzina dowiedziała się jakimś niewytłumaczonym sposobem o mojej bytności w Warszawie — no i braciszek przyjechał nawracać występną siostrzyczkę,

by powróciła na łono ukochanej rodziny. Zaklinał mnie na wszystkie świętości Jehowy, bym porzuciła świętokradzkie życie gojów i szajgeców no... i tak dalej, proszę sobie w czułej duszy harmonijny koniec dośpiewać. Niech pan powie, jaka bestja sprytna, wie, że matkę kocham bardzo, to roztaczał przedemną obrazy jej serdecznej rozpaczy po stracie córki... O mało co nie uległam namowom, aż musiałam się ironją i szyderstwem, jak ostrym biczem, podcinać, by zgnieść w sobie tęsknotę za domem, za widokiem matki i poczciwym, brudnym Sosnowcem.

Głowę opuściła na piersi, zasmucona i nieswojska szła obok Władka. Zdawało się, że jakiś straszliwy ciężar spadł nagle na jej suche i zaokrąglone plecy i gniótł i gniótł boleśnie. Władek znał ją dwa lata, znał jej historję życia; krótką i gorzką, jak piołun.

Była żydówką, nazywała się Hana Dwojra Grünsand; ojciec jej pospolity chałaciarz, zabłocony do pasa, odmawiający modlitwy codziennie w białej koszuli, matka brudna, małomiasteczkowa przekupka, pomagająca ojcu w utrzymaniu rodziny. Mieszkali w odrapanej dziurze zwanej naszym Sosnowcem. Stary Grünsand, wysoki, chudy kościsty, rudowłosy żyd, był z zawodu introligatorem, a w wolnych chwilach trudnił się przemytnictwem, kontrabandą wszelkiego towaru, nie wyłączywszy nawet żywego. Mieszkanie ich znajdo-

wało się na jednej z przyzwoitszych ulic, na której posiadali jednopiętrową kamienicę i spore oficyny. W kamienicy od frontu były dwa pomieszczenia sklepowe. Po jednej stronie ojciec Hany Dwojry utrzymywał »Piwną Ławkę« do wypicia na miejscu i na wynos; po drugiej matka miała wykupiony patent na »Miełocznoją Ławkę«.

Ławka składała się z pięciu ubikacji; w pierwszej i jednocześnie najmniejszej stał bufet, na nim kilka szklanek i syfon z wodą sodową, za bufetem szafa sklepowa z kilkoma flaszkami »Malinowego soku z fabryki Grünsanda«, na przodzie »Ławki« trzy małe stoliki do gry w domino, kilka wyplatanych stołków i krzesełek. To była »Miełocznaja Ławka«.

W pozostałych czterech pomieszczeniach, przegrodzonych trzcinowymi parawanami, mieszkało... osiem prostytutek, płacących trzy czwarte swego dochodu pani fabrykantowej Grünsandowej.

Pan Grünsand był to człek obrotny, rzutki, śmiały i przedsiębiorczy... »ryzykant na wszystko«, jak głosiły usta mieszkańców Sosnowca; prowadził wyżej wspomniane dwa »magazyny«, sprowadzał transporty bławatnych fatałaszków dla kupców warszawskich, i warsztat introligatorski, w którym Hana-Dwojra nauczyła się oprawiania książek. Ojciec, jako na dobrego ojca przystało, dbały o dobrobyt dziecka — kazał ją uczyć nietylko żydowszczyzny, lecz i języka polskiego, a to w celu

lepszego porozumienia się z odbiorcami z Warszawy słowiańskiego pochodzenia. Oto kot syty i kanarek zdrów!... Dziecku naukę — interesowi urzędnika!... Jeśli się trafiła jaka książka do oprawy — Hana musiała to uskutecznić. Czyniła to chętnie, gdyż po oprawieniu... czytała ją. Wyobraźnia rozpaliła się i myśl zbudzona poczęła pracować. Następstwa były takie, że Hana pożyczała z miejscowej czytelni książki i pożerała je po całych dniach i nocach. Żydowska dusza skąpała się w innym oceanie, zakosztowała poezji, rozsianej tu i owdzie po mieszczańskiej literaturze i poczęła się dusić otaczającym ją gnojem. Wkrótce zjawiła się tęsknota, biały ptak ideału. Gdy skończyła lat dwadzieścia jeden, z trudem wyrobiła sobie paszport i nie mówiąc nic w domu, przyjechała do Warszawy, mając dwadzieścia dwie kopiejki w kieszeni. W tym samym dniu zgodziła się do służby u jakiejś pani urzędnikowej; po przebyciu pół roku, rzuciła karjerę »do wszystkiego«, dając panu urzędnikowi pomywakiem w »inteligentny« pysk, gdy przyszedł do kuchni wieczorem i, za zgodą zacnej małżonki, będącej w błogosławionym stanie — proponował »braterstwo i przyjaźń!...«

Po tak miłej przygodzie nie chciała znać więcej żadnej służby; odnajęła sobie kąt u jakiegoś robotnika na czwartaku i szukała pracy u introligatora. Po kilku dniach znalazła upragnione zaję-

cie. Wkrótce poznała Władka, który przyniósł do oprawy kilka książek, a uderzony inteligentną fizjonomją pracownicy — zrobił bez ceremonji znajomość; po rozmowie, zrozumiał ukrytą tragedję Hany i, za jej zgodą, zapoznał ją z Helą. Zanim upłynął tydzień... Hela i Hana mieszkały razem i kochały się, jak siostry. Gdy w introligatorni brakowało często roboty — Władek zaproponował Hanie uczenie się pisania na maszynie — przystała. Po krótkiej naradzie postanowiono maszynę wziąć na »wypłaty«. Hana dała zadatek, obowiązując się do spłacania pięciu rubli miesięcznie, a Władek i Hela ręczyli. W końcu Hana opuściła pracownię i kupiwszy niezbędne narzędzia oprawiała w domu i pisała na maszynie. Odtąd cała »trójca hultajska« — jak Władek mówił — żyła poniekąd jak familja. Były wspólne śmiechy, radości i łzy, niepokoje wspólne. W wypadku choroby — wszyscy pośpieszali z pomocą i opieką, w godzinach smutku — z pocieszeniem i chęcią rozweselenia. Zżyli, zwarli się z sobą braterstwem dusz i cierpienia.

Teraz Władek widział Hanę przygnębioną żalem i tęsknicą, tym cichym bólem, jaki uczuwają ludzie samotni, nie mający nikogo, ktoby serdecznie głowę znużoną objął w dobry, kochany uścisk, spojrzał czule w zamglone oczy, wycisnął niebiański pocałunek na zachmurzonem czole i wyrzekł głosem wonnym, jak kwiat, dźwięcznym,

jak śpiew słowika. Duszo moja droga, duszo ma jedyna!

Władek znał życie doskonale, wiedział z własnego doświadczenia, że świat, a raczej otoczenie, jest jakimś przeokropnym przybytkiem umęczenia, wyrafinowaną katuszą serc wrażliwych, górą ogrójcową dla dusz subtelnych i białych, jak delikatne chmurki wiosenne, jak skrzydła jasno srebrzystych gołębi, jak puszek lilji przeczystych Hebronu, że ludzie są najczęściej, jak zimne kamienie, twardzi, jak kowadło, nielitościwi, jak oprawcy świętej Inkwizycji; możnaby prędzej boleścią swoją wzruszyć najgorszych szatanów, niż z krwi i kości bliźnich. Pomiędzy nimi człowiek się znajduje, jak pomiędzy zgrają wrogich bandytów, przed nimi strzedz trzeba swych wszelkich skarbów ducha zazdrośnie tak samo, jak i cierpienia, bo żadne szczere westchnienie nie wyłamie im się z żelaznych piersi lodem obojętności opasanej. A nieszczęścia, co duszę łamią i druzgocą w splotach męczarni bytu — wyszydzą obłudnem spojrzeniem, wskażą, jako zbrodniarza występnego, palcem plugawym, na którym jeszcze łzy, pot i krew słabszego nie obeschły!... O duszo biedna, motylu błękitny o skrzydełkach promiennych, jak blaski słoneczne, kwiateczku miły i niepokalany, gdziekolwiek się znajdujesz, pod jakim stopniem gieograficznym, nie znajdziesz przyjaciela, któryby cię kochał jedynie z miłości dla ciebie, z potrzeby

kochania i z wartości swojej wewnętrznej, o duszo biedna, opuszczona duszo, ptaszynko kwiląca, wiedz, że w swych czarnych chwilach, gdy od jęków tłumionych posinieją usta twe młode, gdy źrenice zaślepną od widoku barw katowskich, wiedz, że nie będziesz miała nikogo, ktoby twoje rozpacze głuche utulił — będziesz sama, samiuteńka jedna, jako pisklę z gniazda wypadłe.

Pełen współczucia bezgranicznego i tej tajemniczej siły, co spaja prześladowanych, spojrzał na nią wzrokiem żałosnym, jak skarga dziecka osieroconego, gdy płacze w obliczu nieba nocnego, wyrzekł:

— Panno Anno, nie trzeba zbytnio przejmować się, uginać duszę przed smutkiem, bo on żre ducha, jak rdza szlachetny metal. Należy zawsze mężnie dźwigać swoje pakunki życiowe!...

Jednocześnie poczuł jakie błahe, nikłe, puste i blade są jego słowa, niezdolne odrobiny pokrzepienia spragnionemu dodać; to jakiś próżny, podły dźwięk bez zdziebka najmniejszej wartości. A ona wolno swoją kształtną głowę greczynki wschodniej podniosła i patrząc nań prześlicznemi oczyma, jakie często spotkać można u żydówki, rzekła drewnianym głosem:

— Dziękuję panu, pan jest szlachetny człowiek... Widzi pan są mgnienia w naszym biegu życia, że chciałoby się rzucić na ziemię i zapłakać... płakać... i wyć... wyć, panie, z opuszczenia. Ja się

nie poddaję — pan to dobrze widzi, ale są godziny ukrzyżowania całej istoty naszej, rozprutej na dwoje, jak młode drzewo strzałą błyskawicy... o, są... są... są... Dziś jeszcze, ten kochany braciszek, rozstroił mi związane wolą nerwy opowiadaniem o płaczu i rozpaczy matki, o jej ciągłych skargach na mnie, na życie, o jej nocnych szlochach za obrazem mojem — to co pan chce?... człowiek jest tylko człowiekiem!... Dwa lata, panie, nikt do mnie nie przemówił tak miękko i ciepło, jak ona, całe dwa lata; przecież ja byłam jej jedynaczką, oczkiem w głowie... Ja ją rozumiem dobrze...

Po chwili dodała raptownie z szyderstwem w głosie, dławionem przez wewnętrzne łkanie.

— Wyobrażam sobie minę mojej familijki całej z szacownym rebem na czele. Gdy im mój braciszek, Srul, zdaje sprawę ze swej nieudałej misyjki do mnie. Wyobraź pan sobie duży, cuchnący specyficznie żydowskim zapachem, (coś pośredniego pomiędzy stęchlizną, a zgniłą cebulą), podle oświecony pokój. W nim około stołu sama śmietanka, z pokolenia Izraela z osławionego grodu Sosnowca, popijając wódkę, przyrządzoną z gwoździkami i cynamonem, a niemożliwie niechlujny rebe, macza zamorusanymi palcami chałę w kieliszku i kiwając się do taktu, powiada jęcząco jąkającym głosem: »Zajst du, Lejba, ich habe dijer gesugt: dy sołst niszt bildin da Tochter, weil es

wet fyr dejm kajn gites niszt aros kimen. Dy host niszt gewołt fołgen — hast du jetzt gites Sachen!...« Tak, proszę pana, a mój ojciec siedzi skurczony, twarz ukryta w dłoniach, i płacze i szepcze przez łzy: »Szajnes Putz... szajnes Geschäft«. A matka?... Ta chodzi koło swej »fabryki«, załamuje ręce i czasem płacze, a czasem przeklina występną córeczkę... ha!... ha!... ha!... Śmiej się, pajacu, śmiej się, śmiej!...

— Miej pani litość nad sobą — przemówił Władek miękko — po cóż tak ranić samego siebie... to boli... to bardzo boli. Ja wiem, to straszne, co pani przeżyła i przeżywa... Jakoś to będzie... ułoży się powoli!...

— Niechże pan da pokój, co tu ma się ułożyć?... proszę mi powiedzieć, co tu ma i może się ułożyć?... Czy mój ojciec przestanie się trudnić koniokradztwem i kupować skradzione rzeczy?... przestanie szwarcować wódkę, tytuń i koronki?... Nie! A moja matka, czy rzuci swój cholerny zawód maciornicy?... Nie! nie! miljon razy nie!... Przecież to dla nich najlepszy fach, fabryka, interes, złota kopalnia!... Dlatego ja tak smagam się szyderstwem, bo nie chcę czuć tęsknoty palącej; uczucie do nich pragnę śmiechem zagłuszyć. Na ranę rozognioną — rozpalone żelazo drwin przykładam i idę dalej... dalej... dalej, byle bliżej śmierci!...

— Panno Anno, nie wolno patrzeć tam, gdzie śmierć ma swoje ponure siedlisko — bo to zacofanie!... Trzeba stanąć silnie pośród błota i oczyszczać zatrute powietrze, trzeba żyć dla życia, nie dla śmierci. W życie trzeba się wpiąć, wbić, jak gwóźdź w sosnową deskę, wessać, jak pijawka w ciało dziecięcia, i trzeba żyć, żyć, żyć, nie myśleć o niczem, a reszta sama przyjdzie. Bo musi zjawić się odpowiedni czas i wszystko zwalić do szczętu!...

— Zanim słońce wzejdzie — rosa oczy wyje!... jak powiada Krasiński. Ja wiem, musi przyjść taka chwila, w której nic nie będzie się mogło ostać, lecz zanim to nastąpi, kto nasze łzy ukoi?... Czemu męka chlebem powszednim, a żółć napojem zwykłym?... Czemu my nie mamy przedziwnej, z legiend wieśniaczych mocy, by zło w dobro zamienić?... Oh, panie, niechby ukazał się tytan jaki, twórca i niszczyciel, któryby ten powolnie dokonywający się przełom potrafił możliwie przyśpieszyć — upadłabym mu do nóg i całowała, jak murzyn talizman, jego zabłocone chodaki. Byłabym jego sługą najwierniejszą, służyłabym mu jako dywan ciepły i puszysty; tem mojem nędznem ciałem służyłabym mu jako okrycie podczas wichrów i słoty i zimna, dałabym sobie oczy wydłubać na jedno jego skinienie. Ja wiem, może to wydać się śmiesznem, że »żydówka« to mówi... ale dokąd istniała psychologja metafizyczna —

można było powątpiewać o żydowskiej, idealnej duszy... Obecnie są ludzie, ludzie nowego pokolenia, duszący się w piekielnych warunkach społeczno polityczno filozoficznych dzisiejszego ogółu, co żyje pojęciami myślicieli z czternastego wieku. Otóż ogół ten przeżuwa te ideje, jak pospolita krowa trawę. Mogą mi powiedzieć: cała Europa jeszcze mało jest oświecona — ale co mnie z tego!... Ja wiem tylko to, że jest źle, że ciemności i sromota gniecie ludzi, że łajdacy wyzyskują i pastwią się niemiłosiernie nad słabymi, że podłość bezgraniczna wżarła się w mózgi i zbrodnia tryumfuje!... Mnie nic nie obchodzą religje i bogi, narody i państwa, kiedy mój ojciec drze dwieście procent z biednego robotnika, dając mu łachy na tygodniowe spłaty, a moja matka zupełnie legalnie zarabia sto pięćdziesiąt rubli miesięcznie na ciałach takich samych jak ja fizjologicznie kobiet!... Na cóż więc państwo i cała jego machina skomplikowana, nie mogąca ukrócić podobnego łajdactwa, pocóż narody, pocóż religje, pocóż z takim wysiłkiem budowanie pojęć o Bogu — niech mi pan powie, na co i po co to wszystko, bo ja poprostu czasem chcę oszaleć, taka mnie złość i zwątpienie i rozpacz i ohyda i zniechęcenie gryzie?... Oh, życie, życie, co zrobiono z ciebie!...

— Ma pani najświętszą słuszność — odparł Władek — przepraszam, ale nie będę przed panią

w tej chwili rozsnuwał dalszego wątku myśli pani, na to trzeba długiego czasu. Inaczej byłaby sprawa traktowana czysto po literacku, to jest zlekka, płytko, ogólnie, nie sięgająca istoty rzeczy. Właśnie w moich pracach ostatnich zasadniczo poruszam te wszystkie sprawy, wspomniane z taką goryczą przez panią. Zatem pozwoli pani, że będąc na wsi, przeczytamy w trójce te wszystkie moje bazgroty, zgoda, co?... Panno Anno?...

Spojrzała na niego jakimś mętnym nieprzytomnym wzrokiem. Myśl jej zbłąkana, przesiąknięta bólem istnienia — nie pojęła na razie znaczenia słów, zwróconych do niej, a znaczących inny kierunek myśli. Zbyt wielki chaos uczuć panował niepodzielnie w jej piersi, gryząca niemoc objęła w posiadanie świadomość i siłę przytomności, straszny żal huczał w żyłach wzburzoną krwią. Nie odpowiedziała zrazu. Dopiero, gdy Władek powtórzył wolno każde słowo, Anna po pewnej chwili milczenia, odpowiedziała cichym, matowym głosem:

— Co pan mówi?... o jakiej znowuż wsi, gdzie mamy być razem i czytać na łące lub w lesie pod bujną sosną pański »Wstęp do Socjologji«?... Nic z tego nie rozumiem!...

— Postaram się możliwie jasno i treściwie objaśnić — i by rozweselić Annę, począł mówić, przesadzając, w naśladowaniu niemieckich pastorów, nie znających poprawnie polskiego języka — od niepamiętnych czasów przez dnie i noce całe błądziła bie-

dna moja dusza w ciemnocie i mroku niewiadomości, gdzie będzie nasz raj letni, gdzie przytulne łono Abrahama; gdym pisał, widziałem to pytanie na każdej literze zawieszone, gdym krzepił szanownie szlachetne moje ciało, na każdej łyżce boskiego rosołu, i nawet cmentarna cisza mego naukowego pokoju szeptała ciągle, gdzie będzie nasze źródło ożywcze, nad którym harfy nieziemskie śpiewają słodką pieśń nad pieśniami, jakiemi kwiaty łoże wypoczynku usłane?... i byłem, o pani, smutny, jak Hiob płaczący, jako żywa, chodząca skarga Jeremiasza!... Aż Wszechmogący ulitował się nad nędzą moją, nad upadkiem proroka w potężne zwątpienie i, pewnej nocy ciemnej, jak otchłanie, zstąpił łaskawie do arki mego ducha i krzyknął, aż tak głośno, że wieloryby na dnie morza oniemiały z przestrachu. Eureca!... zawołał pan trzykrotnie — a została zbawiona z głębokości wołająca głowa moja, albowiem w głowie dusza się mieści. A usta moje odpowiedziały, jak echo na puszczy. Mam!... mam i nie puszczę!...

Będąc natchnionym duchem błogosławieństwa, wysłałem list i pieniądze do siostry, by wynajęła chłopski pałac na dwa miesiące i oto komnaty gotowe na przyjęcie znużonych kapłanów Warszawy!

— Nie wiedziałam, że pan tak ślicznie umie kazać, doprawdy szkoda, że pan nie został pastorem!... — śmiała się Anna rozbawiona odpowiednią gestykulacją i mimiką Władka.

— Widzi pani, nawet nauka Teologji Praktycznej może się na coś przydać. Ale skoro pani już nie jest smutną, to mówmy poważnie. Ja nie mogę wytrzymać w Warszawie podczas kanikuły, zwłaszcza, że lekcje w szkołach kończą się już w przyszłym tygodniu. Co tu robić?... kurz, upał, swąd, gorąco... zatem postanowiłem jechać do siostry, rozumie się nie sam. Jedziemy za zgodą pań, razem, po przyjacielsku. Ja usadowię się u szwagra, panie o pół wiorsty dalej; powiadam pani, śliczne położenie: staw ogromny, łazienki, łódki, las ładny, łąki — słowem, przyjemności w bród, po same uszy. No, dobrze, zgadza się pani?...

— Nie.

— A to dlaczego?...

— Z dwuch przyczyn.

— Słucham — pytał zaniepokojony.

— Pierwsze, nie wiem, czy Hela przystanie, drugie, nie mogę ruszyć się z Warszawy, ponieważ mam tu zarobek — zrozumiano, panie poeto?...

— Aby szanowną materjalistkę przekonać, że i poeci nie są tak bardzo głupkowaci, odpowiadam: to ostatnie jest już usunięte. W miesiącach letnich ma pani zazwyczaj mało roboty, otóż pomyślałem nad tem. Mam trzydzieści kilka tomów do oprawy — co czyni 28 rubli. Przytem chciałem panią prosić o przepisanie na maszynie mego dzieła, będzie około dziewięćset stronnic; z moim

papierem po dziesięć kopiejek od stronnicy — to dziewięćdziesiąt rubli; plus dwadzieścia osiem — summa sto osiemnaście. Zatem widzi pani — jesteśmy w porządku. Możemy się bawić i zarobić, odrobinę dobrej chęci.

— Ależ to panu będzie za ciężko taką sumę pieniędzy odrazu wyrzucić, pan sam biedny.

— Pani jest dobra przyjaciółka, ale za pozwoleniem, logika czysto kobieca. Czy tak, czy tak— wydać muszę, przytem nie jestem znów tak bardzo biedny. Jak pani wiadomo — wykładam historję w kilku szkołach, płacą mi trzy ruble za godzinę, pisuję przytem sprawozdania z książek naukowych; słowem mam razem około stu pięćdziesięciu rubli miesięcznie, a wydaję zaledwie sześćdziesiąt.

— To jeszcze nie dowód, by pan przepłacał moją robotę.

— Nie, ja tylko nie chcę być wyzyskiwaczem cudzego potu. Przytem korzystam na czysto, po obywatelsku, ponieważ płacę pani bardzo niskie ceny. Zresztą, moja pani, ludzie łączą się na to w gromady, by sobie pomagać — nie przeciwnie. Przecież dla jakichś tam idjotycznych konwenansów, nie zechce pani zasmucać serdecznego przyjaciela, no, moja pani, do czego to podobne?... I tak dostatecznie dusimy się w niemożliwie cuchnących stosunkach społeczno-towarzyskich, pocóż sobie utrudniać życie?... Zawsze

i wszędzie i wszystko powinno zdążać do doskonałości, a co temu stoi na przeszkodzie — to kopnąć nogą, aż się rozpryśnie po całej ziemi. Może pani chodzi o to, co powiedzą ludzie?... Niech pani plunie na ludzi i kwita — oto moja zasada!...

— Plucie, czy zdążanie do doskonałości?... — zapytała filuternie — panie socjologu?...

— I jedno i drugie, w miarę jak potrzeba, plucie zależy od okoliczności, a dążenie do doskonałości obowiązkiem każdego, kto żyje i żyć pragnie przyzwoicie, rozumie się, nie w sensie naszych dobrze wychowanych rodaków.

— Pan strasznie nienawidzi mieszczaństwa?...

— Wszystkich, z wyjątkiem proletarjatu, on jeszcze niema sparszywiałej obłudą duszy. Wiem, są kwiaty chodzące, ale to się trafia, jak ślepej kurze ziarno. Ogół, proszę pani, strach pomyśleć!... My tu w Polsce, nie mamy nic — prócz miernoty. Mierne życie, mierna rozkosz, mierny handel, przemysł, mierne talenty, mierna sztuka — mierność podła, głupia, wstrętna miernota na każdym kroku!...

— Tylko zło przeogromne! — dodała.

— Okryte płaszszykiem umęczonej cnoty i poświęcenia. Ale my odbiegamy od przedmiotu i to z winy pani.

— Nie, z winy pana.

— Wszystko jedno z czyjej, kończmy. Więc pani jedzie na wieś bezwarunkowo?...

— O ile się Hela zgodzi — jadę!...

— Musimy ją oboje nakłonić, przecież ona tak źle wygląda, jak po ciężkiej chorobie.

Doszli do domu. Hela i Anna mieszkały na Świętokrzyskiej; odnajmowały mały, skromny pokoik z meblami, od podwórza, na trzeciem piętrze. Idąc po schodach Władek zauważył z odcieniem znużenia:

— Mogłyby panie poszukać gdzieindziej mieszkania. Tu tak wysoko, takie obskurne wejście, schody kuchenne — strach!...

— Ciekawam bardzo po co?...

— Jakto po co?... — pytał zdziwiony — niżej, dogodniej, estetyczniej!...

— Wszystko to przesąd, szanowny panie, przesąd i burżujski wymysł. Gdybym miała władzę — nie wolno byłoby komuś zajmować kilku pokojów, gdy w wilgotnej dziurze gnieździ się po osiem osób!...

— Pani jest fanatyczka, bez sumienia, mówiąc potocznym językiem.

— Z mojej strony radzę panu wystrzegać się kompromisów, bo to najpierwszy stopień do utopienia swej duszy w filisterstwie.

Zatrzymali się zdyszani, przy samych drzwiach; Władek lekko zapukał.

— Proszę!... — odpowiedział dźwięczny, melodyjny głos z wewnątrz.

Weszli do pokoju, był tak mały i zastawiony

niezbędnemi gratami, że zaledwie trzy osoby mogły się poruszać. Stały dwa żelazne łóżka, niewielka szafa do rzeczy, dwa stoliki, trzy krzesełka, umywalka. Wchodzących powitała przyjaznem spojrzeniem Hela. Była to średniego wzrostu, szczupła i zgrabna blondynka. Twarz pociągła, owalna o prześlicznie rzeźbionych rysach, jak z kości słoniowej, usta małe, misternie wykrojone, ciemne od zawartej w nich krwi młodej, jakby napęczniałe i rozchylone do przyjęcia pocałunku. W cudownej oprawie oczy... ach, oczy... oczy te niezbadanie cudowne, zmieniające barwę oczy... Czasami były przezrocze, jak lazurowe głębie nieba, jak najjaśniejsze chmurki słoneczne, a miłe i słodkie, jak uścisk stęsknionej matki; niekiedy rozmarzone, przysłonięte, dziwnie nieuchwytne błękitną mgłą dobroci. To znowuż pod wpływem wzruszeń przechodziły stopniowo wszystkie koloryczne odcienia, jakie są pomiędzy srebrno-matowo-błękitnawemi do ciemnej, sinej stali. Można było patrzeć w te oczy i patrzeć nieustannie, jak w zjawisko zachwycenia, jak w cud spełniony ludzkości zbolałej; była w nich prostota i urok i głębia ukochanej natury, było coś tak nieokreślonego, jak ludzkie pożądanie wiary w metafizyczne istoty. O dobre, o kochane, błogosławione i święte oczy Heli!...

— Jak to dobrze, że przychodzicie razem, moje dzieciaki — wyrzekła Hela radośnie — po obiedzie pójdziemy w jedno miejsce; dostałam za-

proszenie jednego kółka robotniczego, ma się zebrać w Mokotowie, by obmyśleć skuteczniejsze sposoby walki; więcej rozumne i więcej celowe, niż dotychczas. Tak, mają rację, niech pracują sami, bez obłudnej pomocy inteligientów, żądnych najczęściej rozrywki w nudach i zblazowaniu.

— Spotkałam pana Władysława, jak podziwiał niebo — szydziła Anna — wyobraź sobie człowieka z założonemi rękoma i otwartemi usty... patrzącego wzwyż — to był nasz przyjaciel!...

— Pani ciągle agituje?... — próbował zagadać Władek, by odwrócić rozmowę od swojej osoby — przyszłe pokolenie powinno pani pomnik wystawić ze złota i wiecznie niezwiędłych kwiatów!...

— Ja nie agituję... ja pracuję — a to zupełnie co innego. Agitację można stłumić... pracy — nie!... Nie wolno rąk opuszczać, bo wróg nie śpi — jeno wiesza bez litości!...

— Podziwiam panią całem mojem sercem i umysłem, ale... takie jest poniekąd prawo wszelkich przeistoczeń, że wszystko musi się »ocukrzyć, jak figa, jak tytuń uleżyć«, jak mówi Adam... Bajeczny mózg!..

— Pan jest obrzydliwy, szkaradny prawo-moralista. Obserwuje pan fakta i na ich podstawie buduje prawa... Ślicznie, ślicznie, tak się tworzy całą naukę, ale ja nie mogę znieść, jak co noc na stokach Cytadeli konają na stryku, jak codziennie na

mojej braci strzępią rzemienne baty, jak nikt nie jest pewny ani życia ani honoru, nie mogę ścierpieć tej myśli, że co godzina w mojej ojczyźnie dziesiątki ludzi dostaje gruźlicy i najrozmaitszych choróbsk!... Mówił pan o Adamie, gienialny, boski mózg — lecz na serce... stanowczo w języku ludzkim niema jeszcze odpowiedniego określenia, to dowodzi, jak jesteśmy gruboskórni. Ja gdybym mogła mieć jego wiarę w Boga, krzyknęłabym do niego o moc, o władzę, nad sercami miljonów, o »rząd dusz!...« Ale nam pozostało jedynie zęby zaciskać i pracować, więc chcę pracować i będę pracować — bo praca przyśpiesza wszystko!...

— Gdy chodzi o sprawy uczucia — bijem przed panią czołem, bijem wszyscy teoretycy czołem przed jednem słowem pani, lecz myśl badacza nie może się powodować uczuciem. Trudno — tak już jest!...

— Dajcie spokój dyskutowaniu, moi kochani reformatorzy — przerwała Anna — jestem głodna, jak święty turecki, a te spory nie nakarmią nawet muszki świętojańskiej.

— O, pani ma rację, na głodno nie można nic robić. Wpraszam się na obiad do pań... Proszę nie zapominać o bardzo filozoficznej zasadzie: głodnego do syta napoić... wodą z pieprzem!...

— Dobrze, dostanie pan barszczu na kiełbasie z kartofelkami — rzekła Hela — a potem, jeśli wola, szklankę herbaty bez cukru. Czy będziesz

zadowolony, panie prawodawco przyrody i natury? — jak nazywa Kant — człowieka.

Wysunięto stolik na środek pokoju, Anna przykryła go białym obrusem, a Hela szykowała nakrycia.

— Czy ja nie mógłbym czego zrobić?... — zapytał ucieszony Władek.

— Owszem — odparła Anna — proszę otworzyć okno, gdyż strasznie gorąco, następnie siedzieć, patrzeć i mrugać dowoli.

— Dziękuję!...

— Niema za co!...

Po chwili Hela, nalewając barszczyk na talerze, zapytała rozpromieniona:

— Ale, ale, czy pan wykończył przedostatni rozdział Wstępu?...

— Naturalnie — odrzekł z dumą — przyniosłem go z sobą, po obiedzie przeczytamy razem.

— Po obiedzie pójdziemy razem do Mokotowa, wieczorem przeczytamy rozdział — dobrze?...

— Dobrze — odparł z odcieniem smutku.

Patrzał po pokoju za krzątającą się Helą, jak patrzy się człowiek stęskniony nadziemskiego obrazu; każdy jej ruch, każde stąpnięcie żłobiło się w piersi niezatartym śladem miłości. Dusza spragniona jej widoków syciła się miłemi kształty jej ciała tak kochanego, ach tak kochanego. Szły od niej słodkie promienie ku jego oczom i sercu i pieściły je drogiem muśnięciem, subtelnym po-

całunkiem uroku, cichem błogosławieństwem rozanielonej umiłowaniem, ukwieconej blaskami rozkoszy niewinnej i bielszej od puchów białych łabędzi. O, dobre ty jesteś i takie nasze uczucie miłości dla młodej dziewczyny!... Niema skarbów, niema gwiazd godniejszych od ciebie, miłości złota, bodaj kwiat każdy w polu i ogrodzie pachniał twoją wonią upojną, bodaj ptak każdy śpiewał twe imię cudnie brzmiące, bodaj się na kamieniu twardym rodziło nasienie owocne. Oby powietrze i przestrzeń i niebo oddalone, i ziemia nasza i wszystko, co na niej istnieje, oby chwaliło ciebie, miłości, przenajświętszy sakramencie, ukryty w piersi człowieczej, namaszczenie tajemniczego nabożeństwa!...

— Czemuż się pan tak zadumał, panie Władziu?... — rzekła miękko Hela, czując wzrok jego ciepły i zachwycony na sobie — obiad wystygnie!...

Władek usiadł na wskazanem miejscu i podziękował serdecznem spojrzeniem, z którego przeglądała dusza wniebowzięta.

. . . .

Urywek z pamiętnika Heleny.

Urodziłam się w Warszawie, matki nie znałam, umarła przy mojem urodzeniu, chowały mnie ciotki stare, trochę dziwaczne panny, dewotki, przystępujące co tydzień do spowiedzi, a codziennie do komunji, gdyż jak mówiły, to krzepi du-

szę i zaprawia ją do wszelkich zapasów życiowych. Utrzymywały, że większość zła, panującego na świecie ma swoją zasadniczą przyczynę w bezreligijności dzisiejszych pokoleń, albowiem, kto niema dostatecznej miłości i bojaźni bożej — ten nie może pod żadnym pozorem kochać ludzi i czynić dobro wkoło siebie. Chowały też mnie w przykładnej pobożności. Mieszkały obie u nas do śmierci kochanego ojczulka — nastąpiło to w dwanaście lat po mojem ujrzeniu dnia słonecznego.

Dopóki żył tatuś — wszystko żyło, tatuś zamknął oczy, swoje poczciwe, dobre, kochane siwe oczy — niestety! skonało wszystko na zawsze, na ciągłą pustkę cierniową, na mroczne dnie człapiące się bardzo leniwie i bardzo wolno jedne po drugich. Tatuś był prawnikiem, zarabiał bardzo skromnie, chociaż był wyjątkowo zdolny, jak mi opowiadają obecnie jego koledzy. Tatuś mógł zarabiać sporo — większe sumy, a nawet zrobić kapitalik... gdyby był chciał. Mawiał zawsze, że nigdy nie będzie bronił sprawy, która nie jest sama przez się czystą, jak światłość dnia słonecznego. Za żadne pieniądze nie chciał słyszeć o interesach sądowych, kruczkach sofizmatycznych, najrozmaitszych wybiegach prawniczych, w które tak bardzo obfituje zdolny mózg adwokacki. Mówił, że prawa państwowe są tak często niezgodne z etyką i potrzebami tych, dla których powstały, że należało ludzi jeszcze bronić przed samem prawem,

nietylko przed karą wyznaczaną. Zasadą u Tatusia było bronić tych, których ustawy i ludzie, gorsi od szakali, pragnęli krzywdzić sromotnie i nielitościwie. Człowiek nie na to zdobywa wiedzę, naukę, kulturę, nie na to otrzymał talenty od natury, by tego dobrodziejstwa używał na wyłączny swój pożytek i na szerzenie zła wokoło siebie.

Bardzo często, gdy przyszedł zmęczony i zdenerwowany z posiedzenia sądowego, brał mnie na kolana, gładził drżącą z oburzenia ręką moją głowę i powtarzał:

— Dziecino mała, dziecino słodka, jak gorzkie jest życie... jak straszni ludzie żyją na świecie!...

Ja nie rozumiałam słów Tatusia, lecz widząc jego cichy smutek na pogodnej twarzy, i łzy lśniące się w jego anielskich oczach, uczuwałam jakiś instynktowny ból i długie jakieś dławienie w kanale oddechowym i nie mogłam chwytać potrzebnej ilości powietrza, i było mi tak bardzo, tak nieskończenie źle, jakby jakiś okrutny ból zagnieździł się w mojem sercu dziecinnem. Wówczas tuliłam się w wielkiej żałości do zapadłych piersi Tatusia i cicho... cicho... cichuteńko płakałam, nie chciałam by on spostrzegł moje łzy ciepłe, toczące się po twarzy. Tak przytuleni siedzieliśmy razem przez całe wieczory zimowe i letnie, gdyż Tatuś cały czas wolny spędzał w domu,

w moim maleńkim pokoju, tapetowanym na błękitno.

I przyszła śmierć, jak zbój, jak złodziej nikczemny, i Tatuś mój święty umarł, odszedł do ziemi zimnej i nieczułej, a ja zostałam sama; taka samotna i taka opuszczona. Przedemną był cały ludny świat, twardy obojętnością, zakamieniały egoizmem, zachłanny występkiem i żądzą tratowania drugich, za mną pieszczoty niebiańskie Tatusia — koło mnie jego sztywny, nieruchomy trup, lodowe zwłoki członków, kołyszących mnie tak często.

O najdroższe, najdroższe relikwie wspomnień przejasnych, niepokalanych, wiecznych!... Niczyj język nie wypowie katuszy i tęsknoty życia tego, kto utracił bardzo ukochaną osobę i przyjaciela duszy!...

Tatuś zaziębił się silnie i dostał zapalenia płuc, przez kilka dni leżał w łóżku, ciotki chodziły po pokojach i powtarzały z płaczem jedna do drugiej:

— A mówiłam mu, mówiłam ciągle... Adaś, kup sobie ciepłe palto!... Adaś, kup sobie wełniane koszulki, bo tak zimno, a lekko chodzisz ubrany!... To się jeszcze na mnie oburzał i mówił, że tyle ludzi niema co do ust włożyć i bez butów chodzi — im trzeba pomagać z całych mocy możności, ich trzeba uczyć i oświecać. Dawał im pieniądze, bronił bezpłatnie nędzarzy, użerał się

z władzą... a teraz, jak umrze, gdzie my się sieroty podziejemy, za co go pochowamy, co stanie się z Helenką?... O matko boska, zachowaj że go dla nas nieszczęśliwych!...

Tak biadały ciotki, a Tatuś leżał w swoim pokoju i bredził w malignie. Doktór przychodził dwa razy dziennie, kiwał dziwnie wypomadowaną głową, przepisywał lekarstwa, brał trzyrublówki i odchodził obojętnie.

Z początku choroby siedziałam ciągle przy Tatusiu i czytałam mu książki; później spostrzegłam, że słuchanie męczyło go — przestałam mu czytać. Siedziałam z zapartym oddechem przy łóżku wpatrzona nieruchomie w rozpaloną twarz, a serce trzepoczące się w mojej piersi wyło mi z żalu, że on tak cierpi, i dusza płakała zapiekłemi łzami, i mózg dziecinny wysilał się na wynalezienie magicznego środka uzdrowienia, napoju leczącego wszystkie choroby ludzkie.

I tak się szargały godziny wieczne, minuty przewlekłe, drgnienia czasu, parzące śmiertelną monotonją nieskończoności. Ze wszystkich miejsc wychodziły żądła ostre, zabójcze, sztyletami niepewności zatrute i rozpruwały ducha kolcami niemocy i mających nastąpić łańcuchów zdarzeń tyrańskich i strasznych. Jaźń błądziła w krwawych ciemnościach stęchłych rozpaczą niewiedzy i raniła świadomość o krzemienne kanty zaułków błądzenia, w których usadowione męczarnie i przeczucie

dusz, pozostawionych w pastwie udręczeń otchłannych, w płomieniach pragnienia spokoju pozażyciowego, w rzutach nadosobowych za zębatą granicę istnienia. Siedziałam u stóp Tatusia cicho, jak ryba patrząca się w słońce, a do mnie szły fale skłębionych zgryzot piekielnych, bezcelem tułaczych, jak wygnańce bose; przychodziły mnie obejmować ponurym uściskiem żałoby po wieczne lata bytowania, prowadzić psychę na kamienne pustynie strapienia nadwyobrażalnego, gdzie tępe, szydercze drogowskazy znaczą martwotę istnienia wszelakiego i w skrępowaniu bolesnem prowadzą ku jakiejś zawrotnej przystani, za którą huczy podziemnym głosem śmiech pustki grobowej.

Płakać nie mogłam, łzy gdzieś skonały i jakby wyschły doszczętnie, oczy jeno wbiłam w nieznaną i głuchą dalekością przestrzeń obojętną, a w uszy wpadały mi stłumione szumy i brzęki ciszy nieprzerywanej niczem. A z tej ciszy stąpały jeno jęki nieme, odczute swoim cierpieniem, kroki tłumione srogim majestatem konania ludzi, oddanych wszechwładzy dążenia w splotach torturowania. Oczekiwałam długo nieszczęścia, co krokiem łapaczy skradało się do domu naszego i niosło z sobą dar ukrzyżowania, żółć żywota przyszłego, w treść piołunową obfite zamglone stany cmentarne, w głośne chorały pogrzebowe, w których przewodnią nutą jest skowyt dławionego powrozem żalu, ścinającego duszę ogromem potęgi;

w jej spowiciach obłamywało się każde pragnienie, usychał najsłabszy uśmiech, wykwitły na usta zielonych z bezmiaru tęsknoty, a pozostawała tępość marmurowa, przygnębienie wszechobejmujące uśmierceniem, obojętność przywalona gruzami z potrzaskanych marzeń ołtarzy i celów najistotniejszych. Pozostał grobowiec życia byłego, a na nim ciernie kolczaste i chwasty bezkorzystne, jako symbole dalszej tułaczki, aż do mogiły, nad którą wicher jesienią zaszczeka!...

Gdy tak siedziałam, pewnego wieczora Tatuś się zbudził na chwilę z gorączki, dojrzał mnie. Był bardzo zmęczony — zaledwie mógł mówić pojedyńcze wyrazy, brakowało mu powietrza i odrobiny siły. Skorom spostrzegłam przytomność Tatusia, przyskoczyłam do niego i poczęłam całować wyschłą, zżółkłą rękę. Nic nie mówił, zaciskał kurczowo moją dłoń i drżał cały, roztwarte, zgorączkowane usta wydawały ciężki świst. Spojrzałam na twarz — spływały po niej grube, nieme łzy. Nie umiem wypowiedzieć, co się ze mną wówczas działo. Z początku uczułam, jakby mnie kto mokrym płaszczem okrył na nagie ciało i wyniósł na dwudziesto-stopniowy mróz i smagał rózgami; czułam ostro wrzynające się delikatne piłki we wszystkie kości i coś ogromnie dusiło w gardle, dusiło... dusiło bardzo. Zatrzęsłam się wszystka i naraz buchnęłam strasznym rykiem oszalałego zwierzęcia. Taka boleść, taka boleść

przeokropna rozrywała mi serce dziecięce. Żal tatusia, utrata tej jedynej istoty mojej na całym świecie, jedynej, kochanej duszy dla mnie przeobraziło mnie w jednej sekundzie. Zimna mną wstrząsały raz po razu — rozumiałam, że duch mój rośnie i dojrzewa w tej ostatecznej chwili, że mózg rozwija się przedziwnie niepojętą konsekwencją, zrozumiałam wybornie, że staję się pełnym, świadomym człowiekiem. Ból serdeczny, prawdziwy ból życia ma w sobie taką moc nieznaną, siłę tajemniczą, krzepkość zaklętą, że bierze jednostkę za ramiona i odrazu wprowadza w owe dziwne, niezbadane tajniki indywidualne i odkrywa naraz całą księgę świadomości. Ma w swej głębokiej treści jakiś balsam czarodziejskiej mądrości, olej święty pomazania cudnego na rzeczywistego człowieka. Ma sakrament sobie jeno właściwy. Kto choć przez godzinę cierpiał, kto przez minutę dławił się męką rozstania z ostatnim druhem, kto w jednem westchnieniu ciężarnem musiał zamknąć morze goryczy nadziemskiej, nieznanej przeciętnym chleba zjadaczom, kto z nadmiaru szlochu zduszonego w piersiach oniemiał i nie mógł wydobyć nic z krtani, jeno wzrokiem bladym z obłąkania wodził bezmyślnie po cudzych twarzach obojętnych — ten pojąć zdoła, co to jest ból osieroconego na zawsze serca człowieczego. Jesteś biedne, bardzo biedne i nieszczęśliwe serce ludzkie!...

Na odgłos mego ryku, Tatuś, mój Tatuś drogi, ukochany, jedyny—pobladł, jak płótno, i z wielkim wysiłkiem uniósł się na posłaniu; wychudłą ręką obtarł łzy swoje i rzekł takim głosem, jak mówią umierające bohatery.

— Heluś... Heluś... Heluś, dziecinko, nie płacz... nie płacz... widzisz, aniołku, łzy nic nie pomogą, nic nie ważą na szalach losu... Tatuś nie umrze jeszcze... jeszcze będzie żył i kochał Helunię...

A mną w miarę słów Tatusia, więcej ogarniała żałość i smutek i przeczucie opuszczenia, że sama zostać tutaj muszę, same samiuteńkie dziecko pośród ludzi z kamienia i złości, i iść przed siebie bez celu i o głodzie, nieogrzana niczyjem uczuciem czystem. Pojęłam instynktem wyczulonym, że samotna będę już przez całe życie... już przez całe... całe życie!...

Mamy nie znałam, nie widziałam jej nawet nigdy w śnie błogosławionym, w marzeniu sierocem, a przecież musi tak być słodko i jaśnie, rześko i rozlewnie na całej skali pojmowania, gdy mama w czoło całuje i czasem łzę ciepłą uroni. O matuś!... matuś!... matuś jedyna, jakże mi smutno, jakże mi ciężko, oh, matuś święta, jakże mi źle tutaj jest w życiu!... Matuś, przyjdź — chociaż w śnie, chociaż w złudzie, chociaż w marzeniu i otul odrobinę duszę spłakaną!...

Tatuś mnie gładził po włosach, a ja szlochałam... szlochałam.

Wtem przyszedł lęk niezrozumiany i zdusił brutalnie brudnemi pięściami resztki nadziei, cudne liście pokarm dające spodziewaniu, zdeptał stopą nikczemną kwiaty dziwnego nasienia ułudy. Uderzyła fala rozpaczy bałwanami zwątpienia, zwałem zgryzoty zabijającej wszystkie spodziewania błękitne, wszystko pragnienie droższe od bożyszcz tęczowych. Obawa przez powierzchnie i głębiny istoty biegła płomiennym wichrem niszczącym wszystkie kłosy ziarn jeszcze niedostałych, wyniszczyła zioła leczące utrapienia, spaliła oddechem gorącym pączki ufności. Boleść wżarła, wpiła, wrosła się w korzenie podtrzymujące jasność i pogodę. Zgrzyt jakiegoś okrutnego przeznaczenia szarpnął ranami duszy i rozdrapał je bezlitościwie, aż duch zaskowyczał przeciągle i skamlał, skamlał o miłosierdzie, o współczucie i zmiłowanie. Napróżno... napróżno.

Nikt nie pospieszy na ratunek i pocieszenie, nikt nie poda kropli krzepiącej zwątpienie i cichą godzinę konania nie odkupi słówkiem przywiązania bratniego. Niema nikogo, ktoby ranę, ogniącą się zapaleniem, owinąć balsamem pomógł. Sam jesteś i sam zostaniesz i sam zawsze będziesz w każdej okoliczności, w każdym przypadku nieszczęsnym, w każdej chorobie, w każdym napadzie konwulsji moralnych; kiedy palec kąsasz, by cierpieniem zwierzęcia głuche stękania jaźni zgnieść i przygłuszyć, na jedno mgnienie źrenicy unice-

ctwić. Gdy twa dusza więcej przykry ma widok, niźli cmentarz jesienią — nikt się nad tobą nie użali i nie ulituje poświęceniem!...

Szlochałam bezustannie, a Tatuś ujął mą głowę w swe dłonie, przycisnął do spieczonych warg drżących; czułam jego łzy, spływające po mej twarzy i włosach i szyi. Szaleństwo trwogi i miłości porwało mnie potężnemi prądy i parło przed siebie bez pamięci i zastanowienia; lęk nieokreślony wzmógł się i uniósł mnie na bezmierne pustynie jałowe i ciernìste — czułam jeno strach przed życiem, przed zostaniem samą. Obsunęłam się na piersi Tatusia, objęłam go z całych sił w objęcia i podrzucając się w atakach płaczu, powtarzałam głosem rozdzierającym duszę:

— Tatusiu!... Tatusiu!... Tatusiu! nie odchodź, nie odchodź! Tatusiu mój kochany, nie opuszczaj mnie... nie opuszczaj mnie... nie umieraj! nie umieraj! nie umieraj!...

A Tatuś nie mógł mówić, trząsł się bardzo i większa gorączka szła od niego. Czułam strumienie jego łez na całem ciele, słyszałam głuche dudnienie w jego piersiach i walące serce, jak maczugą. W takim uścisku trwaliśmy dość długo, spowici przywiązaniem ludzi, skuci uczuciami miłości rodzinnej! Naraz uczułam osłabienie Tatusia... puścił moją głowę i upadł ciężko na poduszki. Przerażenie podniosło mi włosy na zmoczonej głowie, serce bić prawie przestało i oczy wyszły

mi na wierzch. Tatuś leżał bledziutki i wolno oddychał; mnie się wydało, że śmierć przyszła i już obejmuje mu duszę zimnemi ramiony i przyciska do swego białego szkieletu. Zdawało mi się, że słońce wzeszło w naszym pokoju i poraziło moje oczy tak, że została bielma łuszczyna. W jednej chwili przyszło mi na myśl, co jeno kiedykolwiek słyszałam lub widziałam; całe życie pruło przedemną przestrzeń i ukazywało się we wszystkiej okazałości, w obrazach nęcących wyobraźnię miłem wspomnieniem błogości, uroczemi chwilami godzin ubiegłych, spędzonych z Tatusiem. Anielska rozkosz wieczorów rodzinnych, przy wspólnym stole, ciepło niebiańskie pocałunków ojcowskich, pieszczoty dobre i takie kochane, takie wdzięczne i rozumne prześmignęły mi przed oczyma, przesyłając ostatnie pożegnalne spojrzenie i blady uśmiech do zobaczenia w marzeniu tęsknoty wieczystej. Lata wszystkie, wrażenia przeżyte zabłysły obecnie i zagasły, jak światło błyskawicy. Nie wiem dlaczego ukazało mi się oblicze Matki Boskiej Częstochowskiej i jednocześnie ufna, dewocyjna, prawie fanatyczna wiara moich ciotek. Wszystkie bajki dziecinne o siłach nieludzkich, o źródłach cudownych i siłach wszechmogących, o mocach potężnych, dających zdrowie i życie — wszystko to przyszło mi piorunem do głowy, myśl lotna przyniosła wieści radosne o władzy Panny Częstochowskiej. Opowiadanie ciotki

o dobrej, miłosiernej pocieszycielce strapionych, o dziwnych, przedziwnych uzdrowieniach Królowej Niebios, o błękitnej orędowniczce cierpienia, o tej najpogodniejszej matce opuszczonych — wszystko to szybko, jak podmuch wiatru, przefalowało mi przez umysł i nakazywało wprost siłą niewidzialną, pchało do pokoju ciotek, gdzie nieustannie paliła się lampka oliwna na cześć Panny Najświętszej. Czarny, bezlitosny głos trwogi szeptał mi dreszczem okrutnym w sercu, że Tatuś umrze bez ratunku, że skonać musi a ja go już więcej nie zobaczę, nie przytulę się nigdy więcej do jego kochanych piersi. Mózg szeptał krwawym szlochem cichy, duszony pacierz do sił niewidzialnych wszechświata bezosobowego i żebrał zmiłowania nad osieroceniem i nad smutną, gorzką dolą dzieciny. Powstała we mnie niewytłumaczona dwojność — jakby dwie dusze, równie potężne, równie kochające i niespokojne płakały beznadziejnie. Jedna z nich była jakby ogłuszona strasznym widokiem chorego Tatusia i wiła się w bólu niewypowiedzianym, w skurczu zgrzytu konania, w bezmiernym krzyku łez w milczeniu spadających, w podrygach, gdy los szyderca i kat nieczuły grzmoci duszę biedną. O bólu gorczyczny, o strato osoby ukochanej — jakaś ty okrutna, jakaś ogromnie okrutna!...

A druga dusza, śliczna ptaszyna, motyl bezsilny, gołąbek skromny, zgięła się we dwoje, nisko, do ziemi, pod silnym obuchem ciosu męczeń-

skiego — pomocnika szarej rozpaczy, kwiląc żałośnie, wzywała pomocy dobroczynnego wybawienia, osłody i spokoju... i płakała — płakała. Myśli, zasiewane ustami ciotek, upadły na świeżą rolę ducha i obecnie wyrosły w jasno sformułowane pragnienie modlitwy o zesłanie anioła ratunku, słodkiego wszechukoiciela, co zjawieniem swojem przynosi wonny kwiat, mający własność żywota wiecznego, dar cudu wskrzeszenia.

Przybądź, przybądź duchu wyśniony, promieniu niepokalanej dobroci, różo balsamu, czekamy na ciebie tyle wieków, przez tyle tysięcy pokoleń wzdychamy do ciebie, napoju tajemniczej siły i wytchnienia, zagadko zamknięta w sobie; przecież tutaj tak bardzo, tak niezmiernie i nieodzownie potrzeba ciebie, kwiecie ochłody. W trudnej wędrówce, w żmudnej podróży, w nużącej pogoni ludzie zmęczeni są głodni pokarmu manny cudownej, rosy subtelnej, woni wzmacniającej. Dla wybranych duchów świetlanych, co słonecznie jasne jutro ludzkości stanowią — niema, ach, niema nic na ziemi... jedynie łzy i troski, zawody i poświęcenia i sykania gadów, przy błocie pełzających. Na oślepiającą białość lilji niewinnych — rzucają brzydkie owady szkalowania. Kto ciebie zrodzi, czyj umysł stworzy, czyje piersi pierwsze poczują, źrenica dojrzy — błogosławione, błogosławione słodkiemi westchnieniami ludzi po pracy znojnej odpoczywających, śpiewem nuconym przez słabe

gardła ptaszęce, przez serca, co biją w łonach stęsknionych. Kto ciebie, uczucie lepsze od nieba i snu i marzenia — kto ciebie, uczucie władcze na purpurowy tron królowania niezmordowanego powoła, abyś podniosło hasło panowania i rządu?... Tu tyle jęczących głuchym skowytem bytowania, tu, u nas w Polsce nieszczęsnej, tyle twarzy, na których uśmiech nie zagościł od urodzenia, tyle oczów ponurych, ust wykrzywionych z wołania. Ach, tyle dusz, ach, tyle piersi strzaskanych, jak naczynia święte!...

Pobiegłam oszalała do pokoju ciotek, padłam przed obrazem, przypięłam się do podłogi ze wszystkich mocy i skamlałam wszystką siłą duszy, błagałam wyciem opieki i ochrony. Sama nie wiem, skąd przychodziły mi słowa modlitwy, słowa nieznane jeszcze w moim dziecinnym słowniku. Jakaś moc tajemna, siła ogół obejmująca porwała mi duszę w posiadanie, w potężny a skruszony hymn prośby żarliwej.

— O matko! matko! matko Jezusowa, nie zabieraj mi ojca, nie zabieraj mi ojca, osłoń go płaszczem, otul puklerzem, zakryj swą tarczą wszechbroniącą!...

Spieczone usta drżały z ogromu prośby, dla której słowa wszystkie za blade, myśli za leniwe, pojęcia nie wystarczające. Człowieku, jeżeliś kochał, jeżeliś pieścił i był w niebo uniesiony chwilą anielską, później jeżeliś jęczał zamkniętemi usty

nad łóżkiem danej istoty w nocy niespanej, jeżeliś dzwonił zębami z niemocy osłupiałej — znasz, co to strata i zaguba ukochanej duszy twego przyjaciela, co śmierć ciała umiłowanego. Gdzież jesteś lęku zapomnienia, gdzie falo niepamiętna, gdzie nuto ogłuszająca?... Dnie płyną i płyną boleśne, toczą się godziny smutne bez końca i bez początku. Serce drży i kwili, dusza jęczy żalem i jęczy przez długie wędrówki, aż zmartwiała z tęsknoty, obolała z rozpaczy usnąć na wieki pragnie znieczulona. Biedna ty jesteś, duszo opuszczona, nie znająca pogody radości złotej, spojrzenia błogiego uśmiechu szczęścia, wesela niebiańskiego.

Modlitwy moje przerwał okrutny ryk moich ciotek; porwałam się z ziemi, lecz ani kroku nie mogłam uczynić. Mróz dziwny powiał po wszystkich członkach i krew zlodowaciała. Słowa skonały na ustach, myśli zastygły nieruchome; byłam, jak bryła zimnego marmuru, jak niemy posąg osłupienia. Przyszedł do piersi wyjący wicher straty serdecznej i zahuczał litanją śmierci. Straszliwe uderzenie ogromnej maczugi w czoło, uścisk męczeński całej głowy. Kolki kłuciem zapierające oddech w płucach i torturowe łamanie kości w całej postaci, wykrzywianie członków wbrew przyrodzonemu porządkowi i niemoc, dotąd nieznana niemoc całej istoty. O jak dokuczliwe katowanie, jak bezlitosne udręczenie istności słabej, kruchej gałązeczki na cyklopowym konarze życia. Człeku

bezradny, ptaku bezdomny, muszko jednodniowa, listku tęczowy, promieniu świetlny, kto cię utrwali w niepewności, umocni w osłabieniu i zahartuje niezłomnie?...

— Jezus! Marya! Józef! nie żyje już! — rozległ się przerażony głos ciotek z pokoju Tatusia, a później szloch i narzekania.

We mnie piorun lodowy potężnie zmierzył i trzasł z hukiem, wstrząsającym wnętrznościami aż do samego dna, do głębi zakątków psychicznych. Bałwan jakiegoś uczucia przestrachu i grozy i spustoszenia z jednego brzegu na drugi, huragan płomieni przeszybował niszczącą pożogą i przyniósł zatracenie młodości, dziecinnych wspomnień i uniesień, błękitnych zachwytów i snów serafinowych. Chwilo, jedyna chwilo szybko przemijająca, błyskawico jednej sekundy utracenia kochanej osoby, umiłowanego serca, najmilszego żywota, przenajdroższej głowy!... O chwilo taka, jesteś konaniem przez pozostałe dnie, miesiące i lata, smaganiem kolczastemi rózgi po duchowem sercu świadomości, jesteś nieustępna, jak konieczność sama, jak wyrafinowane znęcanie się nad bezsilnym człowiekiem, gdy w kajdanach leży skrępowany u nóg silniejszego zwycięzcy. Niema sztyletu tak dostatecznie ostrego, by przebić tę taśmę purpurowych wzdychań bolesnych, niema trucizny zabójczej, niema sakramentu zgładzenia wizji, szarpiących niezgojonemi ranami. Gdzie jesteś pędzie

ponury, śpiewie złowieszczy, ryku bluźnierczy, szepcie djabelski, że nie przybywasz zatrzeć, zmazać, zatłumić obrazów niezmożonej tęskliwości, ugasić żaru spiekoty bolącej?... Czemu pozostaje w umyśle przeraźliwa pamięć i w skrytkach przechowuje chwilę, nie mogącą być ujętą rozumem, jeno jaźnią odczutą?... Czemu, człowieku stroskany, nie rozporządzasz swemi władzami, a przymioty twoje są tak śmiesznie, mikroskopijnie małe?... Wichry i słońca, pogody i gwiazdy, słoty i księżyce, morza i powietrze, lądy i słoty, kamienie i obłoki różowe, kwiaty i skały płaczcie nad dolą biednego człowieka, żyjącego w osamotnieniu, jak w puszczy bezludnej. Duszo opuszczona, jesteś jak owe źdźbła po brudnej rzece płynące, jak owa piana nieszczęsna na brzeg kamienny bałwanem oszalałej fali rzucona. Błądzisz po ziemi zgnębiona swoją jednością i jednociągiem niezmiennego bytowania. Pomiędzy ludźmi drugimi jesteś, jak motyl zimną jesienią, jak pisklę młode; niema dla ciebie słońce jasnej dobroci, kwiaty uśmiechu, ptaki śpiewu dźwięcznego. Idziesz precz dalej, i dalej i dalej i ciągle dalej!... Zastygły krzyk osłupienia z męczarni przyrósł do twoich ust marmurowo bladych i oko mgłą martwoty powleczone. Duszo moja opuszczona, nikt twojej rozpaczy i twego cierpienia pojąć nie może, tak jak zagadki wszechświata. Dokąd skierowujesz swe kroki nie pewne i chwiejne — tam jedynie czeka na ciebie

nieutulona, pożerająca tęsknica, której nigdy nie utulisz, tam żal bez krawędzi, tam smutek nieogarnięty, tam bezmiar boleści, tam ogrom dławiącego nieukojenia. Stąpasz, jak zmarły cień dawno zgasłych cieniów twego ukontentowania, a głowa twoja, a ciało twoje ciągnie na odpoczynek na chłodne i przytulne łono ziemi cmentarnej. Ostatnie życzenie gorących pragnień, promienny, niedojrzały szczyt — to wyzwalające objęcie śmierci i zapomnienia. Chcesz skonać, rozstać się z konaniem, zakończyć krzyżowanie swoje?... O, tak! o, tak! o, tak — gorzko jest włóczyć się po świecie, jako rozbitek, niemający domu, jako sierota pośród złomów lodowych, jako zajączek młodziutki pod hukiem wystrzałów, przerażających ucho nienawykłe. Błogosławiłbyś topór katowski, stryczek rakarza, rękę przestępcy, nóż rozbójnika, żegadło zbójeckie za odjęcie najtrudniejszego ciężaru — dni twoich strasznych wyczekiwaniem; tego, co cię przytłacza. O dusza biedna, dusza dzisiejszych synów Polski — jakże ty jesteś samotna—jeno ze swoją chęcią wydźwignięcia się z brudu, jeno z rykiem płaczu za siłą dośrodkową, jeno ze swojem dążeniem do spotęgowania się w niebotycznej sile przezwyciężenia duchów ciemnoty, dzieci Arymana, jeno z nadniebieską mocą stworzenia nowego żywota!... Jesteś sama, samiuteńka jedna, a przeciw tobie całe legiony zwyrodniałych, goniących za pełnym żołądkiem, bezczelnych opie-

kunów, szubrawców duchowych, mających czelność zwać się «dobrymi synami» ojczyzny. O zgrzycie obmierzły wężowych paszcz jadowitych, o dysonansie, trujący porywy dusz nowonarodzonych — wiemy, żeś jeszcze straszliwie potężny, tak potężny, jak i tchórzliwy zarazem... ale zagłada twoja przyjdzie tak, jak po nocy światłość dnia przychodzi. Oto powstają ludzie-gwiazdy, rodzą się o każdej godzinie duchy-skowronki, serca gołębie, umysły, ideały mędrców, i dusząc się, z niemą zaciętością pracują «bo świt, świt Polski Nowej zbielałemi źrenicami oglądają!»

Duszo nowa, duszo oczekiwana z utęsknieniem przez tyle serc uciemiężonych, bodaj lata w minuty krótkie mocą czarodziejską zmienione zostały, obyś najbłyskawiczniej zajaśniała w swym cudnym majestacie współczucia i umiłowania wszystkich dzieci upośledzonych. Gdy w twych granicach nie stanie gnębicieli i gdy krzyk boleści skona, gdy się zespolą wybrańcy, lilje przyszłości — wówczas kraina nasza będzie przybytkiem raju, ziemią kwitnącą dobrodziejstwami.

Krzyk ciotek nie ustawał, a mnie nurtowała żałość bezbrzeżna, z wysiłkiem złamałam niemoc okropną i wpadłam do pokoju Tatusia. Widoku, widoku prujący ostrymi sztyletami całe nasze czucie!...

Ojciec, mój Ojciec jedyny leżał wyciągnięty, jak struna, blady i siny. Ciało już stygło, zamie-

niało się w bryłę nieużyteczną. Nie wiem, nie wiem, język niema wyrażeń na określenie bólu, jaki wtedy czułam. Rzuciłam się do stóp Tatusia, objęłam je serdecznie i oblewałam łzami. Jakiś duch znęcania się smagał mi duszę, smagał, smagał! Przez całe trzy dni nie odstępowałam trupa ani na chwilę. Ciotki chciały jeszcze tego samego dnia Tatusia odstawić do dolnego kościoła — nie dałam, nie odstąpiłam od swego żądania!... Niechętnie musiały się zgodzić. Wieczorami jeno przez kilka minut odmawiały szeptem pacierze... modliły się, modliły się, modliły...

Trumna stała w salonie, obitym czarnym kirem, w około katafalka kwiaty i świece woskowe. Ja przystawiłam sobie wysokie, jeszcze swoje dziecinne krzesełko, usiadłam na niem, opierając o trumnę stroskaną głowę i tak pozostawałam prawie przez trzy doby. Gdy przyszła godzina wyprowadzenia zwłok, zebrał się tłum; księża, klerycy, żałobniki i chmara ciekawych — po modłach wyniesiono trumnę. Szłam na cmentarz drewnianemi nogami. Nie wiem, jak długo kroczył kondukt pogrzebowy. Nareszcie odpięto trumnę... śpiew złowrogi, ponury śpiew kleru... miejsce spoczynku Tatusia — dół!... O, niezbadane siły świata!... Dół czarny, dół ciemny, dół zimny!...

Ksiądz odmawiał modły i kropił trumnę i szeptał półgłosem łacinę.

A mnie przyszło pytanie z głuchych głębin,

z przepaści nieznanych, z czeluści duchowych, pytanie nie dziecinnego zastanowienia: po co to wszystko, na co się przydadzą te modły Tatusiowi i mnie, sierocie?...

Później zbawcze zestawienie. Tyle, ach, tyle słyszałam o dobroci i wszechpotędze Boga, o miłosierdziu Bogarodzicy — gdzież ta moc, gdzież ta możność, gdzież ta potęga i dobroć bez końca?... Gdy Tatuś konał, gdy dech ostatni oddawał, ja w tej samej przecież chwili krzyżem leżałam przed wizerunkiem Panny Częstochowskiej, ja, dziecko, błagałam ufnością dziecięcą, błagałam, jak matki błogosławionej, o zdrowie, o życie, o zachowanie dla mnie Tatusia — nikt nie odpowiedział, nie szepnął, nie ulitował się nad łzami niewinnej dzieciny. Pustka i cisza i śmierć Tatusia były odpowiedzią. Więc po co modły, po co błagania, po co prośby, po co ufności — gdy one nic zdołać nie mogą?... I tam, w uroczystej sekundzie, gdy Tatusia przysypywano ziemią szarą, coś w mojem sercu szepnęło: dziecino mała, nic niema, nie było nigdy i nie będzie nigdy. Już nie zobaczysz swego Tatusia ni w życiu, ni po śmierci — pamięć twoja, cudowne narzędzie twórcze, jeno ci go niekiedy ukaże!...

Do grobu, pod ziemię wraz z ciałem Tatusia zakopano i moją wiarę i moje modlitwy do Boga i ufność pacierza.

To był etap mego życia, tom pierwszy księgi

tajemniczej mego ducha. Na pierwszym pagórku w mojej podróży zostały ciernie i głogi i krzyże pochmurnych, bolesnych wspomnień przeszłości szczęśliwej.

Po śmierci Tatusia zmieniło się wszystko. Ciotki posprzedawały rzeczy co lepsze i wynajęły dwa pokoje. Mnie przez protekcję umieszczono w gimnazjum i przez protekcję przyznano stypendjum — wlokło się życie leniwie, o zimnie i chłodzie i głodzie, życie tak pospolite, jakie pędzą tysiące ludzi, życie tępych, nie twórczych i nieszkodliwych jednostek. Takie życie bez celu, bez myśli!...

Tak trwało do osiemnastego roku życia, do ukończenia gimnazjum. Gdy miałam już patent — szukałam pracy, pracy na chleb powszedni. O jakże często o jednej bułeczce biegałam dzień i dwa dni, aż nogi ustawały z trudu i zmęczenia.

Po kilku miesiącach bezowocnych poszukiwań, pewnego dnia, byłam tak niezmiernie osłabiona, że poprostu chodzić nie mogłam. Około południa, idąc Aleją Ujazdowską, w napadzie bezsilności, usiadłam na ławce. Dzień był majowy, jasny, złoty wonny dzień. Niebo czyste, jak zachwycenie, chmurki śnieżne falowały zlekka po szerokości nieba, powietrze rzeźwiło przyjemnym aromatem wiosny ukochanej. Dusza się wypogadzała w radosnym śmiechu jasności. Zapomniałam o zmę-

czeniu i głodzie — cieszyłam się słońcem, zielenią, przyrodą.

Siedziałam tak rozlubowana kilka godzin. Byłam tak głęboko pogrążona w kontemplacji, że nie spostrzegłam, jak jakiś elegancki, bogaty ekwipaż zatrzymał się opodal mnie. Wkrótce potem usłyszałam tuż koło siebie dźwięczny, miły altowy głosik.

— Pozwoli pani usiąść na chwilkę?... Chciałam popatrzeć na te przeciwległe drzewa kwitnące.

— Bardzo proszę — odrzekłam bezwiednie i podniosłam głowę. Przedemną stała młoda osoba, około dwudziestu dwu lat licząca, w jasnym stalowym kostjumie i takimż kapeluszu na ślicznie ukształtowanej główce. Usiadła obok mnie, a ją poczęłam obserwować w milczeniu. Była to niezmiernie przystojna ciemnooka szatynka. Twarz pociągła o nieco pospolitym nosku, płeć biała, jak alabaster, na licach słabiutki rumieniec, niewiadomo, czy od lekkiego powiewu wiatru, czy też zawsze zdobiący tę ładną buzię. Oczy miała duże, rozsądne, bardzo inteligientne, czoło wysokie, myślące, usta jak rozkrajana świeża malina. Wiatr igrał delikatnie z subtelnemi piórkami na bogato przybranym kapeluszu. Mimowoli kreśliła po piasku zygzaki parasolką i z zachwytem przypatrywała się kwitnącym drzewom po drugiej stronie ulicy. Gdy tak była zapatrzona, szła od niej jakaś jasność i swoboda miła. Miałam wielką ochotę

przemówić do niej — lecz obawiałam się być natrętną. Ona, jakby przeczuwając moje pragnienie, niespodziewanie zagadnęła mnie przychylnie:

— Czy ja panią przypadkiem nie deranżuję?... Przyszłam tak napastniczo i zajęłam obok niej miejsce i być może spłoszyłam myśli przyjemne. Jeżeli tak — to przepraszam panią serdecznie.

Podziałał na mnie jej głos miły, dźwięczny, uczuciowy, jak muzyka słodka, więc ujęta tem brzmieniem przyjacielskiem, odparłam życzliwie:

— O, nie, może być pani najzupełniej spokojną, obecność jej wcale mi nie przeszkadza; owszem, jest mi bardzo przyjemnie z jej towarzystwa.

— Czy tak?... — zapytała — jestem pani ogromnie obowiązana... Wie pani, szalenie mi się pani podoba. Przejeżdżając dziś parę razy powozem, zauważyłam panią i... postanowiłam panią poznać, mam nadzieję, że arbuza chyba nie dostanę, nieprawdaż?... To byłoby nie ładnie i dla mnie i dla pani... chociaż u nas, w Polsce, wszystko możliwe, ponieważ polacy posiadają specyficzny dar utrudniania sobie wzajemnie życia.

Śmiałość swych czynów, rezolutność argumentów i ten niezwyczajny sposób zawierania znajomości szalenie mi się podobały, uśmiechnęłam się wesoło i zachęcająco, i dodałam:

— Pani jest oryginalną kobietą, zupełnie odmienną od tych, jakie dotychczas znałam... Wie pani, wielki procent naszych pań — to chodzące

szablony; może to źle, że to mówię, lecz podług mego zdania, większość naszych panienek z salonu to... gąsiątka lub, co gorsze, wyrafinowane kokietki bez duszy i serca, to jakby chodzące, mało, biegnące pożądania za rublem, on daje wybitną pozycję socjalną.

Na te słowa, nieznajoma powstała, ukłoniła się z gracją męskim ukłonem, wymawiając jednocześnie swoje nazwisko.

— Pozwoli pani, jestem Lidja Kand!...

— A ja — odparłam— Helena Bolska!...

I zaczęła się szczera, otwarta wymiana zdań, myśli i poglądów. W godzinę potem rozmawiałyśmy z sobą, jak stare, wypróbowane przyjaciółki. Lidja opowiedziała mi swoje życie: była córką bogatego fabrykanta koronek, w dodatku jedynaczką, miała lat dwadzieścia trzy, urodę i osiem tysięcy rocznej renty, a w perspektywie, po ojca śmierci, okrągły miljon. W kraju przebywała zaledwie dwa lub trzy miesiące rocznie, pozostały czas spędzała w uroczej Szwajcarji, czytując poetów całego świata. Nienawidziła szarzyzny i pospolitości, uwielbiała wszystko, co oryginalne, dziwne dla zwykłego ogółu, co buntownicze przeciwko utartym komunałom. Nie znała granic i tamy dla swych planów i pragnień.

— Wie pani — mówiła — gdybym pokochała jakiś ideał oderwanej myśli, lub gdybym pokochała się nawet w moim lokaju — potrafiłabym wszyst-

kiego dokazać; dla pierwszego i dla drugiego oddałabym całą moją młodość, pieniądze, ciało, przyszłość, marzenia, życie — słowem wszystko, co człowiek może tylko posiadać. Stałabym się psem wiernym mego przedmiotu miłości, karmiłabym go krwią mego serca — wszystko, wszystko, wszystko poświęciłabym, bo kochać, to tak słodko, tak słodko... ach, jakże słodko być musi ludziom kochanym i kochającym. Szczęśliwy, szczęśliwy nad miary, kto kocha i jest kochany.

— Pani musi być entuzjastką, zwłaszcza na punkcie miłości.

Musi pani potężnie kochać i nienawidzieć — bądź co bądź dobrze jest mieć takich wrogów i przyjaciół.

— Pewien myśliciel powiedział, że tylko natury pierwotne bywają tak szczere w swoich uczuciach i tak umieją kochać, myślę, że się sromotnie mylił. Mnie się wydaje, że tak kochają duchy tęskniące za uczuciem nadpojęciowem, za prawdą odwieczną drgnień ludzkiej duszy spragnionej, za pokarmem najpożywniejszym — słowem, orły ludzkości!...

Dodała szybko:

— To nie znaczy bym ja była jednym z tych orłów. Serce orła może i mam, lecz na nieszczęście, brak mi skrzydeł. A to nawet, pani, — dorzuciła z bolesnym uśmiechem — nawet dla córki

fabrykanta burżuja za drogie, bo tego kupić nie można!...

— Najlepszy sposób mogę podać pani — rzekłam, śmiejąc się — niech pani kupi sobie orła za męża, to przecież dostępne dla pani za miljon.

— Nie, pani, prawdziwe orły się nie sprzedają nawet za milion, oni potrafią tylko kochać, aż do zbrodni. Czy pani przypomina sobie, co jeden z tych orłów powiedział?... «Ptok ptokowi nie dorówno — nie polezie orzeł w gówno!»... Gdybym spotkała takiego orła, całowałabym mu stopy, jako najświętsze relikwie, lecz musiałby mnie mieć za swego boga i królowę swoją tu na ziemi. On musiałby mnie uważać za swoje wszystko w swojej duszy, a ja ze swej strony — czułabym się niewolnicą ofiarną jego, prochem u jego trzewika!...

— Czy pani kochała kiedy? — zapytałam.

— Nie, pani!...

— A panią?...

— Moje ruble... tak!... — wyrzekła ze smutkiem.

— Czemu nie panią?...

— Bo dziś kochać nie umieją ludzie... W dzisiejszych czasach serce kochające — to, droga pani, igiełka w furze siana.

— Niestety, prawda!...

Po długiem, przykrem milczeniu Lidja przysunęła się do mnie, ujmując moją rękę, zapytała:

— A może pani opowie mnie coś ze swego

życia, inaczej, będę sądziła, że pani nie chce być moją przyjaciółką!... — i pocałowała mnie w twarz.

Dziwna kobieta, szlachetna, poczciwa dusza, miała w sobie coś ujmującego, coś, co zmuszało się kochać i być z nią otwartą — mieć serce i patrzeć w serce. To też w zaufaniu całkowitem opowiedziałam Lidji życie, aż do tamtego dnia. Interesowało ją to niezmiernie, słuchała z zajęciem i niekłamanem współczuciem, a w tragiczniejszych momentach miała łzy w oczach. Byłam jej i jestem ciągle serdecznie wdzięczna; tak mało jest dobrych, czułych ludzi na świecie. Złość i egoizm rozpanoszyły się między nami i na fałszu oparły wzajemne stosunki. Biada duszom wybranym, jeżeli bronią jednaką walczyć nie umieją!... Gdy skończyłam moją opowieść, w której bezwiednie dźwięczała cicha skarga i boleść i gorycz i niepewność straszna — rzekłam z bladym uśmiechem:

— Widzi pani, że nie ma w mojem życiu nic nadzwyczajnego — przeciętne życie przeciętnej istoty. Nie było wzlotów, nie było upadków, nie było marzeń promiennych i rozczarowań ognistych. Żałuję tylko dość często, że nie mam nikogo bliższego pomiędzy tylu ludźmi. Człowiek czuje się tak pusto i jakoś dziko, nie swojsko, gdy nigdy nie słyszy ciepłego głosu z ust drogich. Czasami przeświadczenie, że w domu nikt nie czeka ze słodkiem spojrzeniem w utęsknionym oku, że jeno nieme ściany spoglądać na cię będą, gdy rozmarzone

westchnienie piersi samotne łamie, a świadomość tego, że tak ciągle i zawsze, do śmierci niezmiennie trwać będzie — myśl taka może doprowadzić do szaleństwa, rozpaczy i samobójstwa.

— Ach, tak, tyle osobników wlecze swój żywot nieszczęsny na tej przecudownej ziemi, tyle warg zaciśniętych, tyle łez codziennie wytoczonych, ale niestety, i tyle głupoty i tyle zła i tyle zbrodni «Marność jest klątwą ziemi syna!» — jak mówi poeta w ślicznym przekładzie kazań proroka. Niema przystani świetlnej w ponurej podróży życiowej. Niema nic cieszącego, o co możnaby myśli i duszę zahaczyć krzepko i prześpiewać życie z radością nieznaną. Zaprawdę, dziwni my ludzie, dziwne pokolenie nasze!... Wie pani, jak zazdroszczę ludziom, naprawdę, prawdziwym, nie fałszowanym ludziom — lecz obecnie tak mało jest ludzi!...

— Mnie się zdaje — odrzekłam — że ich jest więcej, niż my przypuszczamy, lecz niewidoczni kryją się w głębiach. Na powierzchni znajdują się same resztki bezwartościowe.

— Może i to racya — potwierdziła zamyślona.

Rozmowa się urwała; każda z nas pogrążyła się w sobie, zapatrzyła w oblicze swego ducha, pragnąc w nim odszukać czarodziejskiego klucza do sezamowej zagadki bytowania. Na twarzy Lidji malowało się rozlewne uczucie jakiejś nadzwyczaj-

nej tęsknoty, jakiegoś oczekiwania wiecznego, bojaźni niepewnej i trwożliwej; na ślicznych, nieco rozchylonych ustach błąkał się niewyraźny lęk i nadawał tej twarzy melancholijny wyraz.

Siedziałyśmy tak długo w spokojnem milczeniu. Pogoda była wymarzona: niebo przejrzyste, jasne, majowe, jakieś odświętne i uroczyste. Niepokalany najmniejszym odcieniem błękit roztaczał się po całym obszarze niebieskim i stwarzał błogosławiony uśmiech na ustach duszy, przeglądającej się w rozradowanej źrenicy. Wysoko, bardzo wysoko bujały swobodnie jaskółki, czasami przesunął gołąb, łamiąc promienie słońca na srebrnych skrzydłach, i znikał w dalekościach przestrzeni. W powietrzu zapach kadzidłowych kwiatów nieziemskich, mile łechtał w płucach zmęczonych oddychaniem miejskiego zaduchu w zimowe dnie szarugi. Świeżość i doskonałość atmosfery zbawczo oddziaływała na znużone nerwy, cała istota kołysała się w lubym półuśpieniu. Wiatr delikatnie strząsał drobne listki kwitnących drzew i prószył niemi po chodnikach; z gałęzi, rozpiętych nad nami, rozlegał się wesoły świergot wiosenny rozbawionych ptasząt i wzniecał szczęście w piersi.

Nareszcie niespodziewanie rzekła Lidja:

— O ile się nie mylę — to pani obecnie bez ściśle określonego zajęcia, czy tak?...

— Niestety, pani! — odparłam.

— Jak to się dobrze składa — zawołała oży-

wiona — za dwa tygodnie wyjeżdżam do Szwajcarji, nie chcę jechać sama, a wszelkie damy już mi się sprzykrzyły dostatecznie... Jeżeli więc pani pozwoli, pojedziemy razem, obie, rozumie się, na mój wyłączny koszt?

— Pani zbyt łaskawą, lecz ja nie mogę z propozycji korzystać.

— A to dlaczego?...

— Ponieważ pani sama powiedziała przed chwilą, że wszelkie damy sprzykrzyły się jej dostatecznie, zatem nie pragnie pani żadnych odemnie usług — więc ja nie mogę przyjąć warunków pani. Tatuś mój jeszcze mówił «że przeklęci co biorą, nic nie dając wzamian!»...

— Proszę mi wybaczyć brak tej subtelności, istotnie, nie pomyślałam nad tem. Otóż, już mam środek!... Czy pani zechce przyjąć posadę lektorki na wyjazd?...

— Owszem.

— Warunki moje takie: towarzyszenie mi w moich wędrówkach po Europie, czytanie dwie godziny po obiedzie i rozmowa na temat przeczytany... pensja... pensja... dwieście franków miesięcznie, czy zgoda?... Widzi pani, traktuję sprawę zupełnie po kupiecku!... — i wyciągnęła rękę, jak kupiec dobijający targu.

— Pani jest bardzo wspaniałomyślna.

— Nie pani, mój ojciec ma sto tysięcy rocznego dochodu, więc nie potrzebuję się liczyć

z rublem. Jeżeli pani pozwoli — od dziś liczy się przyjęcie obowiązków — pozostałe dwa tygodnie do naszego wyjazdu, raczy pani użyć na przygotowanie się do podróży i uregulowanie swoich interesów... na wydatki niezbędne, tu, w Warszawie, pozwolę sobie przysłać pani skromną zaliczkę.

Widząc wahanie na mojej twarzy — dodała szybko:

— Niechże pani nie odrzuca mojej propozycji — byłoby mi bardzo przykro... Praca nikogo nie hańbi, a ja jestem ogromnie gadatliwa, zobaczy pani, jak będziemy dużo rozmawiać i jeszcze więcej czytać.

I Lidja była tak dobrą, miłą, przyjaciółką, tak potrafiła przemawiać logicznie i do serca, a z drugiej strony korzyść zarobku tak potrzebnego, że przyjęłam posadę. Porozmawiałyśmy jeszcze chwilę i rozstałyśmy się, jak siostry. W kilka godzin Lidja przez posłańca przysłała mi dwieście rubli i serdeczne ucałowania. Byłam nad wyraz ucieszona i błogosławiłam ze wszystkich władz duszy szczęśliwy wypadek poznania się z Lidją — poznałam, że są jeszcze na ziemi duchy wrażliwe i subtelne, jak ptaki błękitnego wniebowzięcia.

Dwa tygodnie spłynęły szybko, byłam gotowa do drogi i opatrzona zapasem modlitw i przestróg starych ciotek, zachwyconych mojem stanowiskiem dobrze płatnem. Przez ten czas widywałyśmy się z Lidją codziennie; nie chciała ani słyszeć o czy-

taniu obecnie, napominając mnie ciągle, bym przygotowywała się do wyjazdu, ja zaś ze swej strony nie mogłam ustąpić jej naleganiom i czytałyśmy godzinami. Okazało się, jak ona jest bajecznie oczytana i inteligentna, ani się spodziewałam. Miała pamięć wprost zadziwiającą, na poparcie jakiejś swojej tezy, miała cały zapas cytat różnorodnych pisarzy w kilku językach. Dyskusja z nią była niezmiernie trudna, ale i niezmiernie pouczająca, gdyż Lidja zgłębiała daną kwestję do samego jądra, do dna, rozumując przytem wyczerpująco i nadzwyczaj konsekwentnie i ściśle. Najwięcej kochała poezję, na której punkcie była wprost niewyczerpaną kopalnią oczytania; zdaje się, że nie istniał wybitniejszy pisarz, jej nieznany. Słowem, była to dusza niepospolita i nieocenionej dobroci. Nauczyłam się od niej bardzo wiele, bardzo wiele!...

Po dwuch tygodniach wyjechałyśmy. Lidja chcąc dać mi poznać miasta, przez które przejeżdżałyśmy, pod pretekstem zmęczenia, zatrzymywała się po kilkanaście dni, i służyła mi za Cycerona. Nareszcie w końcu lipca przybyłyśmy do maleńkiej miejscowości. Dziki, uroczy, cudny Kandersteg, ze swoją malowniczą przyrodą zdawał się być istotnym rajem ziemi dla wybranych... posiadających ruble... Są anielskie zakątki ziemi, gdzie człowiek zapomina o wszystkiem i pije całą potęgą duszy nieśmiertelną boskość, rozlaną w naturze, pije czar życia i szczęście najniewinniejsze!...

Lato zeszło niemożliwie szybko, późną jesienią Lidja przeniosła się do Zurychu, ja również z nią. Z jej porady zaczęłam studjować przyrodę i równocześnie uczęszczałam na wykłady nauk społecznych i... przejrzałam. Zobaczyłam straszne przepaście, straszne krzywdy i jeszcze straszniejsze zbrodnie człowieka wobec człowieka. Słyszane zdania ojca odżyły we mnie z niezwykłą jasnością, uwypukliły się z przerażającą prawdą przekonania. W porannem dzieciństwie nie rozumiałam wszystkiego nad czem, on, gołąb jasny, tak bardzo bolał; obecnie pojęłam, stało się jasnem, jak na dłoni. Pojęłam wybornie dlaczego mój ojciec nie zarabiał wiele — był obrońcą ludzi biednych!... Zrozumiałam dlaczego ludzie trują się z rozpaczy i dlaczego istnieją szubienice. Dlaczego istnieją żandarmi i zakazy oświaty. Pojęłam również, że aby Lidja mogła sprowadzić z Paryża kapelusz za pięćset franków — to na to, tam daleko, w biednej Warszawie, setki robotników chodzą bez butów i przymierają głodem; by ona mogła trzymać lektorkę, pięćdziesiąt dzieci musi nie umieć czytać i żyć w warunkach, określonych przez «żelazne prawo Ricarda».

Na wiadomość tę ścisnęło mi się serce głuchą rozterką i bólem ukrzyżowania, dusza zapłakała krwią udręczenia, katuszą niepojętą dla mózgu. Ciężar niezrzucony uwalił się na piersi i gniótł, gniótł wyrzutem, potężnym jękiem zdeptanej spra-

wiedliwości elementarnej. Coś mi szeptało o każdej porze dnia i nocy, żem winna łez tajemnie wylewanych w zakątkach mego kraju, że drudzy ludzie dławią się potem przy strasznej pracy, bym ja mogła czytać poetów w spokojnej łódce na kryształowych szybach cudnego Blausee. Że to wszystko, co ja błogosławię oni przeklinają całem swojem istnieniem, aż do dziesiątego pokolenia, a każdej mojej przyjemności towarzyszy czyjeś konanie powolne i długie i rabunek czyjegoś zdrowia i życia. Na każde westchnienie moje w błogości — czeka już tysiąc skarg uciemiężonych przez ciemnotę, i rubla i wyzysk, podniesiony do najwyższej potęgi. Płyną i płyną krzywdy i by nie miały głosu — duszą je strykiem, zabijają kulą, gnębią głodem. W długich, bezsennych nocach przychodziły do mnie widma nielitościwe, poczwary odrażające, larwy piekielne i powtarzały pokancerowanemi usty ze złowrogim świstem i «ty jesteś winną i ty jesteś winną, bo możesz ścierpieć, aby to wszystko istniało, nic nie czynisz, niczem nie przeciwdziałasz, niczem nie pomagasz, aby to piekło raz się skończyło, by ustał krzyk sierot bez dachu, ludzi bez chleba, włóczęgów bez punktu oparcia!»... W dzień, gdy szłam ulicą każdy kamień miał usta zakrwawione i mówił do mnie jedynem słowem «występna», liść każdy szumiał w mojem uchu szyderczym poświstem i naigrawał się ze mnie bez miary, kamienował mi duszę swym

ostrym szelestem, rzucał gwarem przekleństwo zwyrodnienia. Nie mogłam przełknąć kawałka chleba, bo wynędzniałe istoty stawały przed oczyma i mówiły sinemi wargi «pożywasz ciało nasze umęczone!»... Straciłam apetyt, postradałam sen, zgubiłam pogodę ducha i spokój serca. Wszystko, gdzie się tylko obróciłam wrzeszczało na mnie stłumionym charczeniem, wyło śmiercią, błagało o pocieszenie czynem, o ulżenie ciężaru, zdjęcie złomów strapienia z dusz nieświadomych!...

Życie moje stało się poprostu nieskończenie długim łańcuchem udręczeń, korowodów potępieńczych, ciągłym szeregiem zgryzot najstraszniejszych. Czułam, że jeśli nie zmienię trybu mego życia — muszę poprostu głowę sobie roztrzaskać o pierwszy lepszy węgieł kamienicy. Albowiem człowiek na to jedynie jest na świecie, aby większy pożytek istnieniem swojem przynosił ogółowi, niż pospolita świnia, skoro tego nie czyni — niepotrzebnie zajmuje miejsce i zjada produkty!... Musi być cel wielki, jako samo życie, wtedy dopiero jest się uprawomocnionym do życia!...

Delikatna i subtelna Lidja spostrzegła wnet dziwny stan mej duszy i ze łzami w oczach błagała o wyjaśnienie. Opierałam się długo, nie chciałam ranić jej serca niewdzięcznością. Wreszcie na usilne prośby wyspowiadałam się jej ze wszystkiego. Wysłuchała mnie w smutnem milczeniu, a gdy skończyłam rzekła z martwym uśmiechem:

— Ha, trudno, musimy się rozstać, choć bardzo, bardzo mi żal ciebie... Jakieś niewytłumaczone fatum przeklęte wisi nad pieniądzem, że każdy duch szlachetniejszy, duch ludzki, odpycha je ze wzgardą, ucieka ze wstrętem i obawą, jak przed zarazą. Wiesz, Helo, przed rokiem chciałam pomóc jednemu biednemu studentowi, mówiono mi, że tu w Zurichu, poprostu umierał z głodu — w najbardziej delikatnej formie prosiłam go o przyjęcie pomocy, chociażby w formie pożyczki, odrzucił po królewsku i wiesz, co mi powiedział?... Oto jego słowa: gdyby pani była taką nędzarką jak ja — za franka mi ofiarowanego z przyjaźni, dałbym sobie oko wydłubać, lecz przepraszam bardzo, pani jest bogatą, a majątek zawsze ma w sobie skoncentrowane łzy i narzekania. A ja nie chcę mieć nic wspólnego z podobnemi rzeczami!»... Skłonił się po rycersku i dał mi do zrozumienia, że rozmowa nasza w tym przedmiocie na zawsze skończona. Nie masz pojęcia, Helo, jak on mi zaimponował tem swojem postępowaniem — oto są ludzie, co się zowie...

Po długiem niemówieniu rzekła Lidja z dziwnem wzruszeniem:

— Wytłumacz mi, droga, zkąd wy czerpiecie taką zastraszającą siłę do wszystkiego, pomimo wszystkich prawie zawodów?... Co was pcha i umacnia?...

— Bo ja wiem — odrzekłam — prawdopodo-

bnie z miłości i z bólu, a może i z tego, że jesteśmy młodsi historycznie; zresztą to trzeba czuć, trzeba czuć, trzeba czuć życie!...

— Masz rację... masz rację... masz rację!...

Później ciągnęła dalej:

— Skoro już musimy się rozstać... to chociaż pisuj do mnie często... i gdyby czasami zaszła jakaś potrzeba... Helo... pamiętaj o mnie... pamiętaj... że gdzieś po świecie tłucze się burżujska córka, której ojciec na pocie i krwi polskiego robotnika dorabia się ciągle miljonów, lecz ta burżujska córka... niema burżujskiej, sparszywiałej duszy!... Pamiętaj o mnie... pamiętaj o samotnej duszy, bo ja ciągle błąkać się będę bez celu.

Podałam jej rękę i uścisnęłyśmy się z całej duszy; nie mogłam się powstrzymać, skurcz zdławił mi gardło i zaledwie wykrztusiłam przez zduszone piersi:

— Lidjo, chodź z nami!...

— Nie mogę — odrzekła ze szlochem — nie mogę... Helo, nie mogę... nie mam tej siły mocarnej, jaką wy macie, a bez ognia świętego z wami pracować byłoby bluźnierstwem i świętokradztwem!... U was są dusze czyste, jako łzy oblubienicy bożej, jak listki lilji niewinnych, wy macie ptaki cudnośpiewające, nie dusze!... Do widzenia, Helu, do widzenia!...

Tak oto się rozstałyśmy; Lidja w kilka dni wyjechała do Szwecji, a ja zostałam w Zurichu

i... poznałam Władka... poznałam Władka — poznałam raj!...

Ile gwiazd na niebieskim firmamencie, ile ziarn piasku i kropel w morzu, ile serc na ziemi czujących ten dziwnie omdlewający żar miłości, tyle teorji, tyle rozumowań na temat umiłowania. Kuszą się ludzie na odnalezienie klucza do zaczarowanych zamków kochania... o, jakże nadaremnie tracą czas i energję, bo miłość trzeba czuć tak, jak radość i śpiew i wesele i zachwycenie będącej duszy w najsłodszej ekstazie; trzeba ją czuć w każdym swoim nerwie, w każdem drgnieniu stęsknionej jaźni... A gdy już przyjdzie ona, posłanka boża, kochanka aniołów, muzyka skrzydlata, należy myśli oczyścić, ducha skąpać w cichych łzach spowiedzi przed samym sobą i przyjąć ją z namaszczeniem, dla którego jeszcze niema nazwania w mowie ludzkiej, albowiem miłość wrota nieśmiertelności otwiera. Jakże ty piękne jesteś życie z miłością w piersiach śpiewającą, jakieś ty niepojęte, urocze, lube i święte!...

O miłości, śnie brylantowy na purpurowych kwiatach szczęścia usłany, marzenia cudne tobie wianki rubinowe wiją, a upojenia niepamięcią służą. Miłości, oblubienico subtelna radosnej błogości, królewno biała, liljo różowa, nad tobą kwiaty i pod tobą kwiaty, nad tobą pieśni i wokoło ciebie pieśni brzmiące oczarowaniem, symfonje wieczorne, legiendy muzyczne, poematy śpiewne, serenady,

w których ukojenie tęsknotę gorzką żegna na wieki miłym uśmiechem, westchnieniem ulgi dobroczynnej, pokojem błogosławieństwa. Za tobą idzie w ślady promieniste, o uczucie niepokalanego nabożeństwa, ofiaro wyzwalająca istnienia z ponurej powszedniości, za tobą w ślady stąpa cnota niewinności zbawczej, tajemniczy chrzest nowonarodzenia. Głos twój przenajświętszy, podobny do porannego prèludjum natury, ma w sobie siłę z martwych wskrzeszającą, ma słowo zaklęte dobrocią, ma owoc żywota świętego, ma litanję za wszystkich sennych, niezbudzonych ludzi!...

Gdym po raz pierwszy ujrzała Władka — uśmiechnęła się dusza moja w lazurowym dźwięku i w dreszczu szczególnej lubości, zakołysała marzeniem prawdziwego przypływu rozkoszy niebieskiej, której duchy dziewic anielskich sukienki jasnej zazdroszczą. Wesele zakwitło na moich wargach, nie dotkniętych niczyjemi usty, w przeczuciu uczty królewskiej, w jasnowidzeniu godów nadziemskich. Światłość światłości niezbadanej rozlała się po mnie całej i zrodziła woń czarodziejską, aromat nieznany nigdy przedtem.

Władku... mój Władku, wszystkie imiona za błahe, by nazwać mogły godnie to co czuję, dla ciebie i czem ty dla mnie jesteś!... Modlę się westchnieniami dziewiczego łona za ową chwilę bolesną, w której tyś na świat przychodził, a trawy na grobie twej rodzicielki łzami bym podlewała,

by wystrzeliły w bukiet chwały niezniszczalnej za to, że ciebie, ducha mej duszy, życie mego życia, spokój mego spokoju na zawsze, że ciebie wiaro moja, nadziejo i siło i tarczo, zrodziła!... Kto kogoś kochał, a później utracił — temu życie tak gorzkie było, jak gorzkie jest rozstanie się z granicami ojczystego kraju, jak wspomnienie krzywdy wyrządzonej niewinnemu.

Władziu, Władziu, Władziu, mój wyśniony sokole drogi, oczekiwała na przyjście twoje dusza moja znękana, wyczekiwała z gorączką w ciemnościach na ukazanie się twoje, jak pierwszych promieni złotego brzasku dnia, jak pokutnik średniowieczny na rozgrzeszenie, odpuszczenie win ciężarem gniotących fantazję, i pożądała ciebie, królu mój słodki, widoku twego, spojrzeń rozjaśnionych twych oczów szlachetnych, jak najwyższego odkupienia. I oto przyszedłeś, jedyny mój władco, który mi serce uczuciem miodopłynnem przepełniasz, jak czarę kryształową po brzegi misternie rzeźbione; przed tobą, gołąbku mój mały, kroczyła miłość w szatach purpurowych, za tobą wytrwanie dostojne i godne zaszczytów, a nad tobą, wznosiło się tchnienie zdobywcze ramion gotowych do uścisku, do porwania w objęcia kochane, w splot wszechpotężny, w którym omdlewają z niepamięci wszystkie zmysły, łamią się obowiązki, pryskają prawa, kruszeją przysięgi wszystkie; usta, twe usta śliczne, Władziu mój, ptaszku cudnobarwny, poca-

łunkami w samotne noce dziewicze pieszczony, do łona falującego jedynie w wyobraźni tulony, promieniami mych włosów muskany. Władziu, szaleństwo żywe mych marzeń, rozkoszy godzin bezsennych, usta twe, Władziu, mają dla mnie ponętność grona zakazanego, mają czar grzechu, łudzącego pustelnika, mają zapowiedź morza lubieżności... Władku, Władku mój!...

Władziu, mój Władziu, ogrodzie mój wonny, raju mój niedościgły, napoju balsamiczny—nikogo nigdy tak nie kochałam i nigdy nikogo tak nie umiłuję, gwiazdo moja rubinowozłota; od śmierci ojca byłam, jak ów nie mający domu, ów tułacz, co zimą, w wieczór zawieruchy, wydaje ostatni oddech pod gruszą przydrożną i cichym jękiem wita śmierci skostniałe zbliżenie, jeno spojrzeniem smutku skarży się przyrodzie, że tak samotnie umiera, że żadna łza bratnia nad nim nie zapłacze i żadne westchnienie w niebo ciemne i nieme nie uleci, jak iskra cudotwórcza. Tyś przyszedł do mnie, wierny mój druhu, zdroju orzeźwiający i dusza się stała radością przebogata i zagrała pieśń skończoną w doskonałości, i moce niezłomne zrodzone w piersiach zostały i bramy szczęśliwości oślepiającej stanęły otworem gościnnym, a tam kobierce zapamiętania się nęcą ku sobie szałem przedziwnym zetknięcia się dwóch ciał zakochanych, nęcą błogością chwili wniebowstępowania. Władku mój, krew we mnie huczy pragnieniem

zwieszenia się bezwładnie na twoich piersiach dla mnie tak świętych pożądaniem... w uścisku gorącym, szaleńczym, lubieżnym, kiedy nietylko usta, lecz dusze wpiją i wessają się w siebie na zatracenie przytomności... lecz... lecz... Władku... Władeczku, słowiczku mój rajskośpiewny, ptaszynko podniebnie nucąca, daruj mi, daruj za mękę naszą wspólną i za pragnienia nasze daremne... Władku, Władziuniu mój, ciało sobie żywcem obcęgami wyrywam, krew wytaczam, serdeczną boleścią pijanam... lecz Władeczku... to nigdy nie nastąpi!... Wszystka krew się burzy i syczy buntem płomiennym we mnie przeciw temu postanowieniu, prawa ciała młodego, młodości kobiecej głosy przeklinają mnie... przeklinają za głód szczęścia... lecz Władziu, wyrok zapadł i nic go nigdy zmienić już nie może!...

Ja ani żoną, ani matką niczyją nie będę, nie chcę!.. Zrozumiano?... Nie chcę!... Nie chcę!...

Uspokój się obłudna duszo mieszczańskiej moralności — ani niczyją kochanką nie będę!... Nie, zgniła, mieszczańska duszo, nie dla tego nie będę kochanką niczyją, bym miała się lękać ciężkiego kamienia twoich potwarzy i twoich obmów i twej hypokryzji... lecz dlatego, że chcę być wolną do walki na śmierć i na życie, chcę, by mnie nic, oprócz nienawiści nie łączyło z tobą, duszo mieszczańska; chcę być wolną, jak wicher na stepie, chcę, by na każdem stąpnięciu wszystko przypo-

minało mi moje życie przeklęte i moje ciągłe męczarnie, i aby boleść bezgraniczna była mi ostrogą, która do walki podnieca, bo najserdeczniejsze ukochanie idei — nie dodaje takiej mocy wytrwania, takiej zapalczywości zażartej, takiego szału niszczycielskiego — jak osobiste krzywdy, doznane od ciebie, ty już cmentarna duszo mieszczańska. Ja wiem, ty robaczywa duszo mieszczańska, wiem, żeś jeszcze potężna ogromnie i dlatego jeszcze kamienować będziesz tęczowe motyle sofizmatycznym płaszczykiem dobra społecznego, pod którym się jedynie twój sybarytyzm haniebnie ukrywa; wiem przewybornie, że ty, niby w Boga wierząca, ty, niby miłosierna, łagodna, serdeczna, litościwa — ty wyrafinowanie dręczyć, głodem zamorzyć sokoły chwalebne, jutra promienne potrafisz. I biedny, po trzykroć biedny jest ten, kto przed tobą kark zgięty trzyma!...

Oh, jakże ja ciebię nienawidzę, jak pogardzam tobą mieszczański, przewrotny świecie, wraz z twemi ideały ciemiężenia. Gdybym mogła zdusić ciebie, chętnie byłabym drugim Samsonem, by można było zginąć pod twemi gruzy z budowli występnej!... Nie chcę być Judytą, okupującą hańbą zwycięstwo swego ludu — bo każdy dzień może stawić dziesięciu nowych Holofernesów; ja chcę, aby synowie mego ludu potrafili sami zgniatać swoich katów wszelakich, bo to najlepsza rękojmia swobody rozkwitu i szczęścia ludzkiego!...

Nienawidzę ciebie mieszczański stanie, dziś tak wszechwładny, nienawidzę i pogardzam tobą do dziesiątego pokolenia i dla tej nienawiści wyrzekam się cudów nad cudy, wniebowzięcia nad wniebowzięcie, miłości i słodkiego macierzyństwa; wyrywam z duszy wszystkie pragnienia kobiece, wyrzekam się malinowego ust dotknięcia ukochanego człowieka, którego dusza moja i ciało wszystkiemi mocy życia pożąda. Dobrowolnie wyrzekam się wszystkich słodyczy pieszczot do raju wprowadzających, niech myśl ukrzyżowana spragnionej duszy powtarza w każdej dobie, że sprawcą wszystkich męczarni ludzi pokrzywdzonych — to wy jesteście, wy i wasze cele i dążenia wasze!...

A ciebie, Władziu, Władziuniu mój jedyny, twórco mego szczęścia i mojej tęsknoty, chmurko różowo złota, gołąbku jasny, westchnienie skrzydlate, kwiecie wonny, strumieniu ożywczy, cieniu wypoczynek pielgrzymom dający, przepraszam cię, aniołku mój wyśniony, na kolanach cię błagam za ból wyrządzony; Władeczku mój, my nigdy ramię przy ramieniu, jak para kochanków, nie możemy stanąć... jedynie, ramię przy ramieniu, jak towarzysze broni jednakiej.

Daruj mi, Władziu, żem tak często słuchała głosu twego drogiego, gdyś czytał swe prace lub książkę naukową, daruj mi, że bardzo często spierałam się z tobą lub pytałam o rzeczy mi jasne, lecz pytałam dlatego, by dłużej głos twój słyszeć

mówiący. Wybacz mi, że gdyś miał wzrok w książce utkwiony, ja oczami całowałam twe usta różowe i głowę twą pieściłam i do piersi przyciskałam, bo serce mi mdlało z rozkoszy, gdym patrzała na ciebie!... O Władziu... Władziu mój drogi!...

Może to było niegodnie, nie wolno, żem duszy mej kochać, tak kochać pozwoliła?...

Władziu, miej litość i bądź mi sędzią miłosiernym. Zanim poznałam ciebie, tak było mi zimno na świecie, taki wiał smutek dookoła i pustka mroźna otulała serce samotne i dusza spragniona była... a Władziu... Władziu, jam tylko człowiekiem i kobietą, a kobiecie potrzeba miłości do życia, jak powietrza do oddechu. Kobieta musi choć raz jeden pokochać i pomarzyć w wieczory długie, w noce miesięczne, spędzone bezsennie... Władziu, gdybym cię nie kochała — nie byłabym prawdziwym, pełnym człowiekiem. Ta miłość wystarczy mi na wieki, jako wspomnienie przebywania w niebie, gdzie serafiny nadrozkoszne hymny śpiewają wybranemi głosy dźwięcznemi!...

Kocham cię, liljo moja cudna, miłuję cię Władziu mój, krzaku gorejący, uwielbiam ciebie, blasku oczy radujący; gdyby w Polsce nie było płaczów piołunowych, nie było żywotów nędzą gaszonych, nie było źrenic oślepłych, krzyków duszonych ludzi, konań powolnych, tortur nieprzerwanych, to Władziu mój zanucilibyśmy hymn

szczęśliwy, hymn radosny, hymn tworzenia, hejnały pocieszeń!...

Ja widzę ciągle twe spojrzenia, co mnie czczą i świętą zowią, przeczuwam bezmiar twej miłości i dziękuję, dziękuję i jestem wdzięczną tobie i dłonie twe całuję, że tylko dobroć dla mnie przyniosły, lecz... Władziu, usta nasze muszą milczeć o miłości naszej, milczeć na zawsze, jak skamieniałe!... O wszystkiem mówić nam wolno, ale nie o sercach naszych!... miej zmiłowanie, zaklinam, miej zmiłowanie i milcz o tem, jak posąg nieruchomy! nie płosz lazurowego ptaka naszych godzin przyjacielskich, bo... bo... bo... Władziu!... mu...mu...musimy się rozstać!...

O niepojęte szaleństwo bólu rozpaczy piekielnej — katowska myśli o męczeńskiej godzinie rozstania!... katuszy wieczna, goryczy samotności i opuszczenia aż do śmierci samej!...

. . . .

Przyszła druga połowa czerwca, w Warszawie było tak gorąco, że poprostu w dzień nie można było wyjść na ulicę; ulice opustoszały, gdzieniegdzie jeno w cieniu, wolnym krokiem szli ludzie siłą interesów wypędzeni na rozpalone chodniki miasta; kto mógł uciekał na wieś lub choćby do publicznego ogrodu. Nastały wakacje w całej pełni. Władek nie dawał już lekcji i liczył dnie pozostałe do wyjazdu.

Po długich nagabywaniach udało mu się nareszcie namówić Helenę i Annę do opuszczenia na kilka tygodni Warszawy. Hela z początku ani słuchać nie chciała, lecz przemawiał tak przekonywająco i tak rozsądnie, przytem błagał serdecznie rozkochanym wzrokiem i skargą smutnie dźwięczącego głosu, iż, pchana wewnętrzną siłą miłości, zgodziła się, tem bardziej, że wszystkie lekcje ustały, a co najgorsze, że policja zaczęła na Helę zwracać pilną uwagę i nawet pewnej nocy dokonała rewizji. Rozumie się, że obie młode kobiety nie były tak nierozsądne, by coś kompromitującego przechowywały u siebie w domu. To też dzięki temu wypadkowi, Władek mógł śmiało nagabywać; pilić co prędzej do wyjazdu.

Pakunków dużo nie mieli, jak wogóle wszyscy ludzie bezdomni, co są jak ptaki przelotne, jedynie Władek zapakował książki w cztery potężne skrzynie i oddał na przechowanie do jednego ze składów, resztę rzeczy można było pomieścić w niewielki koszyk, to samo było również i z Helą i Anną, gdyż cała trójca odnajmowała pokoje umeblowane, wychodząc z tej zasady, że im mniej się posiada, tem mniej się jest przywiązany do filistersko kapitalistycznego społeczeństwa. Należy do pewnego stopnia męczyć swoje ciało, by dusza nie zatuczyła się na dobre, jak świnia w karmniku. Słowem, byli o każdej godzinie w pogotowiu bojowem.

Nareszcie przyszedł dzień wyjazdu, wszystko było gotowe do drogi; Władek zawiózł swój koszyk na dworzec i następnie poszedł do Heli.

W pół godziny trójca była już w wagonie, rozmawiając i śmiejąc się wesoło. Władek był bardzo ucieszony, nie posiadał się z radości, co chwila spoglądał rozkochanym wzrokiem na Helę i błogosławił cały świat cudny cichą i niemą modlitwą duszy kochającej. Hela udawała, że nie widzi tego wzroku, jeno czasami Anna, pochylając się ku niemu, szeptała na poły złośliwie:

— Zdaje się, że doktór filozofii i uczony badacz nauk społecznych coraz więcej przemienia się w sielskiego poetę — i znacząco, filuternie zmrużała powieki.

— Święty Paweł powiedział, że kobiety nie mają głosu w kościele — odcinał się Władek.

— Jeno uczone mędrce, hę... co?... — i przechyliła głowę i z dowcipnym wyrazem twarzy spoglądała na niego z bezdennym szyderstwem.

— Lud powiada, że u kobiety długi włos, a krótki rozum, zatem nie potrafi zrozumieć różnicy pomiędzy mędrcem a poetą — i, wychodząc z tego założenia, nie ma prawa wyrokować o jakiejkolwiek przemianie... Dobrzeby było, gdybyśmy z panią podczas wakacji przestudjowali podręcznik logiki.

— I logika i teorja poznania nic nie pomoże temu, kto ma umysł w różowych falach całkowi-

cie pogrążony; dziwię się tylko, że pan jeszcze potrafi dostrzedz moje długie włosy... Doprawdy, wyjątkowa zdolność spostrzegawcza!...

Pociąg, przebiegając równiny mazowieckie, z szumem i trzaskiem wpadł na stację w Skierniewicach; do wagonu poczęli wciskać się nowi pasażerowie. Jakaś otyła jejmość z dwoma prawie dorosłemi córeczkami, a za nią cały sznur brodatych cuchnących żydów, i na samym końcu łańcucha jakaś kulawa żebraczka o opuchłej, pijackiej twarzy. W niskim szczupłym wagonie zrobiło się ciasno i duszno, powietrze, przesycone wyziewami i potem, poprostu gniotło i dławiło w gardle; na domiar udręczenia, handlarze poczęli zapalać ordynarne cygara. Zaduch bił, jak toporem w czoło.

Władek, nie mogąc wytrzymać zatrutego powietrza i dymu drapiącego w ustach, zwrócił się w grzecznych słowach do palących, by przestali do reszty zanieczyszczać powietrze. Żyd spojrzał nań dziwnym wzrokiem i spluwając na środek wagonu, dodał w niemiłosiernej polszczyźnie:

— Ny, niech pan przeczyta, przecie to dla «kurjaszczych», to za co ja mam nie palić swoje własne cygaro?...

— Bo pan zatruwa powietrze swoim cygarem i pluciem na środek wagonu!

— Mój panie, czy ja nie mogę za moje pieniądze pluć?... Ja myślę, co ja mogę pluć tyle,

ile mam ślinów w gębie! Czy ja jestem cholera, cobym zatruwał powietrze, ny, niech pan sam powie? Jak panu wszystko przeszkadza, to niech pan jedzie samochodem albo balonem, przecie to u nas wolno!...

— Bydlę! — mruknął Władek, obracając się ze wstrętem i siadając koło Heli, wyrzekł ze smutkiem:

— Strach, strach, dziki kraj!... Za sto lat nie nauczy się ten lud uczuć społecznych. Niech pani powie czy nie można znienawidzieć takiego kraju, w którym tyle ciemnoty panuje, niepunktualności i najgorszych nałogów?...

— Smutne to, panie Władziu, ogromnie smutne, lecz to właśnie powinno nas zachęcać do czynnej pracy, dopóki w piersiach tchu wystarcza.

— Tem smutniejsze, że jak wykazują stosunki społeczne, ludziom dążącym do jaśniejszej przyszłości, ogół biernością, a pijawki oszczerstwem, kamienie rzucają na piersi i krzyczą: Ukrzyżuj, bo to niszczyciel!...

— Trzeba zachować pogardę olbrzyma, pobłażającego niewidomym karłom... i pracować z zapamiętaniem!...

Na przodzie siedząca jejmość, kupiła od przechodzącej żydówki pomarańczę i zdjąwszy historyczne rękawiczki, poczęła brudnemi palcami, o długich, pełnych błota paznokciach, obierać ją, rzucając skórę bez ceremonji na podłogę, zamiast przez

otwarte okno. Wkrótce pomarańcza była obrana i trzy białogłowy poczęły zajadać wyświechtany owoc.

Władka wstręt zdusił za gardło i poczuł wrażenie, jakby go porywały wymioty; obrzydzenie zatargało subtelną naturą i poczuciem estetycznem. Nie mógł wytrzymać na miejscu. Zwrócił się do Heli i zaproponował jej wyjście na platformę. Wyszli oboje, gdyż Anna zatopiona w jakiejś książce, zapomniała o całym świecie.

Stanęli na platformie; pociąg biegł szybko, jakby uciekał przed palącemi blaskami słońca. Gwałtowny prąd przerzynanego powietrza bił po twarzy i wywoływał przyjemne uczucie chłodu pożądanego. Hela patrzała hen, przed siebie na przebiegane pola, kołyszące się złotemi łanami żyta, na srebrno błękitnawe niebo, a na twarzy jej malowała się bolesna tęsknota i rozmarzenie ludzi samotnych.

Władek oparty o drzwi wagonu, utonął wzrokiem rozmiłowanym w cudnej, niemal anielskiej twarzy swojej towarzyszki; wpiął się źrenicami w kształtną jej postać, bo dusza rozpływała się w ogromie miłości i czci bezgranicznej, zwykłej powiernicy uczucia. Pieścił marzeniami jej wonne włosy i przemawiał do tych splotów mową serca wdzięcznego, tchnieniem umiłowania silniejszego, niż życia potęgi, niż wszystkie religje szacowniejszego. Jakaś lubość i miłe omdlenie niemocne roz-

lało się po całej istocie i nuciło muzyką bałwochwalczą glorję chwały na cześć ukochanej kobiety. Jeno niekiedy gorący dreszcz rozradowania, jak błyskawica, przerywał nagle upojenie kwietne i probował wydostać się na usta obumarłe w zachwycie i w cherubinowym ze szczęścia uśmiechu. Czuł w sobie potężną moc dobroczynną, jak rosy poranne, jakiś śpiew błogosławieństwa rubinowego kołysał się w spiżowych tonach po wszystkich głębiach duszy, pogrążonej w ekstazie.

Hela odczuła wzmożony prąd miłości Władka i pomimo woli jaźń jej chciała wyszeptać zaczarowane słowo, króla wszystkich słów. Czuła szalenie nieprzepartą moc w sobie, by odwrócić się do swego bożyszcza, ująć jego zgrabną dłoń, spojrzeć mu głęboko, serdecznie w oczy i zamknąć w jednym okrzyku uniesienia, zakląć w spojrzeniu śmiejącem się ze szczęścia nadmiaru cały ogrom miłości, całe nieprzebrane morze uczucia, całe mocne credo umiłowania. Przechodziły po jej piersi rozśpiewane fale ukochań i ginęły gdzieś w nieskończoności duchowej; pieszczota słodka, jak lube widziadło wdzięczne, drgała w sercu, kwiliła we wszystkiej postaci i błagała o jedyną, jedną jedyną chwileczkę małą zaśnięcia na motylo-tęczowych ramionach rozkoszy nieziemskiej.

Jacy bogaci są ludzie. co kochać umieją, bo miłość ludzi w aniołów ludzkości zamienia.

Hela uparcie wpatrywała się w niebo i ziemię, w pola przebiegane, bo dusza spragniona skamlała o okruszynę chleba wiecznego.

— Wolo, wolo hartowna i bezlitosna — prosiła dusza kobiety — miej litość i nie męcz mnie tak okrutnie. Jam taka zmęczona samotnością, zgłodzona pożądaniem, tak utęskniona wysiłkiem, a ty mnie jedynej sekundy spojrzenia do raju odmawiasz; ciągła gorycz i znużenie moim napojem, a kurcze żalu wytchnienia odpoczynkiem!...

A wola:

— Choćbyś się, duszo moja biedna, paliła żywym płomieniem z gorączki, choćbyś padała z wysiłku pod życia ciężarem, choćby wiecznie męka za pokarm służyć musiała — nie wolno, duszo, nie wolno, nie wolno!... A czy też wiesz, duszo, łaknąca, co znaczy nie wolno?... Czy wiesz, duszo stroskana, że na mojej ziemi brat brata gnębi i prześladuje i ciągłe konanie sprowadza, czy wiesz że moja kraina krwią i łzami splywa?... Oto, duszo dzisiejszej młodzi, to znaczy nie wolno!... Nie wolno — to znaczy, abyś przywdziała na siebie płaszcz purpurowy, cierniami podszyty, na głowę włożyła wieniec pokutny i różaniec żalu odmawiała skrwawionemi usty!...

Ostry świst lokomotywy i zwolnienie biegu donosiło, że stacja już blizko. Pociąg zgrzytami kół świadczył o wjeździe na weksle. Helena i Władek zbudzeni z rozmyślań tak jednakowych, a tak

odrębnych, tak bliskich, a tak oddalonych, powrócili do wagonu, gdzie Anna już szykowała pakunki.

— Panie nie znają jeszcze Łodzi, prawda?... Otóż będę służył za Cycerona.

— Owszem, znam ją — odparły naraz obie kobiety — znam ją z «Ziemi Obiecanej» Reymonta.

— On wyrządził jej krzywdę, bo nie znając dobrze, tak jednostronnie opisał — odparł Władek.

— Może być — broniła Hela — ale to ogromny talent.

— Talent to jeszcze nie wszystko, proszę pani. Nie mogę znosić pisarzy, u których nie mogę domacać się duszy, a Reymont, niestety, do nich należy. Do talentu potrzeba mieć jeszcze i duszę i głowę!...

— A czy jego ludzie nie cierpią i nie myślą?...

— Owszem, uczuciem kinematograficznem; przecież i kinematograf daje silnie dramatyczne sytuacje, lecz ja nie znam twórcy obrazu i nie jestem ciekawy go poznać. Co innego z dziełem poetyckiem — ja chcę widzieć sumienie autora, chcę by koncepcja myśliciela unosiła się nad dziełem, jak biblijny duch nad wodami.

Dalszą dyskusję przerwało zatrzymanie się pociągu przed dworcem łódzkim. Podróżni poczęli cisnąć się do wyjścia jeden za drugim, pchano się niemożliwie i bijąc się po bokach pakunkami,

gnieciono się w bezrozumnym tłoku; krzyk, pisk, szurgot i przeklinania męszały się wzajemnie. Jakiś tłusty, beczkowaty żyd, przyciśnięty do drzwi, wymyślał wszystkim naokoło od «czarnych cholerów i złodziejów», podcząs tego, jakiś «szajgec» wyciągał mu złoty zegarek z kamizelki. Szlachetna jejmość, z dwoma córeczkami, wzywała świętego Antoniego z Padwy do pomocy i obrony, lecz pomimo gorących westchnień i pobożnych zaklęć święty nie zjawił się na ratunek dostojnej matrony; prawdopodobnie nie chciał narażać swojej powagi na więcej niż wątpliwy rezultat w zetknięciu się z wysiadającą łódzką ludzkością. Nareszcie po kilku minutach wyjście było wolne. Władek przywołał tragarza i kazał wynieść pakunki na specjalnie «łódzką» resorkę. Na przodzie siedział furman, na środku leżały rzeczy, a na końcu resorki, na podartem, materacowem siedzeniu usadowiło się czcigodne towarzystwo.

Żyd śmignął batem i biorąc lejce, zwrócił się do Władka:

— Ny, panie młody, dokąd jedziemy?...

— Za Radogoszcz — brzmiała odpowiedź.

— Możemy nawet na koniec świata, nietylko za Radogoszcz; za pieniądze Mojsze wszędzie pojedzie!...

Raz jeszcze śmignął batem i resorka powlokła się po wyboistym, zniszczonym bruku łódzkim.

Jadąc ulicami miasta Władek objaśniał:

— To bardzo ciekawe miasto, nie mają panie wyobrażenia, jakie ciekawe ono pod każdym względem. W przeciągu dziewięćdziesięciu lat wyrosło prawie z posad. Ludzie tu potrafią pracować, jak nigdzie w całem Królestwie; to też Łódź ma trzy razy większy obrót finansowy od Warszawy. Tutejsza plutokracja posiada pieniędzy, jak lodu; salony niektórych burżujów kapią zbytkiem i złotem. Szampan się leje i... łzy tysięcy robotników, pogrążonych w nędzy i ciemnocie. Zdarzają się naprzykład takie wypadki, że fabrykant sprasza swych przyjaciół na maleńką bibeczkę, zamawia telegraficznie w pierwszorzędnym hotelu berlińskim kolację i w dwadzieścia cztery godziny później raczy swych kompanów w Łodzi ucztą berlińską i obsługiwaną przez berlińczyków, i... zdarzają się również takie wypadki bardzo często, że robotnik, pozbawiony pracy, w okresie przesilenia ekonomicznego, z rozpaczy i głodu... wiesza się!... Znam jednego fabrykanta, który za urządzenie do salonu zapłacił osiemdziesiąt siedem tysięcy rubli, a za robotnika, porwanego przez transmisję, wypłacił rodzinie po długich tarapatach sądowych pięćset rubli... Tak tu ceni się człowieka. Na wołowej skórze nie spisałbym wszystkiego łajdactwa tutejszej burżuazji; choć, szanowna pani, i tu są ludzie dzielni, dusze świetlane... brylanty, perły ludzkości!... Strach pomyśleć, jakie błoto, jaka zgnilizna i często jakie tragedje się mieszczą w salonach tutejszych. Tu

brat potrafi uwodzić dwunastoletnią siostrę, matka syna, ojciec córkę niewinną!...

— Cicho! cicho! cicho! na litość, cicho — zajęczała Hela, chwytając się obiema rękami za piersi.

Władek zamilkł i z bolesnym wyrazem twarzy przyglądał się dość dawno widzianemu miastu.

Zapanowało dławiące, katowskie milczenie okropności ludzkiej zbrodni, której żadne morze obmyć nie zdoła, żadne poświęcenie zbawić, żadna miłość odkupić; jedynie śmierć zniszczyć i unicestwić potrafi.

Anna, nieruchoma, z zaciśniętemi usty, mierzyła ponurem spojrzeniem całe miasto, olbrzyma krajowego przemysłu, straszną pijawkę, potworną maszynę, co ssie ludzką krew, pożera ciało, chłonie w zastraszające wnętrze swoje ludzkie żywoty, by je przetwarzać na kupy złota wszechmogącego w dzisiejszym porządku społecznym. Wszak to miasto wyrosło na zbrodni i krzywdzie, zdzierstwie i łajdactwach, i ze zbrodni i krzywdy czerpie swoje siły mocarne, swoje soki żywotne, swoją niezłomną potęgę, gaszącą istnienia w zarodku, jak podmuch wiatru gasi wątłe świece. Wszak to miasto, stuletnie przekleństwo całych tysięcy, ponura pieśń konania dla setek rodzin robotniczych i proletarjackich, to gniazdo gangreny moralnej, przybytek zepsucia i deprawacyi, gmach babilonu — to miasto jest przecie chlubą naszego

mieszczaństwa, naszych obywateli, szczycących się z posiadania Polskiego Manchesteru!... A ci królowie wrzecion i warsztatów tkackich, te molochy ludu roboczego są przedmiotem zazdrości naszych miłujących lud swój patrjotów, wrzekomo dorabiających się na roli!...

O ty mózgu stępiały, ty ślepoto wieczna, ty obłudny fałszu, maskowany przywiązaniem do sprawiedliwości i prawdy, ty nieprzerwane łakomstwo krzywdy!... Czemu nie można ciebie porwać w ramiona, przycisnąć do piersi syczących bólem i rozpaczą niemocy i zdusić, jak wściekłego kota?... Czemu trzeba czekać długie, długie lata jeszcze, aż w powolnym procesie przeobrażeń społecznych zatracać będziesz żarłoczność swoją i pożądanie okropne?... Czemu godzić się trzeba na długie lata powolnego umierania w okropnych splotach przeklętych uścisków?...

W ponurej cichości, w gorzkiem rozmyślaniu przejechali przez miasto. Niskie, drewniane domki zwiastowały Radogoszcz, a za nim szczere i piękne pola; mijając wspaniały budynek w głębi ślicznego parku, Władek wyrzekł:

— To pałac, letnia rezydencja jednego z bawełnianych królików — pana barona Heintzla. Warto dodać, że prawie ciągle stoi niezamieszkany, gdyż właściciel przebywa podczas letnich miesięcy we Włoszech lub Szwajcarji.

— A jego robotnicy dławią się w ciasnych dziurach — wyrzekła z goryczą Anna.

Minęli ostatnie domki Radogoszcza — tu widok poprostu był przecudny. Naprzód, przed siebie biegła równa szosa, jak szeroka popielata wstęga, ginęła daleko w paszczy zgierskiego lasu co fioletowemi barwami czernił się po obu stronach drogi i wyginał się łukowato, niby ogromne ramiona zastraszającego olbrzyma. Po prawej stronie, jak okiem dostać, falowały w delikatnych poruszeniach niezmierzone grzywy dojrzewającego żyta, w nim rozkochane oczy modrego chabru przyglądały się słonecznemu niebu. Cichy, spokojny, zaledwie dostrzegalny wietrzyk muskał subtelnie niwy kłosów; gładził je aksamitną dłonią, jak czuły kochanek złote włosy umiłowanej kobiety, pieścił je pocałunkami i tulił w puchowych objęciach. Na lewo rozłożył się wprost bajeczny kobierzec łubinu złotego; gdzieniegdzie zielone liście wyglądały, jakby zalęknione wstydem dziewiczym; nieco dalej widać było wiatrak nieruchomy, a obok niego szkliła się srebrna woda, jeszcze dalej, na ostatnim planie wystrzelał w niebiosy smukły, dymiący komin cegielni.

Niebo było niepokalanie czyste o błękitnawym odcieniu, gdzieniegdzie kładły się niby welony i niby przejrzyste smugi delikatniutkie srebno niebieskawe cienie. Jeno słońce rozpięte stało niemi-

łosierne gorąco, aż omdlewały płuca z wysiłku oddychania.

Pierwszy ocknął się Władek, urok natury działał na niego jak kojące, dobroczynne lekarstwo, to samo działo się i z jego towarzyszkami. Czar przyrody usypiał bóle nieznośne i gładził duszę wyśnioną pogodą, jak śpiew słowików, jak muzyka letniego wieczora.

— Za piętnaście minut będziemy u siebie — przemówił prawie radośnie — zobaczą panie, jak tu ładnie, ile poezji i ile wdzięku ma ta okolica, pomimo dymów łódzkich.

— Tak! natura przecudna jest wszędzie, jeno człowiek, człowiek ją szpeci, gdzie on się ukaże, tam zamiera prawdziwe piękno, nieśmiertelne i wzniosłe. O jakże długo jeszcze czekać trzeba zanim człowiek będzie ozdobą i chwałą całej natury!... — wyrzekła ze smutkiem Hela.

W tem Anna najniespodziewaniej ryknęła głośnym, duszącym płaczem.

— Nie, nie, nie mogę wytrzymać!... — zawyła okropnie i osunęła się Heli do kolan, ukryła twarz w jej sukni i trzęsła się od szlochu — Helu!... Helu!... Helu! dusza mi pęka z żałości i goryczy!...

A Hela pochyliła się nad nią, wzięła w obie dłonie jej kształtną głowę, całowała jej włosy i cichym głosem powtarzała zbielałemi wargami:

— Płacz!... płacz!... płacz, to lżej robi męce...

płacz, dziecko moje, łzami można ukoić katuszę ducha biednego.

Jechali w cierpkiem milczeniu, płacz Anny przyszedł, jak kat, i zabił pocieszenie strapionych, zabrał jedyną chwilkę szczęścia błogosławionego, zwarzył uśmiech niewinny i błogi, jaki natura przysłała cierpiącym, niby nektar słodki odkupienia. Powoli Anna uciszała się, jak małe dziecko; niekiedy tylko wstrząsały nią ostatnie drgnienia męczeńskich ataków, lodowe dreszcze ukrzyżowania przechodziły nieznacznie i pozostawiały przykre wspomnienia, aż do nowego przyjścia w boleściach piołunowych, w smaganiach okrutnych samotnego ducha, w przypomnieniu szalonej mordęgi życia dzisiejszego pokolenia!...

Anna powstała i siadając na dawnem miejscu, ocierała oczy, i mówiła wolno:

— Żebyście wiedzieli, jak mnie życie dławi, żebyście wiedzieli, jak ono mnie dławi!...

— Biedna pani!... — wyrzekł Władek.

— Wszyscyśmy biedni, jeno nie każdy czuje i rozumie całą ohydę i nędzę swojego żywota! — odpowiedziała szorstko.

— Dlaczego pani taka niedobra i zaraz mi tak gorzko odpowiada — skarżył się Władek — przecież ja się nie lituję nad panią, jeno mi żal okropny ściska serce, żem taki bezradny i niemocy pełen, gdy widzę bóle ludzkie. Przecież, nas, najmłodszych, życie twardsze od kamienia; gdzie się

obrócisz, wszędzie widzisz krew i zwątpienie, gdzie podasz ucho, tam skarga i szloch ściskający gardziel. Znikąd nadziei, znikąd wiary, znikąd ulgi i pocieszenia.

— To wszystko stąd!... — wyrzekła Hela z mocą nieprzepartą i palcem wskazała na piersi swoje wątłe.

— Tak, pani, lecz jednakowo czas upływa ropusze, jak podniebnemu gołębiowi; on nie zna litości i nie zna nagrody nijakiej!...

— Ny, panie, na lewo, prawda?... do tych kolonji?... — zapytał furman i batem wskazał wyłaniające się z gęstej zieleni murowane zabudowania gospodarskie.

— Tak! — odparł Władek — lecz pierwej pojedziecie trochę dalej, na prawo, o, do tej białej chałupy, za temi budynkami — później wrócicie ze mną tutaj.

— Dobrze, panie, jak kazano — tak się stanie!...

Ściągnął konia i dawszy mu kilka batów, skręcił na boczną drogę, wskazaną przez Władka; znalazłszy się trochę od szosy, śmignął biczyskiem i pełną piersią zaintonował:

— Wie łang! oh, wie łang so błaiben wir Szklawen?...

— Słyszy pan? — zapytała Hela — on się nie pyta o nagrodę, ni o ulgę, ni o pocieszenie!...

I swoim melodyjnym, słodkim głosem przyłą-

czyła się do pieśni żyda, a za nią Anna i Władek, z odkrytą głową, powstawszy. na resorce, serdecznym tonem huknęli w niebo:

— Wie łang! oh, wie łang so błaiben wir Szklawen ?...

I z pieśnią zajechali przed chłopską chałupę.

. . . .

Pobyt na wsi trwał już przeszło sześć tygodni; czas ten upłynął, jakby z procy wyrzucony. Zapomniano o Warszawie i wszystkich kłopotach i o prześladowaniu policji i filisterskiej gospodarce społecznego życia.

Anna od pierwszego zaraz dnia wzięła się do pracy; nie chciała słyszeć o żadnych przyjemnościach wypoczynku; siedziała po dwanaście godzin przy swoim Hammondzie i przepisywała Władkowi jego Wstęp. Jeno późno wieczorami siadała nad ogromnym stawem i rozmyślała. Stała się małomówną, ponurą i jakoś strasznie zimno milczącą, oczy tylko nabrały bezdennej powagi i rozmysłu — snać dusza ważyła jakiś głęboki zamiar, niezłomne, bohaterskie postanowienie, jakiś czyn bolesny, a przez ból — owoconośny i dobroczynny w błogosławionych skutkach. Unikała ludzi — nawet Heli i Władka; zaciśniętemi usty patrzyła w oddaloną przestrzeń, jakby oczekiwała wewnętrznego znaku. Na wszelkie pytania uporczywe odpowiadała niechętnie:

— Dajcie mi święty spokój!... Nic wiedzieć

nie chcę!... Nic nie wiem!... Wiem tylko tyle, że coś począć muszę, tak dalej być nie może! nie wolno! bo to męka i rozpacz i hańba i zbrodnia!

Nic jej nie można było powiedzieć na ukojenie, więc pozostawiono ją w spokoju o jaki prosiła.

Hela jakby przeczuwała oświadczyny Władka, unikała najmniejszej okoliczności, coby mogła przyśpieszyć podobną ewentualność. Podczas długich wycieczek we wszystkie strony pobliskich okolic, zwracała baczną uwagę na wybieranie tematu rozmowy, była niezmiernie ostrożną w poruszaniu tak drogiej kwestji, a której rezultat był już z góry przesądzony. Była dla Władka nadzwyczajnie uprzejmą i czułą, jak nigdy, słodką i uprzedzającą jego myśli. Gdy nie patrzał na nią, to otulała go kochanym, pieszczotliwie kobiecym wzrokiem, i w duszy powtarzała jego drogie imię, jak relikwie najświętsze. Modliła się do niego westchnieniami miłości jedynej, pierwszej i ostatniej w swem życiu, jakby zaklinała, by obraz jego pozostał w jej wyobraźni wiecznie jasny i uśmiechnięty i bezchmurny na pozostałe czasy, aż do śmierci ostatniego wytchnienia po uciążliwych trudach pochodu życiowego, po przeklętej katordze istnienia, po męce bytowania!...

Wyrok zapadł i nie mógł być za żadną cenę przeistoczony, odmieniony choćby w najmniejszych, najnieznaczniejszych szczegółach. Serce płakało

z samotności, dusza żaliła się kwilącą prośbą o miłosierdzie, tęsknota błagała o maleńki promyczek nadziei na przyszłość ponurą, zimną opuszczeniem, twardą poczuciem obowiązku świętego — nic, nic nie mogło przeciwdziałać. Tak jest, tak postanowione i tak ma być i tak być musi!...

Po nocach całych nie mogła sypiać, bo chałupa waliła się jej na piersi i dusiła, gniotła spragnione łono dziewicze; dławiło ją aż oddech ustawał, aż pot występował na całe ciało, aż członki drętwiały z okropnej grozy i bólu. Leżała niby na szpilkach, ostrych szpilkach, które wbijały się coraz więcej, głębiej w mięso, przebijały kości i raniły obolały szpik, aż oczy ślepły z boleści nieznośnych. Zrywała się z posłania, chodziła godzinami po szczupłej stancyjce chłopskiej boso i w bieliźnie i załamywała ręce, aż członki trzeszczały we wszystkich stawach, a męka miłości tłukła się w piersiach, a rozpacz huczała bałwanami, a pruły się nerwy, a dygotało wszystko, a szlochała istota biedna.

Gdy w błogiej ciszy słodkiej nocy letniej za otwartem oknem wietrzyk ciepły przelatywał lekko po trawach pobliskiej łąki, gdy szumiał dostałemi kłosami, gdzieniegdzie jeszcze nieskoszonego żyta, gdy szemrał lubo pomiędzy liśćmi drzew — Hela słyszała w tem wszystkiem archanielskie pienia, melodje nieziemskie uczucia, wtedy przychodziła niewypowiedziana słodycz błogim westchnieniem

potrójnem i omdlenie błogosławione ogarniało ducha. Lecz wnet pełzał podstępnie gadzinowy syk przeklęty i targał cudne struny zachwycenia. Gruby, głuchy oddaleniem ryk lokomotywy z dworca kolei kaliskiej przynosił z sobą całą gehennę dręczonych umęczeń, przynosił jad zatruty i zgrzyt przypomnienia prawdziwej doli. A wtedy nędza cierpień duszy wyrwanej ze stanu ekstazy miłej przebywaniem w krainie wonnej szczęśliwością, świętej niepamięcią, oddychającej spokojem pożądanym, anielskim, proroczym. Przychodziło zdławienie pętlicą gardzieli i brak powietrza, przychodziło uderzenie pałką sękatą w skronie rozpalone, pchnięcie nożem zbójeckim w miejsca najwrażliwsze; i znowuż krzyk ducha rozanielonego poprzednią chwilą odpoczynku i błękitnego marzenia samotnicy, i znowuż ból i szloch i płacz istoty czułej i duszenie się i szamotanie i walka i ryk i tęsknota i krzyżowanie i uśmiercenie.

Tak spływały noce i tak dnie katowskie!

Tak wlokły się godziny, tak czołgały się chwile Heleny.

Władek, pomimo duszy subtelnej i wrażliwej, nie mógł nic spostrzedz, gdyż Helena potrafiła nader dobrze ukryć swoją rozterkę duchową, a na zewnątrz ukazywała twarz wesołą, uśmiechniętą, prawie radosną, bo każda prawdziwa miłość kobieca znajduje szczęście bezgraniczne, gdy widzi uśmiech rozpromieniony na ustach ukochanego

mężczyzny; najpierwej pragnie zadowolenia radosnego miłowanego człowieka; bo kobieta czuje się dumną, gdy wniebowzięcie może dawać z siebie!...

Więc Władkowi mijały dni błogosławione rozanieleniem z obcowania z istotą drogą, cenniejszą niż życie, niźli światło oczów własnych. Czynili wycieczki do pobliskich miasteczek i osad, odwiedzali wsie i kolonje okoliczne. Władek zbierał materjały do dalszych prac, wpatrzony w źrenice Heli, pomagającej mu z całej mocy. Byli w Zgierzu, Łęczycy, Ozorkowie, Pabianicach, zwiedzili Aleksandrów, Konstantynów — wszędzie Hela miała w pewnych sferach znajomości i załatwiała pewną czynność społeczną. Witano ją z radością i błogosławieństwem, jako anioła, co trunek pokrzepienia przynosi samem tylko się ukazaniem, swoją pogodną twarzą i jasnem spojrzeniem prześlicznych oczów. Albowiem gdy mówiła o życiu i świecie — to szedł od niej blask poświęcenia, szedł majestat bohaterów, szła świętość wytrwania i wzniecała dreszcze w słuchaczach, którzy łzami zaprzysięgli nieustanny bój zatwardziały, aż do chwały zwycięstwa.

Władek wielbił kobietę, rycerza i człowieka!

Gdy którego dnia nie zrobili wycieczki — tedy raj szczęśliwości osobistej mlecznym obłokiem otaczał ludzi dwoje. W wspaniałym zgierskim lesie, pod strzelistą sosną czytano książki lub bawiono się w gonitwę aż do zmęczenia. To znowuż

jeżdżono łódką po olbrzymim stawie, łowiono rybki na wędkę lub Władek fotografował okolice. O takich godzinach dla Władka przepadał cały świat, nikł rozpędzony bieg życia, niewiadomość ogarniała wszystko — istniała Hela, tylko Hela, niebo przejasne, chmurki śliczne, drzewa zielone, pola wonne i zioła aromatyczne. Nic — krom miłości i natury cudnej. Biegły mu dni z zadziwiającą szybkością, trzaskiem błyskawicy świetlnej.

Dusza, rozlubowana w zaczarowanym stanie, w pogrążeniu słodkiem, w oceanie szczęśliwości nieziemskiej, śpiewała ewangielję błogą, hymny pochwalne na cześć miłości, pacierze modlitewne do bóstwa widomego, do Heli... do Heli... do Heli!...

Miłości! słowo natchnione niewypowiedzianą rozkoszą, tchnienie muzyczne śpiewnością, melodjo słowików, locie sokoli, poszumie orłów, nuto archanielska, brzemienna niepojętą tęsknicą, pokarmie siły dający, stanie niewysłowiony duchów tobą ogarniętych, antyfono wiecznie istniejąca. Jesteś oczekiwana w osłabłem pragnieniu, gdy duch już skrzydła połamane ku ziemi opuszcza i gorzkie łzy wylewa. Tęsknią do ciebie dusze wybrane, kwiaty ludzkości, dobra uosobione, cnoty niewinne, lilje chodzące po ziemi zbrukanej występkiem. Władek nie umiał swego uczucia duszy określić, był szczęśliw, jak motyl cudnoskrzydły na listku

purpurowej róży, jak ptak rozśpiewany w promieniach fal słonecznych!...

Czas biegł szybko, powrót do Warszawy przybliżał się — trzeba było się decydować.

Pewnego popołudnia Hela przyjechała z Łodzi bardzo zmęczona i zdenerwowana, na wszelkie pytania Anny nie udzielała odpowiedzi; znać po niej było ogromną mękę i przygnębienie. Zaciśnięte usta zdradzały wewnętrzny szloch i udręczenie bez końca; oczy zamglone, tępe, przybite głuchą rozpaczą, oczy trupa.

— Wiesz, był Władysław już dwa razy — zagadała Anna, pragnąc Helę ożywić — dopytywał się o ciebie, gdyż ma ci coś ważnego zakomunikować. Powiedział, że przyjdzie około czwartej!...

Hela zadrżała na całem ciele, twarz pobladła i zsiniały usta półotwarte, jakby z nich uleciało tchnienie ostatnie na zawsze. Opadły ręce bezwładnie ku dołowi, a wzrok zdrętwiały spoglądał prawie głupkowato przed siebie, jakby przerażony ukazaniem się widma śmierci okrutnej, bo powolnej, świadomej swoją siłą przeklętą i potęgą męki wieczystej samotności. Anna zbliżyła się do niej w milczeniu, ujęła ją pod ramię i posadziła, jak dziecko, niemające woli własnej.

Zdławiona cisza przez niemiłosierne długie chwile. Zatwardziały stan skamienienia całej jaźni; jeno mięso zwierzęce siedzi na krzesełku i ciężko, leniwie oddycha.

Upłynęło sporo czasu.

Anna przestała robić korektę, głowę podparła ręką i wbiwszy wzrok w ziemię przemówiła cichym głosem:

— Helu, czy to już ostatecznie postanowione?...

— Tak! Anno —. straszliwy jęk duszy.

— A co się stanie z Władkiem?...

— Nie wiem! nic nie wiem!... Chyba przyjdzie oszaleć!...

— Człowiek wytrwałe stworzenie. Może konać i nie skonać!...

Po chwili:

— Czy Władek wie cośkolwiek o twem postanowieniu?...

— Nawet się nie domyśla.

— Tem gorzej dla niego.

Milczenie.

— Co będziesz dalej robić, Helu?...

— To co i dotąd... tylko z większem zapamiętaniem.

Siedziały obie nieme i zdruzgotane bólem, przywalone rozpaczliwem, twardem poczuciem obowiązku dusz cudnych i wrażliwych, ptaków błękitnych o sercu chrystusowem!... Obie stały na przełomie swego życia, złożonego na ofiarę walki, niby kadzidła najaromatyczniejsze z ziół ukojnych. Dzień ten był dla nich dniem sądu strasznego, początkiem tułaczki bezdomnej, dniem szaleństwa w konieczności samoumęczenia za całe rzesze po-

grążone w ciemnocie, w piekielnych okowach nędzy maluczkich i słabych. Odtąd pójdą przez te cierniowe wertepy jeszcze więcej samotne, więcej opuszczone, z większą goryczą pustki fizycznej wokoło siebie — jedynie z pożarem nienawiści, z mocą pożądań burzenia, z potęgą siły niszczycielskiej, gdyż zrozumiały, że twórcy muszą być wolni od wszelkich osobistych łańcuchów, od więzów serdecznych, pojęły, że mus, konieczność, potrzeba się biczować na przeraźliwym krzyżu istnienia. Widziały jasno gorczyczną prawdę, że siewcy złotego zboża, promiennej jutrzenki różowego dnia, pracownicy jutra przyszłego, rybacy dusz nowych, kapłani dobra bratniego, oracze doli jaśniejszej, wolnej od łajdactw i oszustw, od chęci żywienia się ciałem i krwią współziomków; ujrzały wyraźnie, że tacy ludzie nie mogą mieć nikogo na całej ziemi, muszą być wiecznie sami ze swoją tęsknotą i miłością i bólem i rozpaczą, z ogromem pragnień nieziszczalnych nigdy, z bezmiarem chęci odkupienia, z bezdnem miłości ukochanej rzeczy, że dla nich, wrogów dzisiejszego życia i dzisiejszego porządku, opartego na krzywdzie miljonów, na łotrowstwie tysięcy, co świadomie wytaczają i pot i łzy i krew ludzką, że dla nich, wiernych przyjaciół ludu — niema i być nie może i nic nie będzie, oprócz idei, męki, oprócz konania powolnego i pracy, pracy, pracy bez wytchnieniowej.

Anna przybliżyła się do Heli i objęła ją w ra-

miona mocno, serdecznie, w kochany uścisk sieroty. Całowały się w milczeniu, słowa wszelkie były za podłe, za nikczemne swoją beztreściwością, dźwiękiem haniebnie głupim i małym, jeno oczy zwilżałe i tłukące się serca w piersiach dziewiczych płakały katuszą rozstania.

Po pewnym czasie rzekła Anna:

— Helo! Władek niedługo przyjdzie; wyjdę, nie chcę być świadkiem waszej rozmowy.

Hela powstała, wzięła parasolkę i wychodząc mówiła:

— Nie! zostań w domu!... Ja... ja pójdę na jego spotkanie... nie chcę w tem mieszkaniu, gdzie tylokrotnie głos słyszałam drogi, gdzie jego oczy patrzały na mnie z takiem uwielbieniem, gdzie tyle chwil świętych upłynęło dla nas trojga, w tem mieszkaniu nie chcę być... katem własnego szczęścia!...

Wyszła krokiem powolnym i chwiejnym, jak człowiek słaby i bezsilny w strasznej chorobie.

Dzień rano był pogodny, zapowiadał się prześlicznie; jeden z tych letnich dni, kiedy wszystko wokoło śpiewa weselem promiennego słońca i liście drzew gwarzą miłą serdecznością i wietrzyk łagodnie powiewa. Około południa słońce prażyło nieznośnie, zlewało żywy skwar na ziemię, jak gdyby pragnęło spalić w swojem świetle cały twór przyrody i przyrodę samą; płuca od żaru nie mogły swobodnie oddychać; członki mdlały

ze słabości nielitościwej. Po obiedzie zrobiło się niemożliwie duszno i parno; powietrze, przesycone elektrycznością, rzucało jakiś ciężar okrutny na piersi, aż pot występował na umęczone czoło ogromnemi kroplami i człowiek dyszał zziajany pracą samego procesu oddychania. Najmniejszego powiewu wietrzyka dobroczynnego nie było czuć w przestrzeni dławiącej. Niebo czyste niepokalaną srebrzystością, żadnej chmurki zwiastującej bliską burzę, żadnego obłoczku ciemnego. Nawet jakiegokolwiek ptaka napróżno upatrywało oko stęsknione. Drzewa stały nieporuszone najmniejszym szelestem tak pożądanym, jeno zastygłe w niemym bezruchu. Ogromna szyba powierzchni stawu lśniła się w palącem słońcu i odbijała w niezmarszczonej, gładkiej tafli ziejący gorącością firmament.

Dopiero dobrze popołudniu słońce poczęło jakby gasnąć i niebo robiło się sinawe; jednocześnie z południa porwał się zrazu słaby, a później coraz mocniejszy wiatr i tłukł się ogromną piersią po złotych rżyskach i ciemnozielonej łące i biegł przed siebie, pędził gdzieś daleko, na złamanie karku!...

Gdy Hela wyszła z domu, właśnie szare i zrudziałe chmury pokryły niebo całkowicie, tak, że chwilami stawało się zupełnie mroczno, jak przed zapadającą nocą; wiatr dął zimnym podmuchem i burzył wody stawu i targał gałęźmi pobliskiego lasku. Hela nie zważała na przyrodę i nadciągającą

burzę, która zapowiadała się być ulewną, szła udeptaną ścieżką nad piasczystą drogą, obojętna, jakby nic nie miało zmienić się w tym okrutnym dniu; całą siłą skupiła się we wzroku i pilnie wpatrywała się na drogę, czy nie dojrzy w oddali kroczącej, nieco pochylonej postaci Władka, jeno niezwykle blade policzki i niekiedy wstrząsający dreszcz lodowy zdradzał, że dusza skrępowana szaleńczym pasem umęczenia, podniesionego do najwyższej potęgi.

Naraz serce łomotnęło jednem gwałtownem uderzeniem i przestało bić na pewną chwilę, krew uderzyła ognistą falą do skroni i w płucach zabrakło powietrza, w głowie szum straszny, zgrzytliwy okropny szum i kołowanie pijanych boleścią zmysłów; nogi ugięły się pod nią i zdrętwiały, jakby rażone paraliżem — w oddali kroczył Władek, spostrzegł ją również, bo zdaleka już zdjął kapelusz i kłaniał się przyjacielsko i szybkim krokiem szedł na spotkanie Heli, tracącej prawie przytomność.

Wkrótce zrównali się, Władek szedł około Heli niepewny i niespokojny, nie wiedział od czego ma zacząć, wreszcie poczuł drażliwość milczenia krępującego i przemówił nieco zaschłym głosem:

— Dokąd pani idzie, panno Helu?... zanosi się na nawałnicę...

Cichy, zaledwie dosłyszalny głos drżący Heli:

— W mieszkaniu bardzo duszno — nie mogłam wytrzymać... wyszłam, zwłaszcza, że pan po-

dobno był dwa razy i... chciał o czemś ze mną pomówić... więc... wyszłam na spotkanie...

— Dziękuję!... dziękuję z całego serca!...

— Niema za co!...

Długie, okropne milczenie ludzi czekających na wyrok śmierci.

— Panno Helu... mam prośbę do pani...

— Proszę!... niech pan mówi!... — wypowiedziały zsiniałe usta.

— Bądźmy jeszcze bliższymi przyjaciółmi, i mówiąc do siebie — odrzućmy formę... «państwa» — niech burżuazja szczyci się formą, pod którą kryje się hypokryzja — próbował się uśmiechnąć, lecz uśmiech zamarł mu na ustach w jakiemś bolesnem przeczuciu.

— Dobrze, Władziu!... — odpowiedziała Hela głucho, a dusza zaskowyczała z tęsknoty.

Władek chciał w pierwszej chwili wrzasnąć z radości nieoczekiwanej, chciał upaść przed Helą na kolana i całować brzeg jej sukni. Szczęście nadludzkie, wymarzone rozsadzało piersi i zawodziło słodką pieśń rozkoszy, dusza śpiewała bajkę ukojenia, a mózg zwijał złote sploty marzeń przyszłości. Dopiero ogromnym wysiłkiem stłumił w sobie szaleństwo upojenia i mówił wolno głosem jasnym i dźwięcznym nutą wniebowzięcia:

— Wiesz Helciu... Helciu... Heluniu...

Pieścił się jej imieniem, jak muzyką najcudniej-

szą, a ona gniotła w sobie krzyk rozpaczy, gwałtem rwący się na usta.

— Heluniu... Heluniu... Heluniu... duszo słodkośpiewająca, ptaszynko mała, lilijko cudnobarwna... mam nowiny dobre; wydawcy kupują odemnie Wstęp... dostałem listy z Warszawy i z Berlina i z Londynu. Wiesz, mam zamiar wydać mój Wstęp jednocześnie w trzech językach. Otóż pisałem do nich... zgadzają się chętnie, gdyż znają już moje pióro, ponieważ drukuję rozprawy w niemieckich czasopismach naukowych. Dają niezłe warunki... Nie cieszysz się Heluniu?... nie cieszysz się?...

— Cieszę się, cieszę się Władziu!... cieszę się, cieszę Władziu!... — wycharczało gardło przez zaciśnięte szczęki.

A Władek marzył dalej:

— Obecnie zarabiam sto sześćdziesiąt rubli miesięcznie, a wydaję bardzo mało, więc uskładałem sobie dwa tysiące... za Wstęp dostanę sześć tysięcy — będzie osiem... to można założyć w Warszawie miesięcznik czysto naukowy i krzewić nasze ideje i zwalczać zastygłe przesądy, leżące w pleśniach mózgów polskich. Ja sam będę dużo, bardzo dużo pracował i skupię pod naszym sztandarem siły młode, ochotne i zdolne, talenty wielkie i głębokie, czujące biegi spienione życia, serca nie zaprzedane w niewolę złotemu cielcowi; mózgi szerokie, mieszczące ogromne przestrzenie, widnokręgi dalekie, gwiazdy jeszcze niewyłonione.

Podniesiemy nasze znaki bojowe wysoko, dzielnie, godnie; naukę polską postawimy na złotym piedestale w panteonie Europy!...

Spojrzał na Helę rozradowanym, błyszczącym wzrokiem i mówił ciepło dalej:

— Ty, Heluniu, założysz jeszcze kilka szkół dla dorosłych i będziesz siać zbratanie pod nowemi świętościami; będziesz otulać słodkiem uczuciem kobiety te dalekie, zimne kraje ideału, które nauka odkrywa i w przyszłości za urzeczywistnione uważa!... Helu!... Heluniu!... Heluniu droga, zobaczysz, jacy będziemy szczęśliwi oboje, jacy szczęśliwi! — przysunął się do niej tak blisko, że szli przy sobie tuż, ramię przy ramieniu, głowa przy głowie i serce przy sercu; ujął delikatnie jej śliczną drobną rączkę anioła i wyrzekł dobrotliwie:

— Przecież pójdziemy oboje jedną drogą — aż do śmierci?...

— Tak, Władziu, pójdziemy oboje jedną drogą, aż do śmierci — odrzekła z mocą — pójdziemy drogą wytkniętą umiłowaniem!... Prawda, Władziu, przecież pójdziemy drogą cierniową niepomni ani na łzy, ani na bóle, ani na zawody, ani na głuche rozpacze serdeczne — pójdziemy tam, gdzie miłość, kochanie i obowiązek nas twardo, nieubłaganie przyzywa; pójdziemy do tej cudnej przystani, opromienionej westchnieniami spokoju i radości ludzi obecnie ciemiężonych. Ty pójdziesz, jak błyskawica, prująca ciemności, pójdziesz jak szermiesz

pancerny badaniem, uzbrojony wiedzą, i ostrym mieczem nauki wyrąbywać będziesz ze zwału ciemnoty, z gór niewiedzy prawdy nowe, a ja za tobą... za tobą... za tobą iść będę z mozołem i te prawdy w formie przystępnej rozdawać zgłodniałym rzeszom ludu mojego, jako pokarm zdrowy wiedzy zbawczej, równości bratniej i wolnego światła wiary!...

— Dobra kobieto!... błogosławiona polko nowego pokolenia!... błogosławiona polko nowego pokolenia!... — powtarzał Władek ze czcią przenajświętszą.

— Weźmiemy ślub skromny za... pięćdziesiąt rubli, ty kupisz sobie frakowy garnitur za osiemdziesiąt pięć rubli... ja suknię jedwabną za sto dwadzieścia rubli — mówiła Hela głosem matowym, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni coraz więcej pochmurnej — wynajmiemy mieszkanko z trzech pokojów i kuchni, kupimy meble za dwa tysiące rubli, będziemy trzymać służącą, bo przecież musimy żyć odpowiednio do twego stanowiska w społeczeństwie, będziemy mieć dzieci... zrobimy z nich doktorów, adwokatów, inżynierów, uczonych, literatów, przecież nie mogą nie kończyć uniwersytetu. Ja będę się zajmować gospodarstwem, opieką nad tobą i wychowaniem dzieci na dzielnych obywateli, na pożytecznych członków kapitalistyczno łajdackiego społeczeństwa... inaczej być nie może, inaczej być nie może!... A biedny

mój lud, ten mój polski lud będzie gnił w ciemnocie, będzie jęczał w niewoli okropnej, będzie pracował na burżujskie wygody i będzie jęcząc, umierał na suchoty!... ha!... ha!... ha!... Ponętne, uśmiechające się życie pani doktorowej i pana doktora filozofji, uczonego socjologa o europejskiej sławie! ha!... ha!... ha!... Hej! błaźnie, pluń na wszelkie ideały i utop duszę w cnotliwym prewecie śmierdzącego szczęścia mieszczańsko-obywatelskiego...

Władek patrzał na Helę osłupiałym z przerażenia wzrokiem i nie mógł uchwycić ani odrobiny powietrza, twarz posiniała, jak wątroba, a oczy wyszły z orbit opuchłych, bo słowa niespodziewane, piekielnej prawdy słowa Heli waliły go, jak strasznym obuchem w piersi i druzgotały naraz młotami rozpaczy wszystkie cudne sny szczęścia przyszłego, wszystkie nadzieje pieszczone w rozkochanej czystej duszy; marzenia przez tyle lat hodowane z pieczołowitą troskliwością, lazurowe szczyty rozkoszy zachwycenia — wszystko to naraz prysło, jak szklany gmach, gdy zimny piorun trzaśnie w niego!...

A Hela bezwładnie zwaliła się z nóg, jak trup nieruchomy i sztywny, twarz zaryła poprostu w piasek i drapiąc palcami ziemię, wyła, jak żywcem obdzierane ze skóry zwierzę...

Przecłapała się długa chwila krwawym szurgotem po piersiach dwojga młodych ludzi.

Nareszcie Władek pierwszy zwyciężył swój ból, a podnosząc Helę pytał zdławionym gardłem:

— Helu! na miłość naszą, na prochy ojców naszych! co to znaczy?

Hela porwała jego rękę, przycisnęła do ust i mówiła przez łzy:

— To znaczy, Władziu mój wyśniony, to znaczy, królu mój drogi, żeśmy byli dzieci, dzieci, żeśmy śnili sny o arabskiej bajce! Pójdziemy tą drogą, o którejśmy marzyli — lecz nie pójdziemy razem! rozumiesz, Władku, nie pójdziemy razem!... Śniliśmy sen złudy, tęczowy sen anielskiego szczęścia — lecz oto się budzę i ciebie także budzę! budzę cię, Władku! wstań!... wstań, Władku!...

Poczęła go targać za ramię, jakby zeń pragnęła ducha wytrząsnąć.

— Ja nie chcę być kobietą, kiedy pikielchauby bezkarnie hańbić ją mogą! Nie chcę być żoną niczyją, nie chcę skuwać w kajdany ciężarów żadnego człowieka, dopóki tysiące moich braci z głodu umiera, dokąd więzienia są pełne, dokąd banda hakatystów ma władzę życia i śmierci nad moim krajem, nie chcę być matką niczyją, bo przeklęte są łona kobiece, co rodzą synów nieczułych, synów tyranów i córki dnia dzisiejszego, co pieszczą swe dziewicze ciało, by się sprzedać w małżeństwo, za pełny brzuch, by kupczyć miłością w walce o byt egoistyczny!...

— Uspokój się, Helu, nerwy cię zbyt unoszą!...

— Nie, Władku, jestem aż nadto spokojną, jeno mam w duszy morze płomieni.

— Więc nie dla nas szczęście... nie dla nas raj... — wyrzekły lodowe wargi Władka.

— Dla nas nie ma nic!... niema nikogo, prócz wrogów i towarzyszy broni — potwierdziła ponuro.

— Mamy być zawsze jedyni?... zawsze samotni?... zawsze tułacze bezdomni!...

— Dopóki w Polsce jest męka i ciemnota!... — przytaknęła krwawo.

— Zastanów się, Helu, to niema zdrowego sensu: życia nie można obalić w jednem pokoleniu — są na to prawa poprostu fizyczne.

— Lecz my jesteśmy twórcami wszelkich praw — można je przyspieszać lub opóźniać. Na każdym człowieku ciąży odpowiedzialność za czas spędzony na ziemi; odpowiedzialność przed następnem pokoleniem. Nie chcę, by przyszłe pokolenie miało niezaprzeczone prawo przeklinać mnie kamieniem pogardy za czas bezczynnie przeżyty tak, jak ja — my, mamy prawo przeklinać przeszłe nietylko pokolenia, ale i stulecia za to, że świadomie i celowo nie pracowały dla potomności. Pamiętasz, Władku, coś mi mówił jeszcze w Zurychu?... Naród upadły musi się objąć w ramiona, jak para kochanków na śmierć idąca — inaczej umrze, a ja nie chcę, by mój naród umarł — zanim żyć począł w pełni!...

— Wielki człowieku!... Wielki człowieku!... — szeptał Władek.

Hela wbiła z rozpaczą koniec parasolki w ziemię i mówiła z mocą:

— Powiedz sam, Władku, kto, jak nie my, młodzi, ci z najmłodszego pokolenia, jak nie my staniemy hardo przy życiu i na straży dusz naszych świeżych; kto jak nie my mamy stanąć na przodzie?... my, którzy czujemy najwięcej niewolę, którzy się dławimy bezdusznością ojców naszych i dziadów, my, którzy kochamy najsilniej i cierpimy najsilniej?... Musimy wejść w lud, my, co z niego wyszli, musimy weń wsiąknąć i utonąć i stać się jedną masą, a gdy przyjdzie chwila, iść na wroga, czy nim będzie Austryjak, Prusak, czy Polak, iść na wroga, połamać mu gnaty lub — samemu umrzeć!...

Jeżeli ja Polka tego nie uczynię — to kto, kto to uczyni?...

— Wielki człowieku!... wielki człowieku!...

Zerwał się silny wicher i deszczyk począł padać grubemi kroplami; w przestrzeni zrobiło się kompletnie ciemno i tak ponuro, jak w ich sercach zbolałych. Naraz błysnęło oślepiającą jasnością i straszliwy huk targnął powietrzem: to piorun trzasnął gdzieś w pobliżu, jakby na potwierdzenie słów Heli.

Oni szli koło siebie obojętni na deszcz i bły-

skawice. Co znaczy grzmot, co piorun, co błyskawicowa burza?...

Zupełnie nieświadomie doszli do tej chałupy, w której mieszkała Hela. Przed progiem stała dzika grusza, o jej pień oparta Anna zdawała się oczekiwać ich powrotu. Zbliżając się do niej, Hela ciągnęła:

— Ja nie idę do ludu, jako opiekunka lub starsza siostra — lecz idę jako ludu jednostka, jako cząstka całości ogromnej i niezliczonej. Nie niosę mu słów miłości i przebaczenia, nie pokorę i poświęcenie — lecz dumę i przekleństwo, niosę nienawiść i godność, niosę potęgę uczucia i świadomość siły nieznanej, gdyż sile wszystko się odda, siła wszystko dostanie, siła wszystko zwycięży. Bo lud mój musi błysnąć mocą swoim wszelkim ciemiężcom, bo jeno moc stwarza i zwala!...

Zatrzymała się tuż przy Annie; odrzuciła na bok parasolkę, twarz stała się prawie siną, martwą, skostniałą, jedną ręką przyciskając piersi, drugą podała Władkowi maleńki, skromny, złoty pierścionek łańcuszkowy, który jej podarował; był to zaręczynowy pierścionek jego matki.

— Masz, Władku, to twoje — mówiła — dałeś mi kiedyś z myślą tajemną, jako swej przyszłej żonie!... Ja wtedy serca nie chciałam ci ranić, złoty mój sokole — dziś trzeba!... trzeba!... trzeba, masz, weź to!...

On nie wyciągnął zrazu ręki, gdyż utracił zdolność zrozumienia słów, mówionych do niego; jakieś kolki zbójeckie podeszły pod samo serce, zgniotły je mrozem, aż krew zastygła w żyłach, kurcz zdusił gardło, przez długą chwilę nie mógł wydobyć najmniejszego dźwięku, jeno biały, zdrętwiały, osłupiony męką wzrok utkwił w twarzy Heleny drżącej, jak w ataku febry.

— Weź to! — wycharczała Hela.

— Zostaw na pamiątkę!... — wybełkotał niewyraźnie.

— Weź! nie chcę nawet pamiątki! niech mnie nic nie łączy ze starym światem, nic — prócz bólu!...

Władek wyciągnął rękę, by przyjąć pierścionek, dotknęły się dłonie jedna drugiej... obie były dłoniami trupa.

— Oh, jak mi się chce szydzić!... — wykrztusił Władek.

— Szydź!... — wyszeptał głos krwawy.

Długie, obłąkane milczenie przerwał zgrzytliwy głos Anny:

— Tak, dla nas jest jeno zgnilizna lub walka o życie!... Dziś skończyłam ostatecznie pański Wstęp, jutro rano... wyjeżdżam do Sosnowca... Tam posterunek córki maciornicy i ojca lichwiarza!... I ja zrobiłam rachunek z sobą.

— A ja do Warszawy!... — wyrzekła Hela

głosem silnym, jak dzwon... dzwon pogrzebowy, dzwon pogrzebowy po szczęściu.

— To ja tu zo-sta-nę!... — wyszeptał Władek z mocą nieprzepartą i oczy rzucały błyskawice nienawiści rozpacznej w stronę oddalonego miasta — zatem, do zobaczenia!... Do zobaczenia, towarzysze broni!... do zobaczenia!...

— Do zobaczenia!... — powtórzyła Hela głucho.

— Do zobaczenia!... — powtórzyła Anna — do zobaczenia w tajgach Sybiru lub... na barykadach!...

Władek nie skłoniwszy się kobietom zawrócił i odszedł krokiem pijanego, gdy już uszedł kawałek drogi, Hela przypadła do drzewa, objęła je ramionami i poczęła z całych mocy bić głową o pień, jakby pragnęła strzaskać czerep nieszczęsnej samotnicy po wieczne godziny życia.

Deszcz padał coraz większy, chmury zasłoniły niebo, przerzynane co chwila błyskawicami; cały świat był spowity grubemi strugami wody i opasany wstęgą piorunową. Władek szedł ciężko, męcząco, śmiertelnie znużony, nogi lgnęły w mokrym piasku drogi i odmawiały posłuszeństwa, a dusza wszystka, jakby w bolesnym letargu, niedoznawała żadnego uczucia; naraz od strony Łodzi, przez mgły deszczowe, przez grzmoty burzy, przez siną dal, dobiegło jego uszów przytłumione, zatarte buczenie łódzkich fabryk.

Była godzina szósta wieczorem.

Władek przystanął, wyprostował całą postać przygniecioną bólem rozstania i, samotności bezgranicznej; wzniósł ręce i, grożąc z zaciśniętemi pięściami oddalonemu miastu, wyszeptał:

— Za nasze łzy, za nasze cierpienia i za konanie nasze — — — musimy was zburzyć!...

Warszawa 1908—1909.

SPIS RZECZY.
